

CAROLINA ANNA VAN ROBEN
JOHN GLEASON

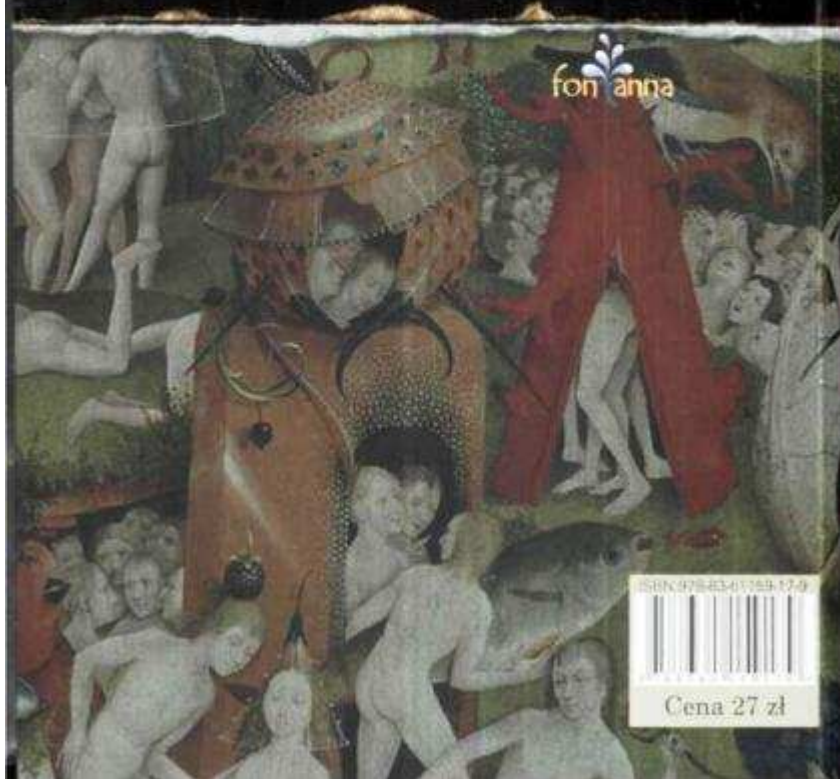
BOSCH

TAJEMNICA NAMALOWANA RZECZYWISTOŚCIĄ



„Bosch” to kolejna powieść napisana w ostatnich latach, która uzmysławia, jak wielki wpływ wywarł na współczesną literaturę sensacyjną „Kod Leonarda da Vinci”. Rzecz jest osnuta wokół interpretacji obrazów tytułowego malarza Hieronima Boscha van Aakena. Autorzy sprawnie wplątują w powieściową intrygę prawdziwe zdarzenia bulwersujące czytelników gazet, jak np. afera z klasztorem betanek w Kazimierzu Dolnym. Elementów układanki jest tu zresztą wiele, bo i malarstwo Boscha, i tajne stowarzyszenie przykościelne, i hitlerowcy ukrywający skarby w dolnośląskiej kopalni, i spisek, i matactwa watykańskich funkcjonariuszy itd., itd. Są uczucia, seks, mistycyzm, zdrada. Autorzy z talentem panują nad całym tym materiałem i układają z niego intrygę przyciągającą uwagę czytelnika.

Leszek Bugajski



CAROLINA ANNA VAN ROBEN

JOHN GLEASON

BOSCH


fontanna
WARSZAWA
2010

Projekt okładki:

Maciej Sadowski

Redaktor:

Agata Przybysz

Redaktor techniczny:

Paweł Żuk

Copyright © Carolina Anna Van Roben, John Gleason

Copyright © Wydawnictwo Fontanna

Warszawa, sierpień 2010

Wszelkie prawa, włącznie z prawem do reprodukcji tekstów w całości lub w części, w jakiegokolwiek formie - zastrzeżone.

Wszelkich informacji udziela:

Wydawnictwo FONTANNA

ul. Królowej Aldony 6,

03-928 Warszawa

tel./fax 22 628 08 38, 616 00 67

wydawnictwo@studioemka.com.pl

www.studioemka.com.pl

ISBN 978-83-61159-17-9

Skład i łamanie:

ANTER s.c,

ul. Tamka 4,

Warszawa

Druk i oprawa:

Drukarnia Wydawnictw Naukowych

Łódź,

ul. Wydawnicza 1/3

Religia to najgłupsza historia, jaką kiedykolwiek opowiedziano. Pomyślcie tylko! Religia zdołała właściwie przekonać ludzi, że istnieje pewien niewidzialny człowiek, który żyje w niebie! Obserwuje wszystko, co robią, każdej minuty każdego dnia! Ten niewidzialny człowiek ma specjalną listę, dziesięć rzeczy, których nie chce, żeby ludzie robili. A jeśli zrobią którąkolwiek z tych rzeczy, to ma specjalne miejsce, pełne ognia, dymu, tortur i katuszy, gdzie ich ześle, żeby cierpieli, palili się, krztusili, krzyczeli i płakali przez całą wieczność, aż do końca czasu! Ale... on ich kocha!

George Carlin

Rozdział I

Kuszenie św. Antoniego

Marianna mieszkała w zakonie nad rzeką od wielu miesięcy. Zdążyła już zapoznać się z tym, co z pozoru i wcześniej wydawało jej się niewyobrażalne i niemożliwe. Zdążyła też poznać wiele siostr. Oddane gorliwej modlitwie kobiety nosiły w sobie niejedną - i nie tylko Boską - tajemnicę. Tymi tajemnicami były ich pożądania i seksualne patologie. Zresztą bardzo szybko okazało się, że również sama Marianna była pod tym względem wyjątkowa. Współtowarzyszki zaś uchylily jej nieco rąbka tajemnicy. Podczas wspólnych modlitw Marianna uciekała ochoczo w erotyczne fantazje, w myślach dawała się ponieść rozkoszy i doznawała ekstazy... A wszystko to miało jedną, niepozorną, lecz istotną przyczynę. Przyczyną tą było coś, co wydarzyło się drugiej nocy, po zakwaterowaniu nowicjuszek w budynkach zakonnej klauzury. Tuż po ogłoszeniu ciszy nocnej do izby weszła nagle matka przełożona, podeszła do łóżka, stanowczym szeptem kazała się nie ruszać i nie stękać. Rozsunęła drżące i spodziewające się nowych doznań uda Marianny i poprosiła ją, by się modliła, patrząc w sufit. Delikatnie gładziła młode ciało Marianny, aż ta zaczęła się prężyć i wyginać, czując jak zalewają nieokiełznana przyjemność. Ruchy matki przełożonej stały się zdecydowane i gwałtowne, by po chwili prawą, mocno naoliwioną dłonią dość szorstko doprowadzić dziewczynę do orgazmu. Gdy Marianna doszła do siebie, o kilka lat starsza piegowata Łucja oznajmiła głosem pełnym słodyczy, choć z wyższością, że taki stan umysłu i niezziemskiego szczęścia

będzie ogarniał jej ducha nieustannie, gdy już dostąpi nagrody w niebie, a Jezus stanie się jej oblubieńcem na zawsze. Te słowa umocniły wiarę Marianny. Od tego wyjątkowego zdarzenia w wyobraźni dziewczyny kłębiły się sceny, które przybliżały ją do niebiańskiej nagrody. Wyobrażała sobie zbiorowe orgazmy, szal uniesień, uciechy seksu grupowego, by wreszcie do ekstatycznych przeżyć dziejących się w jej myślach zaprosić Jezusa, który czasem przyglądał się falom rozkoszy, przechodzących przez jej ciało, a czasem karmił się razem z nią namiętym podnieceniem. Marianna zapraszała też Jezusa wraz z całym zastępem serafinów, pięknych, muskularnych, męskich, zalotnie niewinnych, a przy tym niesamowicie anielskich ciał z monstualnymi fallusami. Dzisiejszego dnia dała się jednak ponieść w fantazjach tak mocno, że podczas modlitwy poobiedniej, zamiast w skupieniu powtarzać wyuczone na pamięć modlitwy, doznała po raz pierwszy ekstatycznego wybuchu podwójnej rozkoszy, padając twarzą na kamienną posadzkę, tracąc świadomość i rozbijając sobie łuk brwiowy. Od tego momentu przez najbliższych kilka miesięcy spoglądała na wszystkich z lekko zdziwionym wyrazem twarzy. A ponieważ zjawisko ekstazy podczas modlitwy zdarzało się nader często, Mariannę nieudolnie naśladowały inne siostry, które postrzegały ją jako Boską wybraną. I w całej swej naiwności bądź braku wiedzy o całokształcie precedensu wierzyły w słowa matki przełożonej, która często powtarzała: drogie siostry, nie wszyscy mają taką wrażliwość jak Marianna. I wszystkie w skrytości ducha chciały tak cierpieć, dlatego modliły się żarliwie każdego dnia, już od 4 rano, a nierzadko przez całą noc. W parach i trójkątach.

* * *

- Jeszcze raz w tę samą stronę. O, tak, pięknie! - A teraz odwróć się plecami i spojrzysz zalotnie przez prawe ramię, nie, nie, bez uśmiechu...

- Angie, popraw nos, za bardzo się świeci. Tim, zróbcie coś z włosami, może wiatrak?

- Dobra, to jeszcze raz, jedziemy. W lewo, w prawo, podskok, obrót, podskok, idziesz, stajesz, uśmiech, obrót, rzucasz głową, a teraz w drugą stronę, ręce w górę, złap się za głowę, a teraz głowa lekko w dół, tak, i jeszcze raz to, co przed chwilą... Tak, mamy to!

Sara czuła się nieco zmęczona, ale nie dawała tego po sobie poznać. To dopiero dwa pierwsze ujęcia, a ma być dziesięć. Zachciało jej się nowego życia. Zachciało jej się Nowego Jorku. Nie, żeby było jej źle. Wielki świat dobrze na nią działał. Ale plan był nie do końca taki. Miała na chwilę, na rok, maksymalnie dwa lata, zmienić otoczenie po ostatnich przeżyciach. Może zacząć studia i wrócić odrodzona. Ale tu wydarzenia potoczyły się tak szybko jak życie w tym mieście. Najpierw dostała pracę modelki, potem nagle okazało się, że będzie asystentką prezesa.

Dopiero co udało jej się wyrwać z biura na Broad Street i z niewielkim spóźnieniem dotrzeć na sesję. W głowie szumiały jej jeszcze echa porannego spotkania. Tyle do zrobienia. Tyle raportów. I jak to wszystko ogarnąć? Że z formy inwestycyjnej w holding? Podsumowanie? Raport z bonusów i premii? Muszę jeszcze tyle przeczytać.

- Sara, gdzie jesteś? Ruszaj się z zaangażowaniem - gorączkował się Mario. Sarę bawiła ta współpraca. Mario miał w sobie nieskończone pokłady pozytywnej energii, no i robił wspaniałe zdjęcia.

Zagryź zęby, jeszcze chwilę, i będziesz mogła oddać się raportom, dyscyplinowała się Sara.

A Mario co chwila krzyczał: „Mamy to”. Krótco przed północą była wolna. Nie miała już siły na raporty. Po ośmiu godzinach wyginania się na wysokich obcasach marzyła tylko o łóżku. Wsiadła do pierwszej wolnej taksówki. Pewna, że po raz trzydziesty jedzie tym samym żółtym sedanem, że prowadzi ten sam ciemnoskóry kierowca, z ulgą zanurzyła się w płynącej z głośników melodii „Sweet home, Chicago”. Taksówka telepała się leniwie, wioząc półprzytomną Sarę do mieszkania w sąsiedniej dzielnicy.

* * *

Dwudzieste dziewięte urodziny Mikołaja zapowiadały się jak zwykle: ciepły październik jeszcze nie wymiółł liści z drzew, a przyjaciele spisali się na medal, przynosząc hektolitry wina i trafione prezenty, świadczące o tym, że dobrze i długo znają gospodarza. Mikołaj wzbogacił się o gruby, kolorowy szalik na zimę, płytę ze standardami Milesa Davisa, książkę o Barcelonie, dokąd często jeździł, oraz album z pracami Hieronima Boscha.

- Znowu przesadziłem z winem, jak smarkacz - Mikołaj odprowadził do drzwi ostatniego gościa i wpatrywał się z dezaprobatą w swoje odbicie w lustrze w przedpokoju. Iza wykorzystwała podniebny stan atrakcyjnego za-twardziałego kawalera i przekroczyła delikatnie granicę poufaleści, całując Mikołaja na do widzenia. Przez chwilę jeszcze pożerała go wzrokiem, ale nie widząc aprobaty, uśmiechnęła się ciepło.

- Do zobaczenia, Miki - powiedziała tylko, i uciekła w noc.

Mikołaj wrócił i zabrał się za sprzątanie. „To nic, że jest trzecia w nocy”, pomyślał. Jak każdy birbant ze stażem dobrze wiedział, że nie należy kłaść się spać, zanim nie wyląduje helikopter w głowie. Kończy się to zwykle strasznym kacem. Po czterdziestu minutach terapii zajęciowej helikopter nie minął, a myśli Mikołaja wróciły w okolice biustu Izy i bezwiednie straconej okazji na małe tête à tête.

- A gdyby tak... Nie, to bez sensu - nie miał odwagi nacisnąć zielonej słuchawki. Może dlatego, że Iza była tak niepokojąco piękna, a jednocześnie pewna siebie i swojej onieśmiałącej kobiecości.

Mimo niezbyt dobrego samopoczucia nalał sobie jeszcze jedną szklanczkę porto. Ciepły i zdecydowanie za mocny jak na tę porę trunku spowodował skurcz przełyku. Helikopter poderwał się do lotu i zdawał się porywać całe ciało w obłądnym wirze. Żeby jakoś go uspokoić, Mikołaj otworzył album i zajął umysł analizą obiektów na oglądanych obrazach. Okazało się to tyleż łatwe, co zajmujące: smoki, kreatury, nieistniejące rośliny, alegorie, przy których umysł poddaje się po kilku sekundach, i żarty na, zdawałoby

się, poważnych pracach. *Sąd ostateczny* z machinami, kuźnią, w której diabli podkuwają człowieka, ciężarna piekąca na ruszcie nagusa, wielki scyzoryk, hełm... Hełm?!

„Co, do cholery?! Jakim cudem na szesnastowiecznym obrazie niemiecki hełm z drugiej wojny światowej?”

Mikołaj przymknął na chwilę oczy, badając stan upojenia alkoholowego. Nie mylił się: w prawym dolnym rogu, na wprost ostrza nienaturalnie dużego scyzoryka namalowana była postać w hitlerowskim hełmie.

- O jedną szklankę porto za wiele - odbicie Mikołaja w lustrze było blade i przepowiadało jutrzejszego kaca. Tylko dlatego powstrzymał się od wybrania numeru Izy, która rok wcześniej skończyła archeologię - a przynajmniej tak utrzymywała - i mogła wiedzieć coś o średniowiecznych, czy raczej wczesnorenesansowych hełmach.

„W sumie niezły pretekst, nawet jak na piątą rano”, pomyślał, zanim zasnął w fotelu.

* * *

Następnego dnia Mikołaja obudził świdrujący dźwięk telefonu.

- Kurwa mać! - zachrypiął, gdy uświadomił sobie, że zasnął do pracy. Postanowił jednak zostać w domu.

- Cześć, Iza - starał się zapanować nad przewiercającym się przez czaszkę bólem.

- Miki...

Jego wzrok padł na hełm, który nie zniknął z otwartego albumu.

- Słuchaj - wszedł jej w słowo - możesz do mnie wpaść? U mnie w robocie właśnie zaczyna się przerwa na lunch, więc i tak już nie ma sensu jechać do biura. A wczoraj...

- Właśnie - Iza zawiesiła prowokująco głos.

- Wczoraj natknąłem się na coś bardzo ciekawego.

Milczenie po drugiej stronie. Mikołaj nie przewidział takiej reakcji, być może dlatego że winę za wczorajszy incydent przy pożegnaniu zrzucił na późną porę i dużą ilość alkoholu.

- Tak?
- Musisz koniecznie to zobaczyć! Wpadniesz?

„Już wpadłam”, pomyślała Iza.

- Tak, natychmiast. Masz co jeść?

- W lodówce są resztki z wczorajszej imprezy, ale kup proszę jakieś bułki i kefir.

Napięcie przysło, Iza roześmiała się do słuchawki, ścierając tym zakłopotanie.

- Pewnie, pa.

Wiedział, że musi mu wystarczyć dwadzieścia minut na doprowadzenie się do porządku. W jasnej kawalerskiej łazience z lustra spojrzął na niego uśmiechnięty niepewnie trzydziestolatek, z lekko falującymi, czarnymi włosami i wyczekującym spojrzeniem. Wprawdzie na twarzy nie było już znaczków wczorajszego pijaństwa, ale stado nietoperzy w żołądku nie dawało mu spokoju, podrywając się co chwila do lotu. „Muszę schudnąć”, pomyślał ni stąd, ni zowąd. „Czemu nagle przyszło mi to do głowy?” Chłodnym prysznicem przerwał nieoczekiwaną myśl. Postanowił masochistycznie przykręcić kurek z gorącą wodą do minimum i wytrwać przepisowe dwie minuty czyszczenia zębów. Zakręcił wodę, która wydawała się nie ściekać z napiętej skóry i odetchnął z ulgą. Metoda okazała się nad wyraz skuteczna.

- Cześć, Miki - Iza miała w oczach coś, co dało mu do myślenia - mam bułki.

- Cześć - Mikołaj niedbale wycierał włosy ręcznikiem - Musiałem dokończyć ablucję po wczorajszych bachanaliach.

- Aha.

„Co jest?”, zadał sobie w myślach pytanie. Przeszli do kuchni, gdzie odwrócony tyłem zabrał się za robienie kanapek, podczas gdy Iza bezwstydnie taksowała jego pośladki.

- Wspominałeś coś o wczoraj - spytała Iza, nie przestając marzyć o szerokich plecach Mikołaja, który w skupieniu smarował bułki zmarzniętym masłem.

- A tak - Mikołaj nie zwrócił uwagi na prowokacyjny ton Izy. - Nie wiem, co o tym myśleć, ale może ty mi powiesz.

- Mianowicie?

- W albumie, który dostałem od Roszkowskich, natknąłem się na coś dziwnego i mam nadzieję, że pomożesz mi to rozszyfrować.

- Album dostałeś ode mnie, cholera - obruszyła się Iza.

- Przepraszam, trochę za dużo wypilem.

- Nie gniewam się - popatrzyła na niego pojednawczo. - Co więc cię tak zaintrygowało?

- Przynies, proszę, z pokoju album Boscha, ja w tym czasie zaparzę kawę.

Iza wyszła.

- Z mlekiem? - krzyknął za nią.

- Nie krzycz tak - Iza bezgłośnie stanęła za Mikołajem i wyszeptala mu prosto do ucha.

- Sorry - Mikołaj obrócił się z kawą w obu dłoniach. Nie zauważył zawodu Izy, która nie przewidziała takiego obrotu sprawy. „Rany, jakie ma fajne cycki”, pomyślał tylko. Ominął Izę zręcznie, postawił kawę i kanapki na stole i opadł bezpiecznie na fotel.

- Spójrz na ten obraz - otworzył album na *Sądzie ostatecznym*.

- Pod kątem?

- Czy ja wiem? Czegoś niezwykłego?

- Cały ten obraz jest niezwykły. Ostatecznie Hieronim mieszkał w Niderlandach, więc pewnie przypalał trawę aż miło - zachichotała.

- Spróbuj znaleźć coś, co nie pasuje do epoki - Mikołaj z właściwą sobie konsekwencją wymusił na Izie skupienie.

- To gdzieś z przełomu XV i XVI wieku, *Sąd Ostateczny*, który nawiązuje układem do obrazu Memlinga, znajdującego się w Gdańsku.

- Wiem, co to za obraz - przerwał z lekkim zniecierpliwieniem.

- Jakaś podpowiedź?

- Hełm.

- Jaki hełm?

- O, ten - Mikołaj wskazał palcem hełm w prawym dolnym rogu. Iza próbowała wykorzystać tę okazję do przypadkowego dotknięcia, Mikołaj cofnął jednak dłoń. Jego uwadze uszła falująca pierś Izy.

- Co z nim?

- Ty mi powiedz.

- Nie rozumiem.

- Nic cię nie zastanawia? Nie mieliście historii uzbrojenia na wydziale?

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Mikołaj zamiast uwagi dostrzegł popłoch, Iza zamiast pożądania rozpaczliwe pytanie.

- Nie bardzo.

- Mnie kojarzy się z hitlerowskim hełmem - powiedział wreszcie.

- Ach, to? Nie. Nie jestem specjalistą od uzbrojenia, ale to wygląda na łubkę, która była dość popularna w średniowieczu. Ale mogę zapytać Marcina, który ma całą szafę żołnierzyków z różnych epok, pewnie będzie wiedział.

Mikołaj poczuł zawód, ale nie dał tego po sobie poznać. Każdy w końcu chce odkryć jakąś tajemnicę, a już najbardziej pociągające są te, które są widoczne dla wszystkich, ale nikt ich nie dostrzega. Już pograżał się w smutnych myślach, kiedy Iza powiedziała:

- Posmutniałeś.

- Nie.

Piersi Izy zafalowały, brodawki zdawały się rozrywać cieniutki, jesienny sweterek w zielono-morelowe paski. Iza wstała, nachyliła się i zmierzwiła Mikołajowi włosy. Nagle pocałowała go mocno w usta, złapała torebkę i ruszyła do drzwi. Gdy chwyciła za klamkę, odwróciła się do zdumionego Mikołaja.

- Jutro dam ci znać, co powiedział Marcin.

Mikołaj został sam i spróbował poskładać to, co zdarzyło się w ciągu kilku ostatnich minut. Nie zdążył oddać pocałunku, nie przytrzymał Izy, nie napasł się tą chwilą. Nietknięta kawa Izy jeszcze była ciepła, wlał ją w siebie jednym haustem. „Marcin? Kim jestem, żeby wyobrażać sobie, że mogę cokolwiek dla niej znaczyć? Ona żyje w zupełnie innym świecie”.

* * *

O pierwszej w nocy Mikołaja obudził telefon. Iza nie przejmowała się późną porą:

- Miki?
- Uhm?
- Właśnie wyszłam z domu, mam dobre wieści od Marcina.
- Jaki Marcin? Jakie wieści?
- Hełm.
- O czym ty mówisz? Spiałś się? Pomóc ci jakoś?
- Miki, obudź się! Hełm! Nie pamiętasz?
- Yyy...
- Jesteś sam? To wpadnę za pół godziny - rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Wrocław po północy pustoszeje i niczym nie przypomina zakorkowanego permanentnie miasta, więc przejazd z Biskupina na Krzyki zajął Izie ledwie piętnaście minut.

Mikołaj otworzył półprzytomny, w rozchełstanej koszuli i bokserkach w paski.

- Więc jak? Zrobisz mi herbatę?
- Pewnie, wejdz. Coś się stało?
- Tak. Hełm, dowiedziałam się czegoś ważnego.
- Mianowicie?
- Marcin, gdy zobaczył ten hełm w Internecie, zbaraniał. Wyjął jakąś książkę i z wypiekami na twarzy bredził „to niemożliwe, to niemożliwe”.
- Co niemożliwe? - Mikołaj wyraźnie się ożywił.
- Nie powiem - Iza przekrzywia filuternie głowę - chyba że dostanę buziaka.
- Co ty?
- Nie to nie!

Mikołaj poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Pochylił się nad Izą, ujął w ręce jej zawadiacko ostrzyżoną głowę i pocałował. Trwało to dłużej, niż

zamierzał. Z premedytacją zajął jej w głęboki dekolt i powtórzył pocałunek, i jeszcze raz, i jeszcze. Bez słowa rozpiął guziczki bawełnianej bluzki w infantylne stokrotki i pogłaskał piersi. W tym czasie mały priap przeciągnął się mocno, a Iza obawiając się, że zaraz ten nieśmiały facet wycofa się, odchyliła się do tyłu, rozpięła stanik i wyjęła z niego dwie całkiem spore piersi, lekko obwisłe od własnego ciężaru.

- Iza - najwyraźniej Mikołaja ta sytuacja zaczęła przerastać, gdy patrzył na najpiękniejszą parę dwudziestosiedmioletnich piersi pod słońcem.

Pośpiesznie zrzucili z siebie resztę ubrań. Po pięciu minutach było już po wszystkim. Mikołaj leżał jeszcze pogrążony w niebycie, gdy Iza usiadła na nim okrakiem, wypinając do przodu ten swój absolutnie piękny biust i powiedziała:

- A teraz nagroda.

- Tak? - Mikołaj wrócił gwałtownie do siebie. - Jaka nagroda?

- Ten hełm na obrazie Boscha jest naprawdę niemiecki. I pochodzi z pierwszej wojny światowej.

- Jak to?

- Marcin stwierdził to bez najmniejszych wątpliwości. Być może natrafił na największe fałszerstwo dwudziestego wieku.

- Fałszerstwo?

- No tak! Nie sądzisz chyba, że Niemcy przyjęli design hełmu dla wojska z obrazu Boscha? Po prostu fałszerz zakpił sobie...

- Fałszerz?! Przecież to niemożliwe, by sfalszować szesnastowieczny obraz!

- Niemożliwe? A nie słyszałeś o rzekomo odnalezionych obrazach Vermeera? Były tak genialnie podrobione, że przez kilka dobrych lat wszyscy badacze i marszandzi zapierali się, że to oryginały.

- Nie słyszałem, ale jeśli masz rację, to co robimy?

- Jak to co? To co przed chwilą? Nie podobało ci się?

* * *

- Jaki jest Marcin? - Mikołaj przypomniał sobie pytanie dręczące go wczorajszego wieczoru.

- To wspaniały facet. Miły jest.

- Miły?

- Od dłuższego czasu siedzimy prawie wyłącznie w Londynie - Iza nieoczekiwanie wpadła w szloch.

- Co się dzieje, Iza?

- Już dawno chciałam od niego odejść - wyrzuciła z siebie.

- Żartujesz? Nigdy nie mówiłaś. W sumie nie pytałem - dodał po zastanowieniu.

- Wiesz, jak to jest. On jest na świeczniku, ja jestem młodą siksą, facet porzucił żonę po miesiącu. Nie chcieliśmy, żeby ludzie gadali - Iza uspokajała się powoli.

- Rany, Iza. Co ty tu w ogóle robisz? W nocy, w łóżku obcego faceta?

- Odwiozłam go przed chwilą na lotnisko. Wiesz, żyjemy trochę w innych światach, jakoś niezbyt dobrze znoszę to jego nadęte towarzystwo.

- Ale jak możesz? Długo jesteście razem?

- Jak mogę? Pokażę ci jak.

Iza bezwstydnie osunęła się do łędźwi Mikołaja, zastygła tam przez chwilę, rozkoszując się widokiem szybko napinającego się penisa, a następnie zabrała do fellatio przerastającego wszelkie wyobrażenia Mikołaja o tym, co potrafi zrobić kobieta.

„Piekiło”, myślał Mikołaj, kiedy zręczne ruchy Izy doprowadzały go do spazmów, „nie może być takie straszne, jak chciałby je widzieć Bosch”.

* * *

Kim był Bosch?

Mikołaj wstukał w Google'a nazwisko niderlandzkiego malarza. Robert Bosch - nie, to ten od wiertarek. Hieronim Bosch... jest. Link prowadził do

Wikipedii. W międzyczasie do nozdrzy Mikołaja dotarł cień zapachu Izy, która pozbierała swoje rzeczy i pomknęła do domu, tłumacząc się pozostawionym bez opieki psem. „Wróć”, zdyscyplinował się w myślach Mikołaj i pograżył w lekturze artykułu o Boschu.

Urodził się w 1450 roku w Brabancji, zmarł tamże 9 sierpnia 1516 roku. Nazywał się naprawdę Jeroen Anthoniszoon van Aken, przez Hiszpanów zwany El Bosco, od francuskiej nazwy rodzinnego miasta s'Hertogenbosch. Przydomek van Aken wziął się z kolei od nazwy miasta, z którego pochodzili jego rodzice, czyli Akwizgranu.

Jako trzynastolatek przeżył straszny pożar rodzinnego miasta. W 1486 przystąpił do bardzo wpływowej religijnej korporacji Vrouwe broederschap, kojarzy się go też z heretyckim Bractwem Wolnego Ducha. Między rokiem 1500 a 1504 zniknął z dokumentów i relacji, co wydaje się o tyle dziwne, że już wtedy był znanym malarzem. Znajdował się pod silnym wpływem malarstwa Van Eycka. Uważany jest także za jednego z inicjatorów Devotio Moderna, tajemniczego ruchu religijnego w Kościele.

Mikołaj klikał w kolejne odnośniki w Wikipedii, trochę więcej było w wersji niderlandzkiej, parę ciekawych faktów w hiszpańskiej, jak choćby to, że z zasady nie sygnował swoich prac nazwiskiem, w związku z czym sporo dzieł przypisuje się mistrzowi na podstawie daty powstania, stylu i specyficznej techniki malowania. Mikołaj przypomniał sobie, co mówiła Iza o Vermeerze. Dwa kliknięcia dalej znalazł obszerny artykuł o największym wykrytym fałszerstwie dwudziestego wieku, dokonany przez Hana van Meegerena. „Iza miała rację”, pomyślał, „skoro do zdemaskowania fałszerstwa doszło tylko dlatego, że autorowi groził proces o kolaborację z Niemcami, a sąd dał wiarę dopiero wtedy, gdy van Meegeren namalował kolejny obraz Vermeera, oznaczać to może tylko jedno: w grę wchodzi fałszerstwo!”.

Takie myśli zaprzętały mózg Mikołaja przez cały następny dzień spędzony w biurze na rogu Szewskiej i Oławskiej. Mikołaj pracował w biurze konstrukcyjnym od pięciu lat, zaczął jeszcze na studiach. Ponadprzeciętną

inteligencję łączył ze smykalką do obsługi oprogramowania narzędziowego i solidnym przygotowaniem politechnicznym. Szef, pięćdziesięcioletni były wykładowca Politechniki Wrocławskiej, darzył go zaufaniem i miał w nim rzeczywiste wsparcie, dlatego traktował w pracy bardzo partnersko i nie zadawał żadnych pytań, gdy Mikołaj wychodził wcześniej czy też później przychodził.

Mikołaj spakował się wcześniej niż zwykle, wsiadł w tramwaj i zadzwonił do Izy.

- Cześć - powitała go dość oficjalnym tonem.
- Cześć, Iza, przyjedziesz do mnie?
- Nie mogę teraz rozmawiać - w jej głosie dał się słyszeć zawód.
- Dobra, jestem u siebie i nigdzie się nie ruszam. Wpadnij, niezależnie od pory.

Wrócił do domu i poczuł nagle głód. Od rana zjadł dwa batoniki, które popił kilkoma kawami, więc organizm gwałtownie domagał się jedzenia. Stwierdził, że nic, co jest w lodówce nie nadaje się do spożycia. Co więcej, uznał, że ma farta, gdyż żadna z wielu form życia odkrytych w lodówce go nie zaatakowała. Zainteresował się chińską zupką, która zaczęła pachnieć po minucie od zalania wrzątkiem. Otworzył album, który spowodował tyle miłego zamieszania w jego życiu.

- Mam! - olśnienie przyszło znienacka. Album ma przecież autorów, data wydania jest całkiem świeża, więc nie powinno być problemów ze znalezieniem ich w Internecie. Zmartwił. Na albumie pojawiła się tłusta plama udekorowana różyczką z makaronu, które wyleciały razem z triumfalnym okrzykiem z gardła Mikołaja. Zupa przegrała z wyszukiwarką internetową.

Jos Koldeweij... Niewiele, prawdę mówiąc. Profesor katolickiego Radboud Universiteit Nijmegen w Holandii. Error 404 - strona uniwersytetu nie istnieje, Wikipedia nie wymienia profesora o takim nazwisku na liście pracowników naukowych. Dalej - publikacja naukowa o malarstwie flamandzkim z Alexandra Hermesdorf i Paulem Hardenne *De schilderkunst*

der Lage Landen. Spróbujmy dotrzeć może do profesora przez Alexandrę lub Paula.

Paul Hardenne, dyrektor Koninklijk Museum voor Schone Kunst w Antwerpii. Bingo! To może być lepszy trop niż profesor, gdyż jako muzealnik będzie miał więcej czasu i ochoty, żeby odpowiadać na pytania amatora. Jest adres mejlowy.

Mikołajowi zaczęło szybciej bić serce. „Co właściwie mam napisać?”, zastanowił się.

Dzwonek do drzwi przerwał spokój, w drzwiach stanęła Iza. Było już po jedenastej, ale ostatecznie... Trochę błada, w filcowym płaszczyku do pół uda i legginsach w kolorowe pasy, w ręce trzymała niewielką walizkę. Bez słowa rzuciła się Mikołajowi na szyję i wpadła w histeryczny płacz.

- Co się dzieje, Iza?

- Wyprowadziłam się od niego. I nie mam gdzie spać - pod koniec wpadła w lekko zalotny ton.

- Aha - Mikołaj nie wiedział, co powiedzieć, ale umysł ucieszył się na myśl o cielesnych rozkoszach. Nie tylko umysł zresztą, co bez trudu zauważyła Iza, nabierając pewności siebie. - Wejź, pewnie - zabrzmiało trochę niezdarne, ale szczerze.

- Co robisz? - spytała Mikołaja, który w kuchni przygotowywał herbatę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, rzuciła okiem na monitor.

- Kim jest Paul Hardenne? - spytała.

- A właśnie - Mikołaj wszedł do pokoju z herbatą - znalazłem chyba sposób, żeby dotrzeć do kogoś, kto mógłby wytłumaczyć sprawę hełmu. Paul jest współautorem pracy naukowej z autorem albumu.

- Skomplikowane, no i?

- Zaintrygowała mnie ta sprawa. Chcę do niego napisać i zapytać o hełm. Jak rozumiem, Marcina lepiej teraz nie fatygować.

- Daj spokój. Nie wiem, czy w ogóle zorientuje się, że się wyprowadziłam. Ten facet nie widzi nic poza swoimi nowymi kolegami z banku. Nawet tego, że ktoś zdrowo wybzykał jego młodą żonę - śmiech zamarł jej na ustach,

gdy Mikołaj odstawił herbatę i podszedł do niej ze zmienionym wzrokiem.

Wziął ją bez rozbierania, przy ścianie, bez pytania, bo i po co? Gdy odpływała, pocałował delikatnie w czoło, uśmiechnął się i zaprowadził na sofę, tam porzucił. Usiadł do zaczętego przed przyjściem Izy mejla do Paula, napisał prostą prośbę o pomoc w rozwikłaniu zagadki helmu, nie sugerując rozwiązania. Nacisnął „send”, zamasyżyście zamknął laptopa i wrócił do Izy. Ta siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Co ty sobie o mnie teraz myślisz? - zapytała.
- Czy muszę myśleć?
- Kobiety tak nie powinny postępować.

Podszedł do niej, ujął twarz w dłonie i powiedział, patrząc prosto w oczy:

- Nie jest dla mnie ważne, co powinny kobiety. Od kilku dni mam wrażenie, że śnię i jest mi z tym dobrze. Zostań tak długo, jak zechcesz.

Uśmiechnęła się tylko.

* * *

Jaśnie Oświecony Księżę, Wielki Mój Dobrodzieju!

Na początek pragnę złożyć gratulacje z okazji niedawno zawartego ślubu Waszej Miłości. Oby Waszą Miłość i Jego Dostojną Małżonkę Bóg zachował w dozgonnym szczęściu. Ośmielam się wzywać chrześcijańskiego Boga, gdyż, jak Waszej Miłości doskonale wiadomo, niebawem zaliczę się do grona Jego wyznawców. Jeszcze raz dziękuję, że Wasza Miłość raczył zgodzić się patronować sakramentowi mojego chrztu.

Tymczasem poruszę inną sprawę, o którą Wasza Miłość pytał mnie w swoim ostatnim liście. Istotnie, nasze Bractwo zamówiło obraz u mistrza Jeroena Anthoniszoona van Aken. Wiem, że niektórzy nasi bracia i niektóre nasze siostry mają honor pełnić służbę na dworze Waszej Miłości, tym bardziej więc czuję się zaszczycony, iż posiadając bliższe źródło wiadomości, Wasza Miłość laskawe pytania kierujesz do mnie. Co do samego obrazu, niewiele mogę na razie powiedzieć. Wasza Miłość znasz się na sztuce,

toteż jeśli kiedyś zechciałbyś zobaczyć owo dzieło, na pewno jakakolwiek jego ewentualna niedoskonałość byłaby natychmiast przez Waszą Miłość dostrzeżona. Mówię „kiedyś”, bo dokładny czas ukończenia obrazu nie jest znany. Dopiero wczoraj z van Akenem omawialiśmy szczegóły. Treść obrazu musi wyrażać ideę naszego Bractwa. Znajdzie się na nim wizja Tysiącletniego Królestwa, rajskiej szczęśliwości, naturalnej pierwotnej niewinności dzieci Adama. Mistrz van Aken, który zwykle w swoich dziełach oszczędnie posługuje się kolorami, w tym wypadku zadeklarował, że użyje pełnej gamy barw, by uwiecznione jego pędzlem sceny z rajskiego życia radowały oczy nie tylko doskonałą kompozycją, ale również żywymi i różnorodnymi odcieniami. Co z tego wyjdzie na koniec - zobaczymy. Na zakup deski malarskiej i farb dałem zaliczkę, resztę zapłaty van Aken odbierze, kiedy dzieło będzie gotowe.

Całe nasze Bractwo byłoby niewymownie szczęśliwe, gdyby obraz okazał się tym, czym powinien być, i gdyby wśród tych, którzy go będą oglądać, nie zabrakło Jaśnie Oświeconego Księcia.

Ostatnio spadł na nas ciężki frasunek. Jednego z naszych współbraci inkwizytorski zakon oskarżył o herezję. Więzili go kilka dni i baliśmy się wszyscy, że pod wpływem tortur wyda nasze zgromadzenie. Na szczęście Kawalerowie Złotego Runa są tylko ludźmi - jak i my - i jako ludzkie istoty łatwo ulegają perswazji, która polega na tym, że im perswadujący sarkiewki napelnia. Całe Bractwo złożyło się na okup i wszystko skończyło się pomyślnie. Chwała Bogu.

Dziękując ponownie za łaskawe zainteresowanie naszą sprawą,
podpisuję się uniżonym sługą Waszej Miłości,
Jacob Almaengien

* * *

Mikołaj obudził się pierwszy. „Jest pewnie po szóstej”, pomyślał, wnioskując po barwie światła wpadającego do mieszkania przez wschodnie okno. Iza leżała obok, półodkryta, naga i bezbronna. Nagle ciszę, a właściwie powoli narastający szum miasta przerwało delikatne pukanie do drzwi.

„Co, do cholery”, pomyślał Mikołaj i wstał, upewniwszy się, że rzeczywiście jest dopiero pół do siódmej.

W wizjerze spoglądał na niego mężczyzna w wieku pięćdziesięciu kilku lat, najwyraźniej po całonocnej libacji, niewyspany i z podkrążonymi oczami. Mimo to widać było błaganie w jego oczach. Mikołaj miał już otworzyć drzwi, kiedy usłyszał:

- Panie Mikołaju, proszę otworzyć, ja wiem, że ona jest u pana.

Upewnił się, że zasuwka jest zamknięta i wrócił na palcach do pokoju. Niepotrzebnie, bo Iza siedziała rozbudzona na łóżku, patrząc na niego z wyczekiwaniem.

- Kto to był?

- Nie wiem, chyba jakiś pijak.

- Nie kłam!

- Iza...

- To był Marcin? Co mu powiedziałaś? - stwierdziła raczej, niż zapytała.

- Nic. Pytał o ciebie, ale udałem, że nikogo nie ma w domu.

- Uf. Chodź do mnie - jednym ruchem zrzuciła kołdrę, patrząc mu w oczy. Mikołaj ledwie oparł się pięknemu ciału Izy, tym razem tylko przytulił ją do siebie.

- Skąd wiedział?

- Nie wiem. Może przejrzał połączenia w mojej komórce?

- Myślisz, że będzie nas nękał?

- Nie sądzę. Pewnie zagrzebie się w banku i zapomni o wszystkim. O której idziesz do pracy?

- Właściwie muszę już wstawać. Czy zbieg życzy sobie kawy?

- Jeśli księżę przygotuje, to czemu nie? Niech Jego Wysokość Mikołaj uważa, bo dosypanie choćby szczypty cukru grozi ścięciem.

- Napisałem wczoraj do Paula.

- Wariat!

- Dlaczego? To ty zrobiłaś z tego sensację.

- W sumie racja. Ale Marcin tak się ożywił, że musiałam ci o tym powiedzieć

- Dobra, muszę spadać do pracy. W drugiej szufladzie od góry leży zapasowy komplet kluczy. Jakbyś miała nie wrócić na noc, zostaw mi wiadomość.

- Będziesz się martwił?
- Powiedzmy, że wolalbym wiedzieć, z kim spędzę noc.
- Potwór!

Dziesięć minut potem Mikołaj wyszedł, zostawiając Izę pełną obaw i nadziei zarazem. Wpadł w uliczny zgiełk poranka i dzięki tysiącom przypadkowych twarzy wtoczył się w biurowy rytm. Zanim usiadł do komputera, zrobił drugą kawę i postanowił zafundować sobie luźne piętnaście minut, odpisując na prywatne mejle i czytając doniesienia prasowe. Ku jego zaskoczeniu w skrzynce pocztowej pojawiła się odpowiedź od Paula.

Odpowiedź miła i rzeczowa. Paul przyznał się, że ma hopla na punkcie Boscha i chętnie wymieni uwagi z innym badaczem. „Bierze mnie za naukowca”, uśmiechnął się w myślach Mikołaj, „pewnie w jego świecie istnieją tylko naukowcy”. Nagle poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach: problem hełmu znany jest grupce badaczy twórczości Boscha, ale już bardzo dawno wykluczono możliwość fałszerstwa! Paul nie rozwodził się zbyt długo nad tym, na koniec zadał jednak pytanie: co szanowny kolega sądzi o butach?

Mikołaj nie mógł skupić się na pracy, zastanawiając się, co Paul miał na myśli. Po pracy wrócił do domu. Nawet nie przejął się, że nie zastał Izy, i nie zdejmując kurtki, rzucił się do albumu. Oględziny butów na kilkudziesięciu reprodukcjach zajęły mu dobrą godzinę. Nagle usłyszał zgrzyt zamka w drzwiach.

- Iza? - krzyknął.
- Może król przywitałby posłańca?

Oczom Mikołaja ukazał się obraz katastroficzny: Iza obładowana reklamówkami z supermarketu rozrywającymi się kolejno, na środku przedpokoju pyszniła się półmetrowa plama rozbitej śmietany, a Iza usiłowała złapać pęczek włoszczyzny, który postanowił samodzielnie odnaleźć drogę do lodówki.

- Iza, wszystko w porządku?
- Niezupełnie. Łamaga ze mnie.
- Trzeba było powiedzieć.
- Aha. A w tym czasie potwory z lodówki zawlekłyby mnie do klopa i utopiły. Zresztą nie samym pieprzeniem człowiek żyje. Od czasu do czasu musimy coś jeść.

- Super. To co mamy na kolację?
- Najpierw ustalmy, co przetrwało.

Po rozpakowaniu zakupów Izę coś zastanowiło.

- Długo jesteś już w domu?
- Z godzinę, nie już półtorej.
- To dlaczego jesteś w butach i kurtce? Wychodziłeś gdzieś?
- Nie, w pracy przeczytałem mejla od Paula.
- Wietrzę sensację.
- Też tak myślałem, ale chyba nic z tego. Paul zapytał, co sędzę o butach.

- O jakich butach?
- Sam chciałbym wiedzieć. Przejrzałem wszystkie obrazy w tym pieprzonym albumie, patrząc tylko na buty. I nic.

- Ciekawe. Ale może nic nie zauważyłeś, bo jesteś facetem?
- Jak to?
- Pytanie za sto punktów: jakie mam na nogach buty?
- Nie pytaj, nie mam pojęcia.
- Właśnie. Faceci nie rozumieją, czym są buty i rozróżniają co najwyżej ich kolory, a i to pod warunkiem że rzucają się w oczy.
- Rozumiem. To może ja zrobię coś do jedzenia, a ty spróbuj szczęścia.
- Jakież szczegóły?
- Nie, nic. Facet wziął mnie za badacza i zadał pytanie tak, jakby było ono oczywistością.

Mikołajowi nie dane było tego wieczoru skończyć kanapek, które zaczął robić. Iza stanęła za nim, zasłoniła jego oczy dłońmi i unosząc się na palcach wyszeptwała do ucha:

- Co dostanę za sensację z butami?

Mikołaj odwrócił się i popatrzył nieprzytomnie.

- Co tylko zechcesz. Ale najpierw sensacja.
- Nie, najpierw nagroda.
- Sensacja.

Przekomarzali się tak dłuższą chwilę, ale ciekawość zwyciężyła. Usiedli na sofie, Iza otworzyła album na stronie z reprodukcją *House of ill fame*. Obraz przedstawiał żebraka - włóczęgę na tle rozpadającej się rudery.

- I co?
- Nie widzisz?

Mikołaj dłuższą chwilę przygląda się obrazowi, ale w końcu zrezygnowany podniósł wzrok.

- Śmieszny ten obraz, jak się dobrze przyjrzeć. Para obłapiająca się w drzwiach jakoś nie pasuje mi do malarza malującego obrazy religijne, a już ten gość, który odlewa się za domem świadczy o tym, że Bosch był niezłym jajcarzem.

- Buty, Mikołaj.
- Co z butami? Że dwa różne? Przecież to żebrak.
- Właśnie udało mi się udowodnić, że mężczyźni nie zwracają uwagi na buty.

- Ale o co chodzi?

- W szesnastym wieku ani wcześniej nikt nie chodził w takich butach. Wtedy...

- Rety! Przecież one wyglądają jak normalne buty ze sklepu!
- Dwudziestowiecznego sklepu.
- Ten kłapek to zwykły ortopedyczny Scholl. Ten drugi, może lekko pas-sé, ale w zasadzie...

- W tamtych czasach robiło się saboty, buty w naszym rozumieniu przynależały wyłącznie najlepiej urodzonym. Nie jestem specjalistką od obuwia.

- Wiem, od czego jesteś specjalistką.
- Przestań - Iza straciła rękę Mikołaja z pośladków. - Więc nie jestem specjalistką od obuwia, ale to rzeczywiście dość niezwykle.

- Masz jakiś pomysł?
- Tylko taki, że jednak mamy do czynienia z fałszerzem. Genialnym, ale jednak fałszerzem.
- Jak bada się autentyczność obrazów?
- Z tego, co wiem, to są to badania wielowymiarowe: analiza techniki, prześwietlenia, analiza chemiczna farb i podkładu, badanie stężenia naturalnego polonu i radu...
- Polonu i radu? Skąd wiesz takie rzeczy? - zdumiał się Mikołaj.
- Nie zapominaj, że skończyłam archeologię niekoniecznie dlatego, że sypiałam z wykładowcami.
- Daj spokój.
- Oprócz metody radiowęglowej, która nadaje się do datowania znalezisk w skali co najwyżej stuleci, do bardziej precyzyjnych zastosowań i niezbyt odległych okresów stosuje się pierwiastki o krótszym czasie połowicznego rozpadu.
- Rozumiem. A przynajmniej tak mi się wydaje.
- Te metody są niezawodne, ale stosuje je się stosunkowo rzadko. A już na pewno nie są tym zainteresowani właściciele dzieł, bo a nuż okaże się, że mają falsyfikaty.
- Czyli marne szanse, że ktoś pozwoli nam zweryfikować autentyczność tych obrazów?
- Marne, jeśli nie zerowe. Chyba, żeby zainteresować tym jakiegoś znanego krytyka sztuki, który napisałby artykuł na ten temat.
- Bez badań nie odważy się, bo będzie ryzykował reputację.
- Właśnie.
- A gdybyśmy przyjęli, że obrazy są autentyczne?
- Nie wiem. Ty mi powiedz.
- Stąпам twardo po ziemi, dlatego każde wytłumaczenie burzy mój misternie zbudowany model świata.
- Czy twój misternie zbudowany model świata mieści także mnie?
- Daj spokój.
- Co znaczy daj spokój? - Iza uniosła się nagle. - Czy ja ciebie w ogóle obchodzę?

- Spokojnie.
- Co spokojnie? Nie mam, gdzie mieszkać, ale to nie znaczy, że możesz robić ze mną, co zechcesz!
- Iza, co cię ugryzło?
- Nic mnie nie ugryzło! Zachowujesz się jak typowy samiec: zeżreć, bzyknąć i pójść spać. A ja?
- Rany, czego ode mnie oczekujesz?
- Już niczego.

Wyszła do drugiego pokoju i zaczęła zbierać rzeczy. Mikołaj stanął w drzwiach, Iza siadła na łóżku z łososiowym stanikiem w dłoni i zaczęła płakać. Mikołaj popatrzył zrezygnowany i usiadł obok.

- Iza...

Podniosła na niego swoje wielkie oczy, w których nie pozostał nawet ślad roszczeń. Patrzyła z przestrachem i błaganiem.

- Kochaj mnie.

* * *

- Co mu odpiszemy?
- Komu? - Iza nie do końca się obudziła. - Która godzina, do cholery?
- Druga w nocy.
- Czemu nie śpisz?
- Nie mogę przestać myśleć o tych butach i hełmie.
- Biedaku - Iza sięgnęła ręką do penisa Mikołaja, ale nie znalazłszy zainteresowania, zrezygnowała.
- Może wie coś więcej?
- Może jednak powinieneś odrzucić na chwilę swój model świata?
- Co masz na myśli?
- Pozostawię to dla siebie jeszcze przez chwilę. Ale wiem, że jeśli ten problem wygrywa z seksem, to za chwilę stanę się zakonnica.
- Z seksem? O co ci chodzi?
- Przed chwilą usiłowałam wywołać wzwód twojego rycerzyka. I nic. Wiesz, jakie to upokarzające dla kobiety?

- Przepraszam.

Iza złapała Mikołaja za włosy i zdecydowanym ruchem skierowała jego głowę między swoje uda. Mikołaj odnalazł bardzo szybko kosmiczny spokój duszy i zapomniał o Boschu.

„Chyba przysłali ją z piekła”, pomyślał, nie czując nawet, kiedy Iza wbijała mu paznokcie w plecy.

- Dobrze ci? - spytał.

- Pewnie.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że powinienem odrzucić mój model świata?

- Jesteś nienormalny.

- Przepraszam. Nie mogę przestać o tym myśleć.

Iza wróciła powoli z rozkosznej podróży i już po chwili patrzyła na Mikołaja całkiem przytomnie.

- Nic szczególnego. Ale mam wrażenie, że nie zadajesz właściwych pytań - powiedziała rzeczowo.

- Mianowicie?

- Miotasz się między dwoma rozwiązaniami zagadki i zadajesz pytania, na które może istnieć tylko jedna z dwóch odpowiedzi.

- Drugie rozwiązanie to...

- To, że ani hełm, ani buty nic nie znaczą. Ale tę wersję odrzucasz, bo każdy chce odkryć coś wyjątkowego.

- W sumie masz rację.

- Więc zapomnij na chwilę o ograniczeniach i zacznij zadawać inne pytania.

- Hm... Wyobraźmy sobie na początek, że Bosch naprawdę zobaczył gdzieś buty i hełm z dwudziestego wieku.

- Dobrze, co dalej?

- Oznaczałoby to, że potrafił podróżować w czasie - Mikołaj patrzył rozkojarzony na nagie piersi Izy.

- Przestań się gapić! Skup się przez chwilę - Iza podciągnęła kołdrę pod brodę. - No dobrze, podróżował w czasie, i?

- Czekaj, może wcale nie podróżował. Może tylko w jakiś sposób dotarli do niego strzępy obrazów z przyszłości.

- Hm...

- Nie, to bez sensu.

- Dlaczego?

- Podróżowanie w czasie prowadzi do paradoksu dziadka chociażby.

- Co to za paradoks?

- Gdybym cofnął się w czasie, mógłbym zabić któregoś ze swoich przodków przed spłodzeniem przez niego potomka, a więc w jednej chwili przestałbym istnieć.

- Ale może samo obserwowanie zdarzeń z przeszłości da się wytłumaczyć na bazie dzisiejszej wiedzy?

- Właściwie to się da. Patrząc na gwiazdę, widzimy w istocie jej obraz sprzed paru milionów lat. Gwiazda może już nie istnieć, ale my ją widzimy.

- A przeniesienie do przeszłości?

- Przeniesienie może nie, ale obserwacja przyszłości dla fizyków to nic nadzwyczajnego. Czas zwalnia w układzie, który się porusza oraz w silnym polu grawitacyjnym.

- W sumie zauważyłam, że jak leżysz, a ja cię pieprzę, to mi czas płynie trochę wolniej niż tobie.

- Iza!

- No dobrze, kontynuuj, intelektualisto.

- Jeśli chodzi o ruch, to potrzeba dużych prędkości, aby to zjawisko zaobserwować. Znane jest na przykład zjawisko dylatacji czasowej, czyli różnicy w czasie trwania zdarzenia obserwowanego z dwóch różnych punktów odniesienia.

- Staram się nadążyć.

- Fizycy wykorzystują to zjawisko w praktyce - aby obserwować cząstki o ultrakrótkim czasie rozpadu, przyspieszają je do prędkości rzędu $2/3$ prędkości światła, kiedy czas zwalnia na tyle, że dają się obserwować.

- Hamuj, ja skończyłam tylko archeologię.

- Nie, to bez sensu. Według współczesnej wiedzy nie da się przyspieszyć zorganizowanej materii do takiej prędkości bez ryzyka dezintegracji. Chyba odpada. Tak samo jak paradoks Einsteina, który mówi, że po przekroczeniu prędkości światła czas musiałby się zacząć cofać.

- A grawitacja?

- Na pewno czas zwalnia na powierzchni czarnych dziur, które są źródłem potężnej grawitacji. Ale tu mamy inny problem. Jeśli koło czarnej dziury znajdzie się dowolny obiekt, nawet taki jak Ziemia, zostanie przez dziurę wessany. Marnie widzę możliwość powrotu stamtąd.

- A może my tkwimy w czarnej dziurze?

- Może. Ale znana nam fizyka nie daje tej hipotezie żadnych szans.

- A gdyby tak... a gdyby tak wyobrazić sobie malutką czarną dziurkę.

- Już sobie wyobrażam. Mój duży, czerwony penis...

- Mmm... Wyobraź sobie małe urządzenie, które jest malutkim generatorem potężnej grawitacji.

- Nie da rady. Jedynym znanym źródłem grawitacji jest masa. My na przykład również generujemy pole grawitacyjne, ale jest ono tak małe, że nie daje się nawet zmierzyć naszymi przyrządami.

- Mój przyrząd świetnie wyczuwa potężne przyciąganie.

- Czy tobie wszystko kojarzy się z seksem?

- Jaja sobie z siebie robię - zaśmiała się Iza i wróciła szybko do dyskusji.

- Gdyby takie urządzenie istniało, to dałoby się w nim spowalniać czas?

- Nie da rady.

- A jakieś inne metody manipulacji czasem?

- Odpowiedz mi, czym jest czas, to powiem ci, jak można nim manipulować - Mikołaj w trakcie wypowiedzania tej kwestii zrozumiał, że to jest właśnie to pytanie, które powinien był zadać.

- Tak?

- Może to właśnie odpowiedź na pytanie Paula.
- Nie rozumiem?
- Paul zapytał mnie w mejlu, co sądzę o butach.
- I jak się to ma do czasu? - Iza ciągle nie rozumiała.
- Rzecz w tym, że odpowiedzi na pytanie, czym jest czas, jest wiele.

Część naukowców uważa, że czas nie istnieje. Z drugiej strony czas używany jest w równaniach przestrzeni, po prostu jako jeden z wymiarów.

- I co dalej?

- Być może czas rzeczywiście nie istnieje. Fizycy zgadzają się z grubsza z teorią, że czas powstał wraz z materią. Czyli, jeśli założymy, że wszystko zaczęło się od Wielkiego Wybuchu, to wcześniej czas nie istniał niemal na pewno. Czekać, mam!

- Co masz?

- Ostatnio gdzieś czytałem, że dwóch niemieckich fizyków przyspieszyło strumień fotonów do prędkości wyższej od prędkości światła!

- To się jakoś kupy nie trzyma.

- Niby nie, ale poczekaj, zobaczymy, co profesor Google o tym wie.

Pochylone twarze dwojga młodych ludzi w świetle ekranu na przemian kipiały ekscytacją. Rzeczywiście - przynajmniej kilku badaczy twierdzi, że uzyskało prędkość wyższą od prędkości światła - doktor Lijun Wang z NEC Research Institute, Günter Nimtz i Alfons Stahlhofen z Uniwersytetu w Koblenz i na deser teoria profesora Jakuba Rembielińskiego z Uniwersytetu Łódzkiego, który twierdzi, że neutrino to mityczne tachiony, czyli cząsteczki, które mogą poruszać się szybciej niż światło.

- Chryste - wyszeptła Iza.

- Myślisz o tym, co ja?

- Chyba tak.

- Myślisz, że Bosch...

- Mam mętlik w głowie. Dajmy może temu pokój - Iza przeciągnęła się w sposób, który nie pozostawił wątpliwości.

Kochali się długo i grzesznie, smakując każdą chwilę, po raz pierwszy bez zwierzęcej pasji.

Po wszystkim Iza przytomnie zapytała:

- Co napiszemy Paulowi?
- Nie wiem.
- Może zapytajmy go o poglądy na zagadnienie czasu?
- Myślisz, że zrozumie aluzję?
- Ja bym zrozumiał.

* * *

Edukacja seksualna Marianny podczas jej wędrówki do zbawienia była w dużej mierze nietypowa, ale w zdecydowany sposób potwierdziła jedno. Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Zachowania ludzi to często gra pozorów, lecz co się dzieje w ich wnętrzach, jakie są ich myśli i jaka jest ich motywacja, to pilnie strzeżona tajemnica. Choć przebywanie z ludźmi na co dzień przybliży nas do wzajemnego poznania, to jednak pozostawia spory obszar do przemyśleń. Po pewnym czasie Marianna dostrzegła, że część sióstr rozwija swoje fantazje w nieco innym kierunku. Otóż bohaterem ich fantazji niekoniecznie jest Jezus. W ich fantazjach bowiem bałwochwalony jest biskup, arcybiskup, a najbardziej papież! Marianna odkryła więc, że papistki miały innych bohaterów, tu na ziemi, i to oni zaprzęтали ich myśli podczas gorliwej modlitwy i nocnego czuwania. I nie byli oni bynajmniej jak bohater Marianny - pierwszym i jedynym oblubieńcem, nagrodą w niebie. Podczas jednej z rozmów z zatwardziałą papistką Marianna postanowiła nawet się poświęcić i pomóc osobiście w namiętym szczytowaniu, chcąc tym samym udowodnić absolutną wyższość orgazmu z fantazją à la Jezus nad innymi imaginacjami. Niestety erotyka patriarchalna papistki nie przypadła do gustu naszej młodej bohaterce. Poza tym istniała inna przeszkoda, mocno subiektywna. Otóż Marianna nie akceptowała rekwizytów, którymi papistki pomagały sobie w chwilach żarliwych uniesień w stylu sztuczny fallus św. Antoniego na skórzanym pasie, nawet jeśli byłaby to wierna

replika zwana ekskluzywnym zestawem papieskim, kropiona do tego wodą ze źródła w Lurcie i smarowana tradycyjnym olejkim, jakiego podobno używali wcześni chrześcijanie.

* * *

Wielce Szanowny Mistrzu Jeroen!

Nie miej mi za złe, że dopiero teraz odpisuję na twój list. Ledwie udało mi się na to znaleźć trochę czasu. Straszny teraz u mnie kierat z powodu czekającej mnie wkrótce uroczystości. Do chrztu zostały niecałe dwa tygodnie i z pośpiechu dosłownie tchu mi brakuje. Prawie nie ma takiej chwili, żebym nie musiał przyjmować w moim domu natrętnych duchownych i świeckich kaznodziejów, którzy zawzięli się, żeby bardziej jeszcze nawrócić moją żydowską duszę, jakby już i tak nie była dostatecznie nawrócona. Ale mówiąc poważnie, taki chrzest to ciężka praca. Gdybym wcześniej wiedział, ile z tym zamętu, może bym w porę się rozmyślił. Chociaż z drugiej strony w naszych niespokojnych czasach nie być katolikiem to tak, jakby z odkrytą szują leżać pod katowski topór. Jeszcze mi własna głowa miła, wolałbym, żeby z karku nie spadła. I tak dość ją narażam, przewodnicząc naszemu Bractwu Wolnego Ducha. A skoro już o tym mowa, czy zdecydowałeś się wreszcie, Mistrzu Jeroen, przystąpić do nas? Kiedyśmy ostatnim razem dyskutowali o tym, miałem wrażenie, jakbyś całkiem poważnie skłaniał się ku temu. Nie pożałowałbyś, zapewniam Cię. Nasze zgromadzenie daje tak ogromne korzyści dla duszy i umysłu, o jakich, nie obraz się, nawet nie śniło się waszemu Bractwu Najświętszej Panny, wysługującemu się papieskim szpiegom, od których wszędzie się roi, o czym wiesz nierównie dobrze jak ja. A może krępują Cię nasze zwyczaje? Drogi Mistrzu Jeroen, nagie ciała malujesz bez najmniejszego wstydu, a żywego nagiego ciała miałbyś się wstydzić? Zresztą my przecież wiecznie nadzy nie chadzamy, tylko podczas obrzędów zrzucamy z siebie szaty, by pozbyć się tego, co ludzka dłoń stworzyła i pozostać tacy, jakimi stworzył nas Bóg. Powiesz, że to rozwiązało i pogańskie? A czy nie pogańskie są wasze labędzie ucztę? Przejrzyj różne stare księgi, w których opisano czasy przedchrześcijańskie. Zaraz dojrzysz podobieństwo waszych biesiadnych rytuałów do tych, jakie przed wiekami praktykowały ludy, nieznające i

nieczczące Chrystusa. Zawsze cię miałem, Mistrzu Jeroen, za człowieka wielkiego rozumu i szlachetnego serca. Inaczej nie zabiegałbym o Twoje członkostwo w naszym Bractwie. Nie miej obaw, że należąc do nas, sprzeniewierzysz się swojej religii. Wielu wśród nas jest takich, którzy formalnie mieniają się papistami. Gdybyś wiedział, kogo można spotkać na naszych tajnych zebraniach, zdziwiłbyś się niepomieranie.

Ale dość o tym. Czy będziesz naszym współbratem, czy nie, ja do Ciebie, Mistrzu Jeroen, mam zaufanie, bo nie od dziś się znamy i wiem, że umiesz dotrzymać tajemnicy. Gdybyś przystąpił do nas, poznałbyś naszą tajemną doktrynę, co ułatwiłoby Ci pracę nad obrazem, ale do niczego nie chcę cię zmuszać, sam zdecyduj.

Wróćmy jednak do obrazu. Zaskoczyło mnie Twoje pytanie, czy oprócz Raju umieścić na nim także Piekło. „Skoro jest Raj, to jest grzech pierworodny, a skoro jest grzech, to musi być i Piekło” - tak mi pisałeś. Otóż, drogi Jeroenie, gdybyś znał naszą ideologię, nie głosiłbyś takich herezji. Grzech pierworodny? Coś takiego nie istnieje i nigdy nie istniało. To papieści wymyślili grzech pierworodny, żeby manipulować zabobonnym i nieświadomym ludem. A co do Piekła, to czy ono istnieje, czy nie, tego ci teraz nie wyjawię, bo zdradziłbym naszą sekretną naukę. Z tego samego powodu nie powiem Ci, dlaczego na obrazie możesz Piekło namalować. Niech tylko zajmuje niewielki fragment dzieła, by nie przysłaniało jego najważniejszej treści. Zwą Cię, Mistrzu Jeroen, stwórcą diabłów, więc dowiedz i teraz, że zasługujesz na takie miano i wykreuj mi diabła z prawdziwego zdarzenia. Chcę, by jego głowa, niby wykonana z metalu, miała twarz jakby ludzką, włosy czarne i kędzierzawe. Resztę szczegółów jego postaci sam wymyśl. Zdać się na Twój kunszt i na Twą fantazję.

Drogi Mistrzu Jeroen, jeśli choć trochę cenisz sobie własne życie, a mnie nie zyczysz utraty mojego, przeczytawszy ten list przy płomieniu wieczornej świecy, w tym samym płomieniu spal go natychmiast, by nie dostał się w niepowołane ręce. Od czego niech broni nas Bóg - czy to chrześcijański, czy żydowski, czy katolicki, czy protestancki, czy też jakiegokolwiek byśmy wyznawali.

*Szczerze Ci oddany przyjaciel
Jacob Almaengien*

* * *

Paul Hardenne mieszkał przy ulicy Kasteelpleinstraat 44 w Antwerpii. Na parterze szczególnie starej kamienicy mieścił się, jeszcze bank, a śliczne, młode architektki z firmy Dierickx, Leys and Cie S.A. uśmiechały się do niego codziennie, gdy przystojny, choć nieco melancholijny z wyglądu naukowiec w staromodnym palcie wychodził na zajęcia. Tak się składało, że biuro zaczynało pracę o siódmej trzydzięci, to jest o godzinie, kiedy z dokładnością szwajcarskiego zegarka doktor Paul Hardenne wychodził do pracy.

Tego dnia roztargniony zignorował jednak gardłowe *Goede ochtend* i w zamyśleniu przegapił przystanek tramwajowy, na którym co dzień wsiadał, by dotrzeć do kampusu uniwersyteckiego. Skierował się prosto do odległego o ledwie osiemset metrów muzeum, gdzie pracował popołudniami. „Zadzwoń na uczelnię i odwołam zajęcia”, pomyślał, gdyż był niemal pewien, że intrygujące i jakże celne pytanie nieznanego mu z nazwiska naukowca z Wrocławia wymagać będzie solidnego pogrzebania w materiałach o Boschu, które przechowywał w swoim przestronnym gabinecie.

Mruknął „dzień dobry” do woźnego, którego nie zdziwiła poranna wizyta dyrektora. Przyzwyczaił się do jego dziwactw i przychodzenia do pracy o niespodziewanej porze, a często z nieznanym, ba! niestosownym nawet towarzyszem.

- Pani Mario, proszę zadzwonić na uczelnię i odwołać moje dzisiejsze zajęcia. Przeziębilem się i obawiam się, że gardło wysiadzie mi po dziesięciu minutach - tu zakaszła głucho, by uprawdopodobnić przeziębienie.

- Oczywiście, panie dyrektorze. Przyniosę herbatę.

Paul odwiesił palto na wieszak i otworzył okno. Do środka wtargnął przyjemny, wilgotny chłód, który przyniósł lekko stęchły zapach rzeki Scheldt. Zamknął je zaraz, by nie wzbudzić podejrzeń Marii.

- Zajęcia odwołane, mam przekazać życzenia powrotu do zdrowia z sekretariatu.

- Dziękuję, pani Mario - doktor cieszył się, że nie musi dzisiaj tłoczyć do niezbyt chłonnych głów, delikatnie mówiąc, studentów, wiedzy o sztukach pięknych. - Proszę się mną nie przejmować, będę pracował do późna.

Dyrektor rzucił na piękne, biurko z drewna wiśniowego mejl od Mikołaja. Całą drogę z domu do muzeum zachodził w głowę, dlaczego sam nie zadał sobie pytania, które znalazł w korespondencji od Polaka. „Jako naukowiec muszę odrzucać wszystko, co nienaukowe”, myślał. „Ale w ten sposób popełniłem niewybaczalny grzech, stając się w istocie odtwórcą wielkich myśli innych, tych prawdziwych naukowców. Zapomniałem, że postępowanie w nauce dokonywał się zawsze, gdy ktoś pochylił się nad znanym wcześniej zagadnieniem i zdziwił się. Grzech?”

Paul sięgnął po staroświecki aparat telefoniczny i wykręcił numer telefonu Gudrun, modląc się w duchu, by miała dzisiaj wieczorem czas.

- Gudrun Ettinger, słucham?

- To ja - Paul nigdy nie mówił przez telefon nic więcej, gdyż miał uzasadnione podejrzenia, że Maria pracująca w sekretariacie podnosi czasem słuchawkę i podsłuchuje prywatne rozmowy dyrektora.

- Będę.

Ta lakoniczna wymiana zdań wywołała u Paula lekkie podniecenie. Sprawdzał, czy w szufladzie leży zapasowy klucz do starej wozowni, gdzie znajdował się składzik zdemontowanej przed dziesięcioma laty wystawy średniowiecznych narzędzi tortur Świętej Inkwizycji. Klucz leżał niewinnie wśród biurowych szpargałów, Paul uśmiechnął się lekko i przegonił szybko przyjemny dreszcz promieniujący z gęstniejącego supła w dolnej części brzucha. „Do pracy”, skarcił się w myślach i otworzył stylową flamandzką szafę, gdzie przechowywał blisko dwudziestoletni zbiór dokumentów o Bosch i jego... tak, nie wahał się nazywać tego po imieniu - jego szaleństwie.

Trudności pojawiły się na samym początku: jako doświadczony badacz wiedział, jak ważne jest właściwe ujęcie badanego zagadnienia, postawienie

hipotezy dotyczącej sedna. „Czy Bosch umiał spoglądać w przyszłość lub przeszłość?”.

Rzucił się do swoich zapisków. Odgrzebał notatki jeszcze z czasów studenckich. Wtedy, zafascynowany opracowaniem Fraengera o Boschu, postanowił usystematyzować dziwne obiekty na obrazach brabantkiego mistrza. Wyrysował w zeszycie tabelę z trzema kolumnami: tytuł obrazu, opis i kategoria. Kategorie były trzy: herezja, stwory i elementy wspólne.

„Jasne”, myśl i zrozumienie przyszły jednocześnie. „Nie wiem jak, ale to oczywiste!” - dyrektor zaczął z pasją chodzić po gabinecie tam i z powrotem, czując, jak plecy oblewa zimny pot. Hełm na *Sądzie Ostatecznym*, współczesne buty na *House of ill fame*, przedziwne maszyny na co drugim obrazie, wizja kulistej ziemi na *Trzecim dniu stworzenia* powstałym w czasach, kiedy Kopernikańska teoria była jeszcze najwyżej ideą w głowie autora, a jej głoszenie groziło co najmniej inkwizycyjnym dochodzeniem. Paul kartkował nerwowo brulion wypełniony równym, lekko wyblakłym pismem, napotykał kolejne dowody swojej tezy: szklane rury na *Ogrodzie rozkoszy ziemskich*, bobslej na prawym skrzydle *Ogrodu* - ba! nawet panczenista w znanej dopiero dziś typowej postawie.

„Co mam odpisać Polakowi?”, pomyślał. Nagle poczuł zawiść, żal o to, że ktoś rozwiązuje problem, nad którym pracował długie lata i którego nie potrafił rozwikłać. Jego rozumowanie biegło siłą rzeczy w poszukiwaniu interpretacji na gruncie sztuk pięknych, szukał nawiązań, alegorii i źródeł - co jednak nie prowadziło do niczego szczególnego poza znanym powszechnie faktem, że Bosch był wielkim wizjonerem.

„Nic mu nie odpiszę”, pomyślał nagle. „Nie, przecież wtedy dopiero zaczęnie węszyć. Co robić?”

Paul postanowił wyprowadzić Polaka w pole. Podeśle mu fałszywy ślad, a potem postara się go stopniowo podważyć i tym sposobem zniechęci konkurenta.

Myśli przerwał mu trzask otwieranych drzwi do gabinetu. „Cholera, znowu nie zauważyłem, jak minął cały dzień”, pomyślał i odwrócił się.

Gudrun miała zaledwie piętnaście lat, ale z powodu niemal anorektycznej budowy ciała wydawała się jeszcze młodsza. Pociągła twarz, blade usta i spłoszone spojrzenie wielkich oczu, przesłoniętych niemal przezroczystą powieką i jasnymi rzęsami tworzyły obraz bogobojnej chórzystki z klasztoru.

Patrzyła na niego błyszczącymi oczami, rachityczna pierś unosiła się jednak spokojnie.

- Jestem.
- Woźny cię widział?
- Nie, dzisiaj są urodziny jego córki, więc go nie ma.
- Skąd wiesz? - obrócił się gwałtownie.
- Chodzimy razem do kolegium.
- Chodźmy więc - Paul sięgnął do szuflady po klucz.

Poszli długimi i pustymi korytarzami. Stara wozownia znajdowała się na wewnętrznym podwórzu zabudowanego w kwadrat budynku muzeum. Lubienny uśmiech zabłąkał się na twarzy Paula, gdy otworzył stare drzwi i przepuścił Gudrun.

Tej nocy potępieńcze krzyki, które docierały do woźnego, były dłuższe, głośniejsze i mniej stłumione niż zwykle i dopiero nad ranem wielkie drzwi muzeum uchyliły się i wypuściły ubraną w białą sukienkę chórzystkę. Skręciła za rogiem w Schildersstraat, gdzie odprowadzili ją wzrokiem policjanci siedzący w zaparkowanym radiowozie. Gdyby stróże prawa zainteresowali się, co młoda dama robi sama o świcie na ulicy, Gudrun nie byłoby łatwo wytłumaczyć plamek krwi na plecach przesiąkających przez cienką sukienkę ani tego, skąd wraca.

Jednak stróże prawa popijali croissantsy kawą z termosu. Cukiernia otwierała się dopiero za godzinę, ale piekarz przychodził przed piątą, by na otwarcie wszystko było gotowe. Starym zwyczajem dokarmił policjantów. W ten sposób, dzięki zwyczajowi cukiernika, Gudrun spokojnie wróciła do domu.

* * *

W swoim gabinecie Paul obserwował, jak nad Antwerpią wstaje szary świt. „Dzisiejszej nocy trochę przesadziłem, muszę bardziej panować nad emocjami”, pomyślał i otworzył laptopa, by odpowiedzieć na pytanie Mikolaja.

„Szanowny Kolego”, pisał. „Proszę mi wybaczyć mój angielski, ale z racji bliskości Niemiec i zgłębianego materiału poruszam się sprawniej w niemieckim i niderlandzkim. Być może dlatego nie zrozumiałem za bardzo Pańskiego pytania”, pogratił sobie w duchu, może w ten sposób uniknie dalszych indagacji. „Jeśli chodzi o jednoczesność wydarzeń na obrazach, to było to typowe dla malarstwa tamtego okresu, zatem nie ma nic dziwnego w tym, że na obrazie *Raj* mamy jednocześnie stworzenie Ewy, kuszenie Adama i wypędzenie z raju. Chcę natomiast zwrócić uwagę Kolegi na powtarzające się na różnych obrazach Boscha te same motywy, jak chociażby żebrak na *House of ill fame* oraz zewnętrznych skrzydłach tryptyku *Wóz z sianem*, czy wreszcie klucz. Ten ostatni szczególnie jest, moim zdaniem, najbardziej interesujący, gdyż nie wyjaśniono dotychczas, dlaczego na wszystkich obrazach Boscha powtarza się ten sam model klucza, a na jednym z nich - mam na myśli *Kalwarię z ofiarnikiem* pojawia się inny, przywodzący na myśl klucz Św. Piotra. Mam na ten temat własne przemyślenia, ale chciałbym skonfrontować je ze świeżym spojrzeniem na sprawę”.

Paul był z siebie zadowolony. Wiedział, że historia z kluczami prowadzi donikąd, sam stracił na badanie tego tropu blisko dwa lata, więc był niemal pewien, że Polak chwyci przynętę.

Minęła siódma. „Cholera”, zaklął w duchu, „zaraz przyjdzie Maria”. Otworzył szafę i wyjął zapasowy garnitur. Parę minut po siódmej drzwi muzeum uchyliły się ponownie tego ranka. Paul nie zapomniał włączyć systemu alarmowego i trochę niewyspany, ale odprężony energicznie pomaszlował na uczelnię. Tego dnia miał tylko jeden wykład, więc parę minut po dziesiątej opuścił budynek uniwersytetu i wrócił do mieszkania przy Kastelepleinstraat.

Zapadł w głęboki sen.

* * *

Jerzy Ciechan miał najpiękniejszą w Złotym Stoku willę. Właśnie z lubością oddawał się swojej pasji - przeglądał kopie starych dokumentów poświadczających bogatą historię miasteczka i jego mieszkańców. Miasto założono w trzynastym wieku, kiedy pobliski klasztor cystersów uzyskał przywilej górniczy na terenach, gdzie od przynajmniej kilkuset lat wydobywano arsen i złoto. Miasteczko dziś podupadło, chociaż Ciechan pamiętał ostatni spust złota w 1962 roku. Był ostatnim mistrzem oddziału produkującego złoto z pokładów arsenowej rudy. Ostatni mistrz... Oczywiście Ciechana zaszklily się łzami. Mimo że był najstarszy na oddziale, wszyscy jego koledzy już nie żyli, bo wykończyły ich wyziewy cyjanków używanych w końcowej fazie ekstrakcji kruszcu.

Nagle usłyszał dzwonek do drzwi.

- Kto tam?

- To ja, Aurelka, otwórz.

W drzwiach stała Aurelia Szyska, dzierżawca starej kopalni, którą zamieniła w muzeum. Mimo swoich lat kipiała energią i młodzieńczym uśmiechem zjednującym jej zyczliwość jednych i zawiść drugich. Miasteczko zamieszkiwała bowiem bardzo dziwna społeczność. Ponieważ wydobywano tu złoto oraz produkowano materiały wybuchowe, była to miejscowość o znaczeniu strategicznym, zarówno dla władz komunistycznej Polski, jak i Niemców, którzy rządili w *Reichenstein* przed wojną. I jedni, i drudzy prowadzili ścisłą kontrolę mieszkańców. Przed wojną nie mieszkał tu ani jeden Żyd, po wojnie ani jeden Cygan, mimo że obie te narodowości były rozsiane licznie po okolicznych wsiach i miastach. Populacja także nie uległa zmianie - łącznie z pobliskimi wsiami oscylowała niezmiennie w okolicach trzech tysięcy mieszkańców. Przybysze nie byli mile widziani ani przez mieszkańców, ani przez władze. Wszyscy się znali, prawie nikt nie wyjeżdżał, wszyscy pracowali w tej samej fabryce. Nawet małżeństwa były zawierane zwykle w obrębie złotostockiej społeczności.

- Mamy bombę - krzyknęła od progu Aurelia.

Ciechan uśmiechnął się pod nosem. Elę znał od przynajmniej trzydziestu lat i wiedział, że potrafi zrobić z igły widły.

- Jak wiesz, odkopujemy i osuszamy upadową odchodzącą w stronę Krzyżowej Góry. Od ukończonej w 1913 roku transportowej sztolni „Gertruda”, która prowadziła do szybu „Reicher Trost” na górze Haniak oraz do złożeń na Górze Krzyżowej.

- Nie przeszło wam? Gdyby do zasypanego szybu „Goldener Esel” dało się dostać od strony kopalni, już dawno by to ktoś zrobił. Nie zapominaj, że w tamtych czasach kopalnia była wielką fabryką, a „Esel” to było najbogatsze podówczas złoże.

- Daj spokój, przecież nie jestem wariatką. Robimy to, bo w tej chwili mamy bardzo krótką trasę zwiedzania, a poza tym, kto będzie wiedział, że nie jest to „Goldener Esel”? Każdy niemiecki turysta pyta o ten szyb. A już przynajmniej kilku było na tyle zorientowanych, że „Gertruda” według planów miała 3 kilometry, a nie tysiąc dwieście metrów jak dzisiaj.

- No dobrze, co to za bomba, o której chciałaś mi powiedzieć?

- Dzisiaj dotarliśmy do niedużego wyrobiska, widocznie ci, którzy, drążyli upadową, natknęli się na gniazdo rudy.

- To akurat nic nadzwyczajnego i co dalej?

- Po osuszeniu skał natknęliśmy się na zamurowaną jakby kawernę, obok której ktoś wykuł sowę.

- Sowę?

- Nie wiem, może puchacza, może puszczyka, dla mnie to wygląda na sowę.

Aurelia dostrzegła błysk w oku Ciechana. Już jest jej.

- Idziemy - rzucił tylko i mimo siódmego krzyżyka na karku nadzwyczaj lekko poderwał się zza stołu. - Poczekaj na mnie na dworze, wezmę z piwnicy latarkę i gumowce! - krzyknął do Aurelii. Patrzyła za nim, jak odchodzi wyprostowany, szczupły i ciągle przystojny.

Schodzili razem w dół do zabudowań kopalni.

- Co o tym sądzisz?

- Nie mam pomysłu - umysł Ciechana był jeszcze zupełnie sprawny i pracował na najwyższych obrotach. - Tylko tyle, że ktoś chciał coś w ten sposób oznaczyć.

- Może pochowano tam jakiegoś gwarka?

- Nie sądzę. Po pierwsze, to były ziemie chrześcijańskie, więc jeśli już, to byłby tam krzyż. Po drugie, ludzi nie chowano w kopalniach, tylko wydobywano na powierzchnię.

Przerwali rozmowę, gdyż stali przed wejściem do kopalni. Strażnik, młody Polański, którego znał od berbecia, pozdrowił ich przyjaźnie. Minęli się w wejściu z wycieczką, która właśnie wracała. Zapuscili się w zatęchłe i słabo oświetlone chodniki.

Gdy dotarli do upadowej, Aurelia zatrzymała się i sięgnęła za rumowisko kamieni odrzuconych przy odkopywaniu sztolni. Wyciągnęła stamtąd dwie tradycyjne lampy i wręczyła jedną z nich Ciechanowi.

- Zapal.

- Przecież mam latarkę - wyjął potężnego maglighta i z dumą zademonstrował działanie.

- Ta lampa nie jest do oświetlania, tylko ma nas ostrzec przed dwutlenkiem węgla.

- Jak to?

- To proste, dwutlenek węgla jest cięższy od powietrza. Kiedy jego stężenie na wysokości lampy wzrośnie do niebezpiecznego poziomu, lampa zgaśnie, a my będziemy mieli dość czasu, by bezpiecznie się wycofać.

- Sprytnie. Człowiek całe życie się uczy. Zawsze sądziłem, że to lampy do oświetlania.

- To też, ale takie lampy ratowały życie znacznie częściej niż ratownicy. Także tam, gdzie jest metan. Uważaj! - krzyknęła o sekundę za późno.

Ciechan gramolił się na spągu, rozcierając stłuczone kolano.

- Przepraszam, zapomniałam ci powiedzieć, żebyś uważał na rurę. Musimy stąd ciągle pompować wodę. Możesz iść?

- Nic mi nie jest. Zapal mi tylko lampę, bo zgasła.

Tymczasem doszli do wyrobiska. W tej części kopalni panowała niemal martwa cisza, tylko od czasu do czasu słychać było spadającą kroplę wody i jakby delikatny trzask przesuwających się skał.

- Poświeć tam - wskazała ręką Aurelia.
- Niesamowite - wyszeptał.

Jakieś trzy, cztery metry nad nimi widać było fragment prymitywnego muru z odłamków skały o średnicy mniej więcej metra. Na lewo od jaśniejszej plamy, w skale, znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca sowę.

- Jak to wypatrzyliście? - Jerzy popatrzył z powątpiewaniem na niemal pionowe ściany wyrobiska.

- Ja to wypatrzyłam - w głosie Aurelii słychać było dumę. - Kiedy robotnicy zaprowadzili mnie do wyrobiska po jego osuszeniu, oglądałam uważnie ściany. Widzisz, robimy to nie do końca legalnie, jeśli komuś by się coś stało, pójdę siedzieć.

- A co mają do tego ściany?

- Chodniki były drażone na dwa sposoby. Przeważnie są kute dookoła żył kwarcu i rudy, ale czasem były odstrzeliwane. Tak właśnie było w przypadku tego wyrobiska. Dlatego muszę dokładnie oglądać ściany pod kątem ewentualnych pęknięć.

- Rozumiem.

- Wtedy zobaczyłam sowę. I od razu pomyślałam, że możesz coś wiedzieć na ten temat.

- Zawiodę cię. Nie wiem nic. Kiedy to mogło powstać?

- Trudno powiedzieć. Na moich mapach nie ma tej upadowej. Jak wiesz kompletny zbiór map po Guttlerze jest teraz w archiwach państwowych.

Gdyby w wyrobisku było trochę jaśniej, Aurelia zauważyłaby nagły błysk w oku Ciechana. Nie chcąc dać po sobie niczego poznać, zręcznie zmienił temat:

- Co chcesz z tym zrobić?

- Jak to co? Zamienić na brzęczącą monetę! - perlisty śmiech Aurelii wybuchł w cichym chodniku i powrócił po kilku sekundach złowieszczym na pozór echem.

- W zasadzie to lokalna tradycja - Ciechan uśmiechnął się pod nosem. -
A dokładniej?
 - Najpierw spróbuję dobrać się do kawerny.
 - Żartujesz chyba? Ten mur na oko wydaje się nie do ruszenia.
 - Tam od razu nie do ruszenia - zachnęła się Aurelia.
 - Nie zamierzasz chyba...
- Aurelia pokiwała z powagą głową.
- Przecież nawet jeśli zdobędziesz gdzieś amonit, to jak ukryjesz wybuch?
 - Nie amonit. Wiesz przecież, że w Mąkolnie do dziś produkuje się czarny proch.
 - Żartujesz? Nie zamierzasz chyba użyć tego prehistorycznego materiału?
 - A czemu nie? Do dziś strzela się nim w kamieniołomach tam, gdzie istnieje ryzyko zniszczenia monolitów.
 - Ach, tak? Wiesz coś więcej?
 - Niewiele, tyle co Zbyszek opowiadał mi kiedyś, jak go spytałam, kto i po co używa w dwudziestym pierwszym wieku czarnego prochu. Proch spala się bardzo powoli i bez fali detonacyjnej, co pozwala oddzielać duże bloki wzdłuż naturalnych płaszczyzn odspojień.
 - Wróćmy do meritum. Zamierzasz to odstrzelić prochem? A lonty?
 - W zakładzie do lat osiemdziesiątych produkowano także lonty. Ludzie kradli je i wykorzystywali w charakterze sznurów do bielizny.
 - Żartujesz?! Ale to na nic, pewnie będą stare i zawilgłe.
 - Niekoniecznie. Rolka z lontem miała kilkadziesiąt metrów i świetną izolację. W środkowej części działa jak należy.
 - Czyżbyś...?
 - Aha - w głosie Aurelii słysząc było triumf.
 - A hałas?
 - Jesteśmy ponad sto metrów pod ziemią. A w czerwcu odbywa się Gwarklada w starym kamieniołomie, która kończy się fajerwerkami. Jako sponsor zadbam, by tym razem były szczególnie głośne.

- Ja się wypisuję. Nie zamierzam siedzieć na stare lata.
- Ależ nie namawiam cię wcale. Chcę tylko, żebyś był, jak zajrzymy do środka, i opowiedział do gazety jakąś prawdopodobną historię.
- Tu cię mam - Ciechan zamyślił się. - Nie ma sprawy, ale ja tego nie słyszałem.

* * *

Jaśnie Oświecony Książe!

Ogromne to szczęście dla mnie, że mogę teraz Waszą Miłość zwać moim ojcem chrzestnym. Wkrótce zbliża się dzień narodzin Chrystusa, który po raz pierwszy będę obchodzić jako Jego wyznawca, chociaż w naszym mieście nie brak takich, którzy roznoszą pogłoski, jakobym nadal zamiast do kościoła chodził do synagogi. Tak czy inaczej, jestem chrześcijaninem, dzięki Bogu i Waszej Miłości.

Nie pytaj mnie, Książe, czy przyjmąwszy nową wiarę, wyrzekłem się starej. To tak, jakbyś pytał malarza, czy malując obraz dla Ciebie, maluje też inny obraz. Jeśli nawet tak, to cóż z tego? Czyż największy artysta naszych czasów, mistrz Leonardo, nie tworzy dzieł i dla władców chrześcijańskich, i dla sultana tureckiego? Oficjalnie tego nie przyznaje, ale przecież wszyscy o tym wiedzą. Sztuka nie ma wiary, nie czci żadnego Boga. Sama dla siebie jest bogiem. Nie uznaj, Panie, tych słów za bluźnierstwo.

Skoro już mowa o malarzach, pytałeś mnie Książe, czy nie znam kogoś, komu można by zlecić dzieło o Sądzie Ostatecznym. Oczywiście, że znam. Jeroen Anthoniszoon van Aken - wspominałem już o nim Waszej Miłości - nada się do tego idealnie. Zapewniam Waszą Miłość, ten człowiek potrafi swoim pędzlem wyczarować każde zjawisko ziemskie i nadprzyrodzone. W jego żyłach zamiast krwi płynie malarska farba. Jego ród trudni się tym fachem od pokoleń: dziad, ojciec, stryjowie byli malarzami. Są nimi również bracia mistrza Jeroena. Ale żaden z nich mu nie dorównuje.

Niedawno odwiedziłem go w jego domu i miałem sposobność ujrzeć fragment dzieła, które maluje dla naszego Bractwa. Cud, że nie ośleplem z wrażenia. Do tej pory mam przed oczami genialnie przedstawiony wizerunek bytującej w rajskim ogrodzie szczęśliwej społeczności dzieci

Adama. Każda postać wygląda tak, jakby zaraz miała zejść z obrazu i przechadzać się po komnacie, każda część ciała zdaje się żywa, żrenice zdają się patrzeć, usta mówić, piersi oddychać i w ogóle wszystko jest całkowicie naturalne. Powiem nawet, że zbyt naturalne, aby niektórzy mogli to zobaczyć. Jeśli Wasza Miłość zdecydujesz się kiedyś zatrudnić van Akena, trzeba najpierw go uprzedzić, by przy obrazie dla członka dynastii aż tak ową naturą nie szafował. Zwłaszcza jeśli tematem dzieła miałby być Sąd Ostateczny. Żaden chrześcijanin nie odważyłby się przywędrować na Sąd Ostateczny w stroju Adama.

Wracając do mistrza Jeroena, Wasza Miłość miałeś okazję go poznać. Był na ceremonii w Katedrze, chyba nawet go Księżciu przedstawiałem, o ile pamiętam. Nie wiem, czy Wasza Miłość przypominasz sobie - to ów zamożnie odziany mieszczanin, z okazałym nosem i przenikliwymi oczami, zajmował ławkę blisko ołtarza. Trudno zresztą go nie zauważyć. Zaiste, sama powierzchowność tego człowieka wskazuje, że to nie byle jaka osobowość. Dama, która mu towarzyszyła, to jego żona Aleyt, córka świętej pamięci Goyarta van de Marvenne, który był chyba największym bogaczem w naszym mieście. Nie żyje od ponad piętnastu lat, ale jego majątek stale się pomnaża. To zasługa gospodarnej córki i obrotnego zięcia. Tak, Panie, nasz wybitny artysta, mimo tego, co zwykle mawia się o ludziach jego profesji, ma leb na karku i ziemskim dobytkiem nie gardzi. Nawet nie wspomnę, by nie być posądzonym o przesadę, ile zdarł ze mnie za obraz dla Bractwa, choć przecież od dawna się znamy i jako stary przyjaciel mógłby trochę obniżyć stawkę. Ale ja mu nic nie żałuję, dobre dzieło warte jest dobrej ceny. Myślę, że od Waszej Miłości van Aken nie zażądałby zbyt wygórowanej sumy. W końcu malować dla Cesarskiego Syna to nie miały honor. Gdybym ja był malarzem, nie wziąłbym od Waszej Miłości złamanego grosza. Taki zaszczyt starczyłby mi jako cała zapłata.

Wątpię jednak, czy Jeroenowi starczy. W każdym razie zawsze można z nim negocjować. Jeśli ksiązę zażyczy sobie, podejmę się tego bardzo chętnie. Co jak co, ale targować się umiem.

Polecając się laskawej pamięci Waszej Miłości, podpisuję się uniżonym sługą

Jacob Almaengien, Philips van Sint Jaan

* * *

Od ostatniej rozmowy z Aurelią minęły trzy tygodnie. Ciechan przypominał sobie o niej, idąc na festyn, który jak co roku odbywał się w scenerii nieczynnego kamieniołomu. Na scenie ryczał młodzieżowy zespół i właśnie zaczął się pokaz fajerwerków. Aurelia nie żartowała - tak głośnych Złoty Stok jeszcze nie pamiętał. W pewnym momencie Ciechanowi wydało się, że ziemia lekko zadrżała, ale zganil się szybko za autosugestię. Żeby wysadzić mur w wyrobisku, wystarczyło pewnie pół kilograma prochu, a to za mało, aby cokolwiek było słyszać lub czuć przez kilkudziesięciometrową warstwę skał i gleby.

Ciechan, nie widząc nigdzie Aurelii, postanowił się przejść. Wybrał ścieżkę pod górę, w stronę Złotego Jaru, czyli schroniska urządzonego w przedwojennym ośrodku szkoleniowym Hitlerjugend. Odgłosy fajerwerków zaskakująco szybko ustąpiły szumowi potoku płynącego dołem.

Po kilkuset metrach poczuł znajomy przyjemny zapach siarki. „Pewnie przywiało fajerwerki”, pomyślał i ruszył dalej. Dotarłszy do Złotego Jaru, zawrócił, gdyż mimo wschodzącego księżycy bał się zapuszczać w las. Nagle, w tym samym miejscu co przed godziną, ponownie poczuł zapach siarki. „Co, do cholery, przecież nie strzelają już od godziny”, pomyślał.

I wtedy zobaczył. Po lewej stronie drogi po wilgotnej trawie snuł się biały dym, błyszcząc w księżycowym świetle. Ciechan schylił się, omal nie przyplacając tego wypadnięciem dysku ze schorowanego kręgosłupa, i powąchał. Nie miał wątpliwości, to było właśnie źródło siarkowego zapachu. Zastanawiając się nad jego pochodzeniem, przypomniał sobie, że dokładnie w tym miejscu w stoku góry znajduje się dziki, choć zabezpieczony kratą chodnik.

„Pewnie odstrzelili ładunek w kawernie, a ta miała połączenie z chodnikiem”, wysunął jedyny sensowny wniosek, wzruszył ramionami i wrócił do domu.

* * *

- Co o tym sądzisz? - Iza czytała przez ramię mejl od Paula.
- Przeceniliśmy go. Facet chyba nie dostrzegł drugiego dna mojego pytania - w głosie Mikołaja słychać było zawód.
- Pamiętaj, że to nie znaczy, że nie mamy racji.
- Niby nie, ale z drugiej strony pewnie spędził całe lata na badaniach Boscha, mając do tego niezły kontekst historyczny - popatrzył na Izę z rezygnacją.
- To może wróćmy do hipotezy wielkiego fałszerstwa?
- Nie sądzę. Po blamażu znawców i ekspertów przy Vermeerze każdy właściciel przeprowadził po cichu badania. Zresztą z tego, co wiem, to większość obrazów Boscha jest znanych i katalogowanych od samego początku.
- O, nie wiedziałam.
- Wyczytałem, że jego wielkim miłośnikiem był Filip II Hiszpański, miał trzydzieści sześć na czterdzieści znanych, czy raczej przypisywanych Boschowi dzieł.
- Kiedy on żył?
- Był z grubsza Boschowi współczesny. Nie, urodził się parę lat po śmierci Hieronima.
- W takim razie scenariusz analogiczny do Vermeera jest raczej mało prawdopodobny - Iza popatrzyła z boku na zrezygnowanego Mikołaja. - Skąd ty to wszystko wiesz? - spytała nagle.
- Czytam. Nie daje mi to spokoju, w pracy zamiast pracować pogłębiam wiedzę o Boschu i epoce.
- Mądry to ty nie jesteś - powiedziała z przekąsem.
- No co?
- Nic już. A co z tymi powtarzającymi się elementami na różnych obrazach?
- To może być ciekawe. Może dajmy na chwilę spokój przenoszeniu się w czasie i pójdźmy tropem zasugerowanym przez Paula?
- Dobry pomysł, tym bardziej że możemy robić to w łóżku.
- Iza!

- Nie nacieszyłam się jeszcze tobą - spojrzała na Mikołaja z wyrzutem.
- Dobrze już, dobrze - Mikołaj nie miał ochoty na sprzeczkę. - Lubię się z tobą kochać. Okay?

- Zaraz do ciebie przyjdę, tylko wezmę prysznic.

Mikołaj zaniepokojony dłuższym niż zwykle pobylem Izy w łazience poszedł sprawdzić, co się dzieje. Drzwi były lekko uchylone, łazienka zaparowana. W kącie za szybą kabiny majaczyła jej naga postać. Stała bokiem, głowę miała wzniesioną do góry i nie widziała, że Mikołaj jej się przygląda. Jedną nogę uniosła ku górze, prawą dłonią trzymała słuchawkę prysznicową, z której leniwy strumień wody spływał w stronę krocza. Patrząc zafascynowany, jak ciało jej się wypręża w kolejnych spazmach. Mimo potężnej erekcji po cichutku wrócił do łóżka, uśmiechając się do swoich myśli.

Wróciła do pokoju owinięta tylko ręcznikiem i z mokrymi włosami, na ramionach lśniły jeszcze kropelki niewytartej wody. Stała nad leżącym Mikołajem, ten jednym ruchem rozplątał jej ręcznik. Przytrzymała go na piersiach i przekornie patrząc, spytała:

- Podobam ci się?

- Chodź do mnie, proszę.

Ręcznik opadł na dywan, Iza podniosła koldrę. Dosiadła go bezceremonialnie. „Nici z pracy dzisiaj”, zdążył tylko pomyśleć. Iza z podwójną pasją zaczęła go dojeżdżać, przyciskając mocno jego ręce do swoich piersi. Kiedy poczuł, jak jej pochwa obkurcza się rytmicznie, nie wytrzymał. Iza nie przestawała jednak i pieprzyła go dalej.

- Iza, to boli! - poskarżył się.

Dalej nic. Kiedy spojrzał na jej twarz, zobaczył, że odpłynęła do innego świata. „Zacięła się, czy co?”, pomyślał, czując jak potężny skurcz pochwy u samej nasady penisa nie pozwala ustąpić erekcji.

- Boli - jęknął, odpychając Izę mocno. Poczuł, jak jej paznokcie drapią mu skórę na piersi, a pochwa zaciska się jeszcze bardziej.

- Wariatko! - krzyknął i strzelił ją w twarz.

Popatrzyła nieprzytomnie, ale ucisk zelżał. Mikołaj wyciągnął flaczejącego penisa i odetchnął. Iza osunęła się i przytuliła. Leżeli tak dłuższą chwilę. Nieoczekiwanie próba odklejenia się sprawiła, że Mikołaj syknął z bólu - coś ciągnęło go za włosy na klatce piersiowej. Kiedy Iza podniosła się, zobaczył, że jej piersi pokryte są rozsmazaną, ciemną i lekko podeschniętą już krwią.

- Cholera - wyszeptała. - Przepraszam, przepraszam!

- Nic się nie stało - Mikołaj bał się bardziej o obtartego penisa niż ślady po paznokciach.

- Nie wiem, co się ze mną stało, nie pamiętam - Iza sprawiała wrażenie, jakby rzeczywiście wróciła z dalekiej podróży.

- To nic. Ale nie znałem cię od tej strony

- Miki, przepraszam. Nie ruszaj się, spróbuję cię opatrzeć.

Wstała i naga pobiegła do łazienki. Wróciła z paczką chusteczek higienicznych i spirytusem salicylowym.

- Zwariowałaś?

- Mmm - usiadła znowu na nim - zaraz siostra Izka opatrzy rany naszego rycerza.

- Aaa - wrzasnął, kiedy spirytus wżarł mu się w rany. I wtedy zamarł... Twarz Izy wykrzywiła się w ekstatycznym grymasie - Aj! Uuu!

„Ona najwyraźniej podnieca się moim bólem”, myślał przestraszony, patrząc jak każde syknięcie wywołuje u niej wejście na kolejny poziom rozkoszy. „W co ja się wpakowałem?”, myślał gorączkowo, i dziękował Opatrzności, że nawet nie zająknął się słowem o obtartym penisie. To by mogło źle się skończyć.

Kiedy już Iza zalepiła głębsze rany na piersi Mikołaja plastrami, a Mikołaj przeszedł do porządku dziennego nad sadystycznymi upodobaniami Izy, utworzyli album z Boschem.

- Weź może coś do pisania.

- Mam - Iza wyjęła notesik w okładce w niebieskie esy-floresy z szuflady koło łóżka.

- O, widzę, że tu się też zdążyłaś wprowadzić? - zażartował.

- Przepraszam.
- Daj spokój, żarty sobie stroję, wyluzuj.

Pochylili się nad reprodukcjami.

- Patrz, klucz - Iza stuknęła długopisem w *Sztukmistrza*.

- To w ogóle niezły obraz - gość z tyłu kroi mieszek ze złotem, a gówniarz na dole najwyraźniej jest jego współnikiem.

- Skup się i zapamiętaj kształt klucza.
- Dobrze już, dobrze. To może przejrzymy resztę pod kątem kluczy?

Pochylili się znowu. Identyczny klucz był na *Śmierci Skąpca*, nieco inny na jednym z ukrzyżowań Chrystusa.

- Koniec, więcej kluczy nie ma - Mikołaj podniósł głowę.

- Czy w tym albumie są wszystkie jego obrazy?

- Zobaczymy indeks. Nie, nie wszystkie. Przypisuje się mu około 40 prac, tu jest zaledwie połowa.

- Dobrze, w takim razie szukajmy innych obiektów, które się powtarzają.

Znaleźli. To świnie, różne przedmioty wetknięte w tyłki, stwory bez tułowia. Nic z tego niestety nie wynikało i w głowach obojga zaczęło pojawiać się z wątpienie.

- Mam! - Iza po kilkunastu minutach wydała z siebie okrzyk radości - szukamy pojedynczych przedmiotów i nie widzimy całości!

- Co masz na myśli?

- Popatrz na włóczęgę. Ten sam człowiek występuje na zewnętrznych drzwiach tryptyku *Wóz z sianem* i zdaje się, jako grzejący się przy ognisku włóczęga na *Adoracji Dzieciątka*. Za każdym razem ma ten sam kosz na plecach.

- Chyba masz rację, ale co to znaczy?

- Pojęcia nie mam. To ty jesteś tutaj od myślenia, ja ci mogę pomóc tylko babską intuicją i spostrzegawczością.

- Nie schlebiasz sobie za bardzo? - Mikołaj poczuł się lekko urażony.

- To powiedz mi, mądralo, czy coś dostrzegasz, w związku z tym włóczęgą?

Przejrzał trzy reprodukcje. Nerwowo zaglądał to do jednej, to do drugiej. „O co jej chodzi? To faktycznie ten sam facet, ale niczego więcej nie widzę”.

- I?

- Poddaję się.

- A co dostanę w zamian?

- Iza - popatrzył żałośnie - daj mi odpocząć.

- Nie wiem sama. Może, jak sługa rzuci się do mych stóp, to się zastanowię.

„Tu cię mam!”, pomyślał w duchu.

Ukląkł więc, ściągnął Izie kaptura i pocałował w duży palec u nogi, nie przestając patrzeć w górę. Przez sekundę twarz Izy stężała, a na skórze przedramion gęsia skórka uniosła delikatne jak puch włoski do góry.

- Przyjmuję hołd - Iza wróciła szybko do rzeczywistości.

- A moja nagroda?

- Nie zauważyłeś oczywiście, że nasz delikwent jest na tych obrazach w różnym wieku?

Mikołaj rzucił się do reprodukcji. „Jak ona to wyłapała?”, pomyślał.

- Chylę czoło, wasza wysokość - prawie udało mu się ukryć zgryźliwość w głosie.

- Jest jeszcze coś - Iza popatrzyła filuternie.

- Dawaj.

- Jak się odzywasz do księżniczki, prostaku!

- Przepraszam, wasza wysokość. Zechcesz pani przyjąć przeprosiny?

- Czyń swoją powinność.

Mikołaj powtórzył gest z drugą stopą. Iza tym razem sekundę dłużej rozkoszowała się pieśczętą. „Ona jest nienormalna”, pomyślał.

- Czego więc jeszcze nie zauważyłem u włóczęgi?

- Popatrz na pierwszą stronę albumu. Tam jest portret Boscha.

- Ten kredką? Znam go.

- Nie dostrzegasz podobieństwa? Przecież to ten sam facet.

- E, nie przeginaj.
- Ten sam, tylko starszy. Jest całkiem przystojny, czego mężczyźni zwykle nie dostrzegają. To samo spojrzenie, te same ostre rysy.
- Ale Bosch nie był włóczęgą. W jakim celu przedstawiałby się w taki sposób na własnych obrazach?
- Ty mi powiedz. Ja będę obserwować, a ty myśleć. Jestem tylko kobietą, pamiętaj - zakończyła pojednawczo.

Siedzieli nad albumem jeszcze bite dwie godziny, nie znajdując niczego nowego. Iza zwinęła się w kłębek i zasnęła. Do głowy Mikołaja powróciła myśl o kluczach. „Klucze, klucze... O co mogło chodzić Paulowi? Dlaczego Bosch malował się na obrazach jako żebrak? Dlaczego domalował sobie buty z dwudziestego wieku i skąd wiedział, jak wyglądają? Czego jeszcze nie dostrzegam w obrazach? Skąd wzięły się wizje potworów? Skąd na średnio-wiecznych obrazach rozpasany seks, sodomia?”

Jedne pytania pobudzały do zadawania następnych - i żadnych odpowiedzi. Zanim Mikołaj usnął, wysłał do Paula mejl. Wyłuszczył swoje pytania. Pytając o sodomie, o mały włos napisałby o obtartym penisie. „Jestem już zmęczony”, pomyślał i przytulił się do ciepłej od snu Izy.

* * *

Tego dnia zakonnice miały zajęcia w terenie, pomagały przy zbiorce warzyw. Marianna odłączyła się od grupy, mimochodem dotarła do przydrożnej, niemalże niewidocznej kapliczki Matki Boskiej od Warzyw, jak ją sobie w duchu nazwała, bo przecież niemożliwie, żeby akurat ta figura nie miała jakiejś nazwy. Każda ma. W powietrzu unosił się zapach lasu, bzycały owady, wyraźnie było słycać szum wiatru w trawie i w leżących opodal polach pszenicy. Muzyka natury, intymność chwili oraz nieokiełznana żądza młodej zakonnicy przywiodły wizje o niepokalnym poczuciu i rajskich orgazmach, jakie mogłyby wydarzyć się w takiej scenarii. Każda kobieta nie raz

umieściła taką scenę w swoich namiętnych fantazjach. I każda to zrozumie. Inaczej niż mężczyzna, który nie za bardzo poświęca uwagę takiemu wyrafinowaniu. Co innego Jezus. On nauczył ich wszystkiego w raju, myślała Marianna. Osunęła się na lekko wyschniętą trawę. Wijąc się jak obłąkana i przygryzając wargi z rozkoszy, poczuła, że to miejsce jest wyjątkowe. Obecność natury wprowadziła ją w takie uniesienie, że weszła aż na trzy szczyty rozkoszy, myśląc, że ta wilgoć jest o niebo miłsza niż wszystkie oceany razem wzięte. Jej ciało po raz kolejny odkryło przed nią tajemnicę. Marianna była o krok dalej w zgłębianiu otchłani namiętności i o krok bliżej niebiańskiej nagrody. Od tej pory tajemne sesje instruktażowe wobec wybranych dziewic Marianna wzbogacała o element patronującej całej orgii ze świtą Jezusa nowo odkrytej Matki Boskiej od Warzyw, co zdaniem Marianny zapewniało już namiastkę wyobrażeń o wniebowstąpieniu i wszechogarniającym szczęściu.

* * *

Paul Hardenne od kilku dni funkcjonował w stanie permanentnej monomanii. Zajęcia prowadził jak robot, nie zadawał studentom ćwiczeń i zapomniał o skrupulatnym sprawdzaniu obecności na seminariach. W jego umysł wkradło się szaleństwo, szaleństwo człowieka, który poświęcił życie wielkiemu dziełu i był dwa kroki przed jego uwieńczeniem.

Przesiadywał całe wieczory nad swoją szafą ze zbiorem dokumentów i opracowań na temat Hieronima Boscha, które gromadził przez dwadzieścia lat. Miotał się od czarnej rozpaczki po przebłyski zrozumienia. Nie pozwalał sobie jednak na luksus zakończenia wysiłków - nie teraz! - i co rusz poddawał swoje śmiałe tezy analizie. Wcielał się w rolę swoich znamienitych kolegów, którzy będą oceniać jego pracę habilitacyjną. Jego dzieło życia! „Co oni mogą wiedzieć o Boschu?”, myślał pogardliwie. „Czy docenią finezję przekazu, ten zagmatwany kod, który widoczny dla wszystkich pozostawał w mroku przez pięć stuleci?”

Zaklął szpetnie. Spomiędzy palców sączyła się krew, a grafit ze złamanego ołówka nadawał strużkom srebrzysto-brudny połysk. Mimo woli pomyślał o Gudrun i w jego rozdygotany umysł wkradły się macki lubieżności.

- Szanowny kolego, może skorzysta pan z apteczki - niemal z zaświatów dotarł do niego głos rektora Francisa Van Zoona.

Uświadomił sobie, że siedzi na posiedzeniu senatu uczelni, a jego nieskazitelnej reputacji perfekcjonisty zadano właśnie cios.

- Przepraszam, zamyśliłem się - poderwał się z rzeźbionego fotela. - Zaraz wracam.

Wyszedł do łazienki, by opatrzyć ranę. Miał już wracać, ale zatrzymało go własne odbicie. Spoglądał na niego blada, wycieńczona twarz i zaczerwienione błyszczące oczy. „Weź się w garść, do cholery”, pomyślał i szybkim krokiem opuścił uczelnię. „Dość na dzisiaj, muszę odpocząć, bo zwariuję. Żadnej Gudrun, żadnej pracy. Trzeba wziąć się za habilitację”. Zahaczył jeszcze o sekretariat i złożył wniosek urlopowy, „trzy tygodnie powinny wystarczyć”. W ten sposób wyznaczywszy sobie ramy działania, poszedł do kampusowej restauracji na pierwszy od wielu dni porządny posiłek.

Kiedy siedział nad doskonałym jak na uczelniane standardy sznycem, nagle doznał olśnienia. „Niepotrzebnie boję się tego Polaka. Nie słyszałem o nim nic, niczego nie opublikował, niczym mi nie zagraża. Skoro dał się zmylić w kwestii czasu, to nie jest aż taki inteligentny, jak mi się wydawało”.

Po drodze z kampusu do muzeum w głowie Paula powstawał misterny plan. „Najpierw podrzucę mu właściwy trop w sprawie z kluczem. On prowadzi donikąd, ale wystarczy, żeby skanalizować jednoznacznie kierunek jego badań”. Zachichotał złośliwie. „Wszyscy podniecają się templariuszami, więc ten młokos wpadnie w to jak śliwka w kompot”.

Plan był genialny. Młody naukowiec podąży podsuniętym śladem i po pierwsze, zapomni o nieszczęsnym czasie na tyle długo, by Paul przedłożył pracę habilitacyjną, a po drugie, dostarczy mu przy okazji soczyste tezy z

innych prac do jego własnej. Nie cierpiał poszukiwania materiałów źródłowych i wciskania ich na siłę do prac naukowych tylko po to, by wyglądały poważniej, i w tym właśnie mógłby go wyręczyć Mikołaj. Zrewidował jeszcze raz swoją intrygę: tak, plan był doskonały.

Wrócił do domu i sprokurował mejl, który wysłał do Mikołaja. Zręcznie ominął odpowiedzi na pytania, zasłaniając się złożonością tematu - prawdę mówiąc, nie chciał na to tracić czasu. Jednocześnie podsunął mu fascynujący, odkryty niemal przypadkiem, ślad związany z kluczem. Wyraził nadzieję, że młodszy kolega podzieli się z nim napotkanymi informacjami źródłowymi.

Zadowolony z siebie zamknął komputer. Choć do oddania abstraktu pracy habilitacyjnej zostało niecałe dwadzieścia dni a on nie miał ani jednego zdania, już wiedział, że zdąży na czas. I będzie pierwszym naukowcem, który odkryje... Odgonił od siebie śmiałe myśli, jakby obawiał się je jawnie wyrazić. „Przynajmniej pierwszym, który przy pomocy zdziwaczałego malarza z początków szesnastego wieku i własnej pracy zagra nauce i jej luminażom na nosie, i to jeszcze jak!”

* * *

- Iza?

Iza zasnęła po obiedzie. Była niedziela, a za oknem siąpiło od rana, więc nawet mocne espresso nie uchroniło przed popołudniową drzemką. Spała na tyle lekko, że usłyszała szept Mikołaja i otworzyła oczy.

- Tak?

Mikołaj wybuchnął śmiechem, a Iza, nic nie rozumiejąc, rozglądała się zdziwiona swoimi ogromnymi niemal granatowymi oczami. Na policzku odgniótł się jej wzór sztruksowej poduszki, trzepotała rzęsami, usiłując złapać ostrość obrazu.

- Z czego się śmiejesz?

- Z ciebie - wyglądasz, jakbyś spała dwa tygodnie, a nie dwadzieścia minut.

- Potwór.
- Gotowa na rewelacje? - zmienił temat.
- Aha?
- Paul mi odpisał na mejla.
- I co, i co? - ożywiła się.
- Jacques de Molay, mówi ci to coś?
- Nie bardzo. Coś bliżej?
- To ostatni mistrz zakonu templariuszy. Spalili go, kiedy Filip IV Piękny, ich największy dłużnik, zadencjonował zakon jako heretyków.
- Filip IV? Czy nie tak brzmiało imię króla, który skupował dzieła Boscha?
- Nie, wtedy co drugi władca pogranicza Hiszpanii i Francji nazywał się Filip któryś tam. Ten od Boscha to był Filip II Hiszpański., De Molaya spalili dwieście lat przed Boschem, czy jakoś tak.
- Więc jaki jest związek z Boschem?
- Zaczekaj, czy wiesz, co o templariuszach mówi legenda?
- Pojęcia nie mam. Wiem, że byli bardzo bogaci i że nie odnaleziono ich skarbu - powiedziała niepewnie.
- Templariusze ochraniali szlaki wiodące do grobu Pańskiego w Jerozolimie. Pobierali za to słone opłaty, dzięki czemu zakon systematycznie i bardzo szeroko budował swoje wpływy w całej Europie.
- No i?
- Sęk w tym, że Filip IV, aresztując templariuszy i konfiskując cały ich majątek, miał nadzieję nie tylko na umorzenie długów, ale i na zawartość potężnego skarbcza, która miała załagodzić gniew Watykanu. A okazało się, że skarbiec jest pusty.
- Ale jak to się ma do naszej lamigłówni?
- I tu dochodzimy do sedna - Mikołaj zawiesił głos. - Kiedy spałaś, pooglądałem tu i tam.
- Wnioski?
- Może przetestujemy twoją spostrzegawczość? - Mikołaj poczuł przyjemny smak malutkiej zemsty za ostatnie upokorzenia.
- Spadaj - zepchnęła go z fotela przed komputerem.

- Ciepło - Mikołaj patrzył z aprobatą, jak Iza wstukała w przeglądarkę „Jacques de Molay”. Czytała chwilę w skupieniu, ale Mikołaj przerwał jej:

- Zimno...

- Daj mi pracować, dobrze? - lekko się zirytowała.

Kolejne odnośniki nie przyniosły odpowiedzi, ale kiedy Iza kliknęła na rycinę przedstawiającą mistrza, poczuła uścisk na ramieniu. Choć Mikołaj zrobił to bezwiednie, zrozumiała i bez słowa zaczęła przeglądać wyniki wyszukiwania grafiki. Po jakichś trzydziestu odnośnikach zniechęciła się i odwróciła do Mikołaja, który stał za nią.

- Poddaję się.

Odsunął jej rękę.

- Spróbuj na siódmej stronie wyszukiwania.

Posłusznie kliknęła. Obrazki były małe, więc nic nie zauważyła.

- Czwarta rycina od dołu.

- Już to oglądałam.

- Powiększ, nie marudź.

Znów kliknęła. Obraz rzeczywiście był bardzo mały, ale kiedy Iza powiększyła miniaturę, poczuła jak oblewają zimny pot.

- Skąd wiedziałeś?!

- Klikanie ma przyszłość - powiedział filozoficznie. - Wydrukuj to, przyda nam się.

Gdy drukarka pracowicie wypluwała czarno-biały obrazek, Iza sięgnęła po album i otworzyła na *Sztukmistrzu*.

Popatrzyła nieprzytomnie na Mikołaja.

De Molay i nieznaną postać na obrazie mieli u pasa dokładnie ten sam klucz.

* * *

Dzień po imprezie w kamieniołomie u Ciechana zadzwonił telefon.

- Cześć, Jerzy - Aurelia nie potrafiła ukryć podekscytowania.

- Dzień dobry, słyszałem wczorajsze fajerwerki. Moje gratulacje.

- Jerzy, przyjdź proszę do mnie do biura. Jak najszybciej.
- Jasne. Rozumiem, że odkryłaś „Złotego Osla” i masz kłopoty ze znalezieniem inwestora?

- Niezupełnie. Przyjdź jak najszybciej, proszę.

Ciechan pokonał trasę do kopalni w kilka minut. Aurelia wpuściła go i zamknęła drzwi na klucz. Popatrzył na nią pytająco.

Kobieta wstała i podeszła do okna. Jednym ruchem ściągnęła narzutę z przedmiotu leżącego przy grzejniku.

- Co to?

- Wyciągnęliśmy to dziś rano z kawerny. Wczoraj nie dało się wejść, bo dymu było strasznie dużo.

- Widziałem... - Ciechan ugryzł się w język, czując, że za dużo powiedział. W głębi duszy nie ufał Aurelii i nie zamierzał zdradzać jej informacji o połączeniu kawerny z chodnikiem przy drodze do Złotego Jaru.

- Co widziałeś?

- Chciałem powiedzieć „słyszałem” wczoraj wybuch.

- To niemożliwe. Do otworów zapakowaliśmy jakieś czterysta gram, przy wejściu do „Gertrudy” było słyhać tylko lekkie tąpnięcie.

Ciechan patrzył na zwykłą skrzynię. Dębowe drewno, z którego była wykonana, poszarzało od kurzu i błota. W dolnej części było widać resztki sadzy, zapewne od ładunku, którym odstrzelono mur.

- Co jest w środku?

- Nic - Aurelia wyglądała na szczerze zmartwioną.

- Jak to - nic? Chcesz mi powiedzieć, że ktoś замуrował w kopalni pustą skrzynię?

- Na to wygląda.

Patrzyli razem na znalezisko. Wielkości dużej skrzyni na ziemniaki, na czterech nogach, z prostym zdobieniem w dolnej części. Połowę przedniej ściany zajmowała obudowa zamka wykonana ze spróchniałej ze starości bednarki, przynitowane do skrzyni koło z wpisanym weń trójkątem i otworem na klucz.

- Jak myślisz, który to może być rok?

- Pojęcia nie mam - Ciechan zamyślił się. - Ale patrząc na stan drewna - popukał palcem - to nie sędzę, by miała więcej niż sto lat.

- Myślisz, że jakaś gazeta opublikuje materiał o pustej skrzyni znalezionej w kopalni?

- Marne szanse, prawdę mówiąc.

Aurelia zamyśliła się.

- Potrzebuję pieniędzy - wbiła wzrok w podłogę. - W zeszłym roku zakład przestał płacić za wodę, którą pobiera z kopalni, a turystów nie przybywa. Siedzę w długach.

- Mój bratanek pracuje w „Gazecie Wrocławskiej”. Mamy czerwiec, więc sezon ogórkowy za pasem. Może, gdyby zanieść skrzynię z powrotem do kawerny, włożyć do niej jakieś graty, to wydrukują?

- Zrobisz to dla mnie? - Aurelia popatrzyła błagalnie na Ciechana, który pod wpływem jej wzroku zrobił się miękki jak gumowa kaczuszka.

- Zobaczę, co się da zrobić. Sebastian jest tylko informatykiem, ale może uda mu się zainspirować jakiegoś dziennikarza. Uszy do góry!

Ciechan po wyjściu od Aurelii skierował kroki na osiedle. Iwona Kądziołek miała metr pięćdziesiąt wzrostu, oczy czarne i żywe jak węgielki i pracowała w zakładzie jako specjalista od ochrony środowiska. Ciechan wiedział jednak coś jeszcze. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych mocą ustawy zakład przekazywał przedwojenne dokumenty do archiwum państwowego, Iwona została oddelegowana do inwentaryzacji przepastnych szaf. Wtedy, nie godząc się z utratą dokumentacji, zrobiła po cichu tysiące kopii co ciekawszych map górniczych, patentów, korespondencji oraz dokumentacji technicznej maszyn i urządzeń.

Kiedy Iwona ujrzała w wizjerze starego Ciechana, uśmiechnęła się i otworzyła szeroko drzwi.

- Co cię sprowadza? Siadaj. Może kawy?

- Ekhm - Ciechan chrząknął. - Już nawet nie pamiętam, jak pachnie kawa. Serce mi nie pozwala.

- Dla starców mam herbatę z żurawiny. Może być?

- Ja ci dam starców, cholera - stęknął Ciecchan, ale nie obraził się. Uwielbiał Iwonę i dostrzegał w niej niepodobną do większości mieszkańców Żłotego Stoku cechę - ciekawość świata.

- Map mi trzeba! - krzyknął do Iwony, która krzątała się w kuchni.

- Jakich?

- Górniczych. I przewodnika, który umie to czytać - puścił do niej oko.

- A coś bliżej?

- Co bliżej? Mapy naszej kopalni.

Iwona bez słowa wstała i ściągnęła z szafy kilka tub. W każdej tkwiły dziesiątki zwojów.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że samych udokumentowanych chodników jest kilkadziesiąt kilometrów? A na jednej mapie mieści się najwyżej kilkaset metrów? Na dodatek mapy, które mam, obejmują trzy stulecia. Czego szukasz?

- Kojarzysz chodnik odchodzący po prawej stronie, w połowie drogi do Żłotego Jaru?

- Ten zasypany? Oczywiście. Jest bardzo stary i mam go na przynajmniej kilku mapach.

- Mogłabyś poszukać? Interesuje mnie, dokąd prowadzi.

- Chcesz się bawić w poszukiwacza skarbów? Tam wchodziło już przynajmniej kilka ekip. Wszyscy wrócili z niczym, bo nie wiadomo, jak głęboko sięga zawał.

„Niezbyt głęboko, skoro istnieje dukt powietrzny między kawerną a chodnikiem”, pomyślał Ciecchan.

- Popatrzmy - Iwona rozwinęła jeden z rulonów. - No tak, ten chodnik biegnie do upadowej dochodzącej do „Gertrudy”. Z tego, co wiem, ta upadowa jest kompletnie zalana.

- Jest.

Ciecchan już więcej nie słuchał. Nie miał wątpliwości, że ktoś musiał dostać się do kawerny od strony starego chodnika i zrabować zawartość skrzyni. Co w niej mogło być?

Wrócił do domu i zadzwonił do bratanka. Obiecał zająć się sprawą Aurelii, w końcu pochodzili z tego samego miasteczka.

* * *

- Co to może znaczyć? - Iza zmarszczyła czoło.
- Może nic. Przypadek.
- Może? - Iza nie dała się wyprowadzić w pole.
- Istnieje niezerowe prawdopodobieństwo...
- Przestań się mądrzyć i mów normalnie!
- No więc jest nikła szansa - Mikołaj kontynuował niezrażony - że Bosch swoimi obrazami chciał przekazać jakiś komunikat.

- Może Filipowi II?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Przecież on się urodził po śmierci Boscha. Dowiemy się komu, jeśli wykombinujemy, co Bosch chciał przez to powiedzieć.

Rzucili się do wyszukiwarki. Kula jako symbol *vanitas*, sowa jako symbol mądrości i wiedzy, sroka - duchowa przemiana, ogród, mnisi... Popatrzyli na siebie bezradnie. Nic z tego nie wynikało.

- Może Paul nie powiedział ci wszystkiego?

- Nie sądzę. Raczej oczekiwał, że pomożemy rozwikłać tę zagadkę.

- Co to za nazwisko „Fraenger”?

- Gdzie? - zapytał gwałtownie.

- Przewija się co chwilę, może warto poczytać jakieś systematyczne opracowanie na temat symboliki naszego szaleńca?

- Dobry pomysł. Czekaj, jest. „Nie da się ukryć, że stworzył on teorię rewolucyjną w historii interpretacji dzieł Hieronima Boscha. Choć może jego poetyckie wizje są nieco zbyt odważne i czasami nie mają związku z rzeczywistością, to właśnie on utorował drogę do patrzenia na niderlandzkiego mistrza niejako na katolickiego moralizatora, dewota, ortodoksa czy fantastę, malarza potworności lub jak twierdzili psychoanalitycy...” - Mikołaj przerwał czytanie - Musimy zdobyć te, pozycję.

- Tak jest! - Iza wyprężyła się w postawie zasadniczej, prezentując sterujące przez podkoszulkę brodawki. - Jutro udam się do Biblioteki Uniwersyteckiej, na pewno będą to mieli.

- A jeśli... - w oku Mikołaja pojawił się błysk, ale zamarł.

- Dokończ, proszę.

- A jeśli Bosch wiedział, gdzie templariusze schowali skarb?

- To czemu miałby go nie zagarnąć? - pytania Izy były jak zwykle proste.

- To mogło przerastać możliwości pojedynczego człowieka. Nie mówiąc już o tym, że wtedy rządziła Inkwizycja, która bezwzględnie egzekwowała prawa majątkowe Kościoła.

- Kościoła?

- Nie zapominaj, że templariusze byli zakonem, więc podlegali władzy papieża. Faktycznie mieli wielką autonomię, ale kiedy chodzi o taką kasę...

- Jestem taka podniecona - parsknęła z własnego żartu.

- Ale to nie może być właściwy komunikat, który chciał przekazać Bosch - zmytygował się Mikołaj. - To byłoby za proste.

- Co masz na myśli?

- To byłoby za proste powiedzieć „wiem, gdzie jest skarb templariuszy”. Nie musiałyby robić tego za pomocą obrazów.

- Co więc?

- Nie wiem.

* * *

Jaśnie Oświecony Księżę!

Ogromnie ucieszył mnie ostatni list Waszej Miłości. Nie śmiałem nawet oczekiwać, że moja propozycja spotka się z taką przychylnością. Jeroen van Aken także uradował się, kiedy go powiadomiłem, że sam Księżę Burgunda chciałby poznać tajniki jego kunsztu. Uradował się, ale tajników zdradzić nie chciał. Powiedział, że gdyby ujawnił księciu sekrety swojego rzemiosła, to byłoby tak, jakby Księżę jemu ujawnił tajemne sprawy państwowe albo dynastyczne. Niemaló musiałem mu perswadować, żeby choć trochę język mu się rozwiązał. Oto, czego się dowiedziałem: na ogół, jak

mi van Aken tłumaczył, malarze starają się, aby faktura obrazu miała gładką, emaliową powierzchnię. On zaś nie postępuje tak jak inni, tylko zamiast ukryć siady pędzla, jeszcze bardziej je eksponuje. Tak więc patrząc na dzieło, widzi się kolejno nakładane warstwy farby. Taka metoda, jak twierdzi Jeroen, decyduje częściowo o żywiołowej i ekspansywnej kompozycji. Powiedział: częściowo, a kiedy go spytałem o pozostałą część, odrzekł, że on mnie nie nagabuje o tajemną naukę naszego Bractwa, więc i ja nie powinienem jego wypytywać. Tyle zdołałem od niego wyciągnąć. Przy okazji wspomniałem mu, że Wasza Miłość byłby skłonny zatrudnić go do wykonania świętego obrazu o Sądzie Ostatecznym. On na to: „Drogi Jacobie, przekaz temu Zacnemu Młodzieńcowi (tak powiedział, daruj mu, Książę, taką poufalskość, która wynika nie z braku szacunku, ale z życzliwości do Twojej Osoby), przekaz mu, że Sąd Ostateczny namalować mogę, ale nie będzie to obraz święty, tylko ludzki. Ja wolę tworzyć dzieła ludzkie, a nie Boskie. Kiedy próbuję namalować coś Boskiego, wychodzi mi to sztucznie i niezdarne. Widocznie łatwiej było Bogu stworzyć mnie niż mi stworzyć Boga”. Wielkie to szczęście, że wtedy byliśmy w komnacie sami. Gdyby ktoś jeszcze usłyszał jego aluzję, mógłby donieść Kawalerom Złotego Runa, a ci najpewniej takie słowa poczytaliby za herezję, bo oni wszędzie herezji potrafią się dopatrzeć. Dalej omawialiśmy sprawę obrazu dla Bractwa. Mistrz Jeroen akurat pracował nad wizją piekła. Pokazał mi niedawno ukończony fragment. Straszny, ale i wspaniały. Z prawej strony na złotym tronie niebieski potwór z żółtą głową ptaka, nakrytą złotą kopułą, pożera nagą ludzką postać. Pod tronem coś jakby dół, przepaść, otchłań. Niżej przedstawiona jest lubieżna scena: nagi człowiek współżycie ze świnią, która (niesamowite!) na łbie ma czarny welon katolickiej zakonniczki. Wokoło walają się instrumenty muzyczne, barwy przeważnie złotej lub przypominającej jasny kolor naturalnego drewna. A w centrum jest diabeł. Van Aken miał go malować według moich wskazówek, ale i sporo własnej fantazji w to włożył. Wielka głowa z długimi, falistymi włosami i obliczem bardzo bladym. Przyjrzaawszy się owej twarzy dokładnie, nie mogłem opędzić się od dziwnej myśli, że jej rysy zdają się przypominać fizjonomię samego Jeroena. Czy to miałby być jego zakamuflowany

autoportret”? Roześmiał się, kiedy go o to zapytałem. „Ależ Jacobie, zawołał, czy ja jestem podobny do diabła?” „Ty nie, mistrzu Jeroen - odparłem - ale ten diabeł jest podobny do ciebie”. Znowu się roześmiał i więcej nie chciał tej kwestii poruszać. Dziwny to człowiek, lecz i wielce szlachetny. A przede wszystkim genialny.

Jeśli Wasza Miłość ma dla mnie jeszcze jakieś polecenia, jestem do dyspozycji.

*Uniżony sługa
Jacob Almaengien, Philips van Sint Jaan*

* * *

Nazajutrz razem udali się do Biblioteki Uniwersyteckiej. Dzieło Fraengera okazało się sporym, bogato ilustrowanym folialem. Usiedli w czytelnicy podekscytowani. Z każdą przeczytaną stroną patrzyli na siebie nieprzytomnie.

- Biorę urlop - Mikołaj powiedział to głosem zdradzającym, że ma już plan.

- Zwariowałeś? Po co?

- Jedziemy do 'sHertogenbosch.

- Po co?

- Jak to po co? Po pierwsze, są wakacje. A po drugie, mam tam interes.

- Jaki? - Iza najwyraźniej nie nadążała.

- Nie zauważyłaś, że sekta, do której niewątpliwie należał nasz szanowny pacykarz, została założona właśnie w 'sHertogenbosch?

- I co?

- Na pewno są tam na miejscu ich archiwa. No i jakieś materialne ślady działalności.

- Coś jeszcze?

- Tak, po drodze jest Antwerpia, gdzie mieszka Paul. Zamierzam złożyć mu wizytę.

- Pocięło cię.

- Jedziesz ze mną czy nie?

- Kiedy powrót?

- Za tydzień, może dwa.
- To daleko?
- Niecałe tysiąc kilometrów, ale praktycznie sto procent po autostradach.
- Rezerwować jakiś hotel?
- Witam współniczkę na pokładzie - Mikołaj uśmiechnął się, od ucha do ucha. - Zrób zakupy na drogę, ja muszę skoczyć do warsztatu, żeby obejrzeć mi auto przed podróżą. No i do biura, zostawić wniosek urlopowy.

* * *

Był słoneczny jesienny dzień. Marcin jak co dzień udał się do swojego biura i jak co dzień miał to być zwyczajny biurowy dzień. Gdy dotarł, na jego biurku czekały poranne dzienniki, stos korespondencji i świeżo zaparzona kawa z trzema łyżeczkami cukru. Zwyczajowo zaczynał od czytania porannych dzienników. Tym razem jego uwagę przykuła elegancka kremowa koperta leżąca na wierzchu okazałego stosu listów. Koperta nie miała żadnych pieczętek ani żadnych napisów. Nawet pieczętka z sekretariatu z datą wpłyścia. Gdyby nie to, że koperta była zaklejona, można by pomyśleć, że jest nową pustą kopertą. Kiedy otworzył, z wnętrza wysunął się mały bilecik, na którym napisano drukowanymi literami: Brama Isztar, Pergamonmuseum, Berlin. W pierwszej chwili chciał wyrzucić tę dziwną przesyłkę, lecz po chwili siarczyście zaklął w swoim ojczystym języku i pomyślał, że to chyba nie jest zwyczajna pomyłka czy przypadek, a być może jest wciągany w jakąś historię. Nie bez znaczenia w tym wszystkim było to, że nazajutrz wybierał się właśnie do Berlina. Bynajmniej nie w celach turystycznych, a jedynie biznesowych. „Może udałoby mi się wpaść do tego muzeum między jednym a drugim spotkaniem...? Nawet jeśli to trop bez dalszego ciągu, a mi się tylko wydaje, że jestem lub mógłbym być bohaterem czegoś niezwykłego, odwiedzę muzeum, w którym jeszcze nie byłem”, powiedział do siebie i zabrał się do czytania pierwszej z wierzchu gazety. Następnego dnia był już w

Berlinie. Ciekawość nie pozwoliła mu spokojnie siedzieć na spotkaniu i co rusz spoglądał na zegarek, próbując tym samym dać do zrozumienia sobie i innym, że oto jest coś ważnego, co ma do załatwienia. Jak tylko nudne posiedzenie dobiegło końca, wybiegł, zapomniawszy palta i swojego nieco staromodnego kapelusza, a że nie było daleko, po kilku minutach stał już w kasie biletowej Pergamonmuseum. Przeciskając się przez 30 osobową wycieczkę oglądającą Wielki Ołtarz Pergamoński próbował dotrzeć do Bramy Isztar. Kiedy znalazł się na miejscu, zaskoczyła go ta monumentalnych rozmiarów niebieska brama tak, że na chwilę zapomniał po co tu przybył. Gdy się ocknął, ku swojemu ogromnemu zadowoleniu zobaczył, że jest sam. Przez chwilę chciał się oddać turystycznym radościom, lecz rozum szybko przywołał go do porządku szepcząc „I co dalej?”. Z szumiącym w głowie „i co dalej” rozglądał się na wszystkie strony i nagle stanął jak wryty. Po prawej stronie bramy leżała elegancka kremowa koperta. Otworzył ją trzęsącymi się z emocji rękami, wyjął kartkę i niewiele rozumiejąc czytał:

„U zarania dziejów byli tylko Apsu - istniejąca od zawsze słodkowodna Otchłań i Tiamat - istniejący od zawsze Ocean. A nad zmieszanyimi wodami Apsu i Tiamat unosiła się wszystko zakrywająca mgła. Tiamat była potworem rodzaju żeńskiego, uosabiającym słońca wodę i ucieleśniającym chaos. Apsu uosabiał pierwiastek męski, był domem boga ziemskich wód, mądrości i wiedzy magicznej Enki zwany też Ea, który jak wiele innych młodych bóstw, narodził się z połączenia Apsu i Tiamat. Następnie na powierzchni wody pojawiła się para bogów Lachmu i Lachamu, z których zrodzili się kolejni bogowie. Nowo narodzeni bogowie drażnili swym zachowaniem Apsu i Tiamat oraz naruszali ich spokój. Zatem Apsu, mimo sprzeciwu Tiamat, postanowił się z nimi rozprawić i zgładzić nowe pokolenie bogów. O tych planach dowiedzieli się młodszy bogowie i nie czekali bezczynnie. Bóg Enki czarami obezwładnił Apsu i sprawił, że ten zasnął. Odtąd słodka woda spoczywa w spokoju pod powierzchnią Ziemi. Tymczasem Tiamat namawiana przez swoich doradców postanowiła dokonać zemsty na

nieposłusznym i zdradzieckim młodszym bogom. W tym celu stworzyła armię demonów ucieleśniających zło, a na ich czele postawiła swojego pierworodnego syna Kingu. Również i o tych poczynaniach dowiedzieli się młodsi bogowie i za radą Ea postanowili przygotować się do walki. Zdecydowali, że obroną pokieruje syn Enki - Marduk, bóg magów, burzy i grzmotów, którego bogowie obdarzyli swą mocą i energią. Marduk, uzbrojony w łuk, strzały, maczugę i wielką sieć wyruszył na swym burzowym rydwaniu przeciw Tiamat i Kingu. Pokonał potwora Tiamat i Kingu oraz ich demony. Po zabiciu Tiamat przeciął jej ciało na dwie części, a z podzielonego ciała stworzył wszechświat: niebo i ziemię. Z oczodołów Tiamat wypłynęły dwie wielkie rzeki: Eufrat i Tygrys. Kingu zaś został osądzony przez bogów. Uznano go winnym podburzania Tiamat do walki i skazano na śmierć. Gdy ziemia i niebo zostały już uformowane, Marduk wpadł na pomysł stworzenia istoty służącej bogom, żeby oni sami mogli odpoczywać. Do tego potrzebny był jeden z bogów i jego życie należało poświęcić. Wybór padł na Kingu. Z jego krwi bóg mądrości Enki stworzył ludzi, którzy odtąd w zastępstwie bogów wykonują wszystkie ciężkie prace. Był to jedyny powód stworzenia ludzi przez bogów, a zarazem jedyny powód, dzięki któremu rozgniewani później bogowie całkowicie nie wyniszczyli ludzi podczas wielkiego potopu. Po tym akcie stworzenia Marduk przydzielił bogom, boginiom i ludziom ich zadania. Pierwszym z nich było wybudowanie miasta Babilon. Marduk za zwycięstwo nad Tiamat i stworzenie człowieka został wyniesiony na najwyższy piedestał, stał się narodowym bogiem, stwórcą, władcą nieba i ziemi, dobroczyńcą ludzi. To on decydował o losie wszystkich i wszystkiego”.

Rozdział II

Ogród ziemskich rozkoszy

Silnik wysłużonego citroena wygrywał radosne unisono, kiedy późnym wieczorem wjechali wreszcie na gładkie niemieckie autostrady. Iza drzemała, a Mikołaj analizował spokojnie ostatnie wydarzenia. Co rusz podążał jakimś tropem, ale gubił się w domysłach i drążył dalej. Co chwila spoglądał na Izę. Spała z lekko rozchylonymi ustami, wcisnąwszy poduszkę pod pas bezpieczeństwa.

Kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, zatrzymali się na stacji benzynowej Agip, zaraz za obwodnicą Berlina.

- Daleko jeszcze? - Iza wróciła z dwoma papierowymi kubkami espresso z mlekiem.

- Zrobiliśmy ponad czterysta kilometrów, więc mamy jeszcze pięćset. Ale to łatwiejsze pięćset, za cztery godziny powinniśmy być na miejscu.

- W środku nocy?

- Nie szkodzi, jak będziemy jeszcze mieli siłę, to kopniemy się do Rotterdamu.

- Nie pytam po co, ale już mi się podoba.

- Zobaczyć morze i port. Oraz odwiedzić Museum Boijmans Van Beuningen.

- Co tam obejrzymy?

- *Włóczęgę.*

Iza uśmiechnęła się. Wzięła pusty kubek od Mikołaja i odniosła do kosa.

- Otworzysz bagażnik? - zapytała.
- Się robi. Co knujesz?
- Spróbuję się przespać, a w torbie mam bluzę - Iza z trudem kryła szatański uśmiezek.

- Co tam masz? - Mikołaj widział, że coś się święci.

Popatrzyła na niego z triumfem i wręczyła paczkę owiniętą w papier.

- Fraenger?! - brwi Mikołaja uniosły się ze zdziwienia, kiedy rozerwał papier.

- Wdepnęłam do antykwariatu na Szewskiej i było.

- Bomba! - popatrzył z wdzięcznością. - Może dasz radę poczytać co ciekawsze kawałki w czasie jazdy? Szybciej nam zleci podróż.

- Nie ma problemu, wyspałam się, a espresso postawiło mnie na nogi. Ruszamy?

Pomknęli w noc. „Udaje głupszą, niż jest w rzeczywistości”, myślał sobie Mikołaj, kiedy Iza wylawiała z tekstu co ciekawsze fragmenty. Słabe światło lampki do czytania zupełnie nie przeszkadzało wjeździe, Iza odkrywała kolejne elementy hipotezy postawionej przez Fraengera.

- Wiedziałeś, że jedna z kości do gry na *Ogrodzie rozkoszy* jest fałszywa?

- Co to znaczy fałszywa?

- W każdej kości suma oczek na przeciwległych ścianach równa jest siedem. W kości obok królika tak nie jest.

- Jak to możliwe, że widać wszystkie ściany kości na dwuwymiarowym obrazie - Mikołaj nie zrozumiał.

- Głupi jesteś... Wystarczy, że w rzucie widzisz dwie ściany. Jeśli na jednej z nich jest pięć a na drugiej dwa, kość jest fałszywa.

- Faktycznie. I co z tego?

- Nic, po prostu właśnie to zauważyłam na rycinie.

- Dobrze, na czym tak naprawdę polega rewolucyjność hipotezy Fraengera? - Mikołaj konsekwentnie drążył temat.

- Nie jestem pewna, bo czytam po łebkach.

- Spróbuj.
- Więc przede wszystkim Fraenger każe oddzielić dzieła symboliczne od religijnych.
- W sumie logiczne.
- Argumentuje to tak, że Bosch musiał zwyczajnie zarabiać na życie, więc produkował dzieła na zlecenie Kościoła lub możnych. Na tych nie mógł sobie pofolgować, bo specyfikacja obrazu była przeważnie precyzyjna.
- Przyjmijmy ten pogląd, bo wydaje się sensowny.
- Dalej. Fraenger kwestionuje poprzednie interpretacje, które skupiały się na poszukiwaniu źródeł skomplikowanej symboliki.
- Jak to argumentuje? - przerwał Mikołaj.
- Zaczekaj - Iza przekartkowała książkę - No tak. Wynika z tego, że jeden człowiek nie mógł mieć aż tak rozległej wiedzy.
- Jak więc tłumaczy tę symbolikę?
- Proponuje odczytywanie scen na obrazach Boscha dosłownie.
- Dosłownie?! Chcesz powiedzieć, że istnieją stwory składające się wyłącznie z głowy i nóg? Że w średniowieczu ludzie bzykali się z kwiatkami albo fletem w dupie?
- Tak. Kluczem do tego jest Bractwo Wolnego Ducha założone w 's-Hertogenbosch, którego członkiem - a może i guru - był nasz pacykarz.
- Co to za sekta?
- To właściwie nie była sekta, tylko ruch. Nie mieli prawdopodobnie guru, a w centrum uwagi nie było żadne bóstwo, tylko człowiek.
- Tak jak u bokononistów.
- Na Boga, a co to takiego?
- Nie czytałaś *Kociej kołyski* Vonneguta?
- Nie.
- Vonnegut opisał fikcyjną religię, w której centrum był człowiek właśnie. Co dalej z naszymi średniowiecznymi wolnomyślicielami?
- Ruch ten nawet dziś szokuje radykalną negacją norm moralnych i obyczajowych. O kurczę, oni bzykali się jak króliki!

- W średniowieczu?!
- Tak właśnie! Na terenie Flandrii działali szczególnie aktywnie, głosili boskość człowieka i uważaj...
- Co?
- Głoszący te poglądy często byli włóczęgami.
- Hm, do czegoś to się składa, ale jeszcze mamy za mało szczegółów.
- W trzynastym wieku Antwerpia stała nawet na skraju schizmy z tego powodu, a konkretnie nauk Wilema Cornelisa. Słuchaj tego - Iza podekscytowana podniosła głos - członkowie sekty byli w większości dobrze wykształceni, często wywodzili się z kręgów zakonnych. Hm, zakonnicy i seks - to musiała być mieszanka wybuchowa. Uważaj : „Jeśli siostra wolności przyjdzie do brata tuż po tym, jak przyjmował komunię, niech nie mówi on: Przyjmowałem komunię, ale niech dokona z nią dzieła natury, odważnie, dwa, cztery razy, bez skrpułów ani spowiedzi. Jeśliby pragnął dokonać aktu sodomii z mężczyzną, niech zrobi to w sposób wolny i nieskrępowany, bez poczucia winy, gdyż bez tego nie byłby wolny duchem. Jeśli jego natura skłania go do aktu miłości, może się jemu oddawać ze swoją siostrą lub matką, w jakimkolwiek miejscu, nawet na ołtarzu”.
- Dobrze - Mikołaj roześmiał się.
- Jest też o naszej kuli ziemskiej. Fraenger doszukuje się w tym starych kosmologii i nie wietrzy żadnego podstępu.
- Fraenger mógł się mylić, prawda?
- Tak, zakładając, że nasza teoria trzyma się kupy. - Iza czytała dalej - członkowie grupy nazywającej się Braćmi i Siostrami Wolnego Ducha uznawali równość płci, głosili życie zgodne z wysokimi standardami moralnymi, choć nieobejmującymi życia seksualnego.
- Dość ekscentryczne tezy jak na średniowiecznych mnichów. Czytaj dalej - poprosił.
- Wywodzili boskość człowieka od Adama i Ewy. I dowodzili, że człowiek może pozostać w najwyższym stanie doskonałości poprzez wysublimowany akt miłości.

- Czyli *Ogród rozkoszy* to nie jest żaden seks grupowy, tylko wyobrażenie Boscha na temat stanu, do którego miałyby doprowadzić ta jego sekta?

- Tak jakby. Dalej ciągnie się dość długi i zawiły dowód na to, że była taka sekta, że Bosch był jej członkiem, że obrazy z grupy symbolicznej były malowane właśnie na jej zamówienie.

- Nic o templariuszach? - Mikołaj był wyraźnie zawiedziony.

- Nic. O, jest jeszcze wzmianka, że jeden z domów owej grupy znajdował się w dzisiejszej Świdnicy.

- Dojeżdżamy do 'sHertogenbosch, a jest dopiero piąta rano. Masz ochotę zobaczyć Rotterdam?

- Daleko?

- Ze sto kilometrów.

- To jedziemy - Iza zamknęła książkę. - Ale już nie mam siły czytać.

- Dajmy temu pokój na jakiś czas. Mam sieczkę w głowie.

* * *

Gdy Mikołaj i Iza dojeżdżali do Rotterdamu, koła potężnego Boeinga 767 linii KLM dotknęły płyty lotniska w Tel Awiwie. Paul Hardenne z małą aktówką nie wzbudził podejrzeń policjantów i słabo maskujących się agentów służb specjalnych. Nie niepokojony udał się do wypożyczalni samochodów. Wybrał małego klimatyzowanego vauxhalla z automatyczną skrzynią biegów.

Zaraz po wyjeździe z lotniska skierował się na autostradę wiodącą do Hajfy. Do przejechania miał kilkadziesiąt kilometrów, jednak korki między miastem a Technion City, gdzie mieściły się budynki Technion-Israel Institute of Technology spowolniły go na tyle, że dotarł na miejsce dopiero przed dziesiątą.

Gabinet profesora Amosa Mori znajdował się na pierwszym piętrze białego budynku. Paul zapytał o profesora przechodzącą przypadkiem studentkę - dziewczyna o kruczoczarnych, kręconych włosach gładkim angielskim odpowiedziała, że chętnie go to niego zaprowadzi.

- Dzień dobry, profesorze - Paula zaskoczył nie tyle stosunkowo młody wiek profesora, ile powierzchowność amerykańskiego farmera. Rumiana, czerstwa twarz patrzyła na niego pogodnie.

- Dzień dobry, doktor Hardenne?

- Tak, miło mi poznać.

- Muszę powiedzieć, że mnie pan zaintrygował wczorajszym telefonem - profesor był bezpośredni.

- Co ma pan na myśli?

- Przyzwyczailem się do tego, że wydzwanają do mnie dziennikarze, fizycy oraz szaleni wynalazcy. Nigdy dotąd nie odzywał się doktor sztuk pięknych.

- Hm - Hardenne szybko analizował sytuację - a jeśli jestem szalonym wynalazcą?

Roześmieli się obaj serdecznie, to było zřejczne.

- Niech pan usiądzie. Dziś mam dyżur dla studentów, więc nie mogę się stąd ruszyć. Ale miło mi będzie, jeśli dotrzyma mi pan towarzystwa.

- Świetnie - Paul odzyskał rezon - a więc...

- Nie, nie wiem, jak zbudować maszynę do podróży w czasie - profesor przerwał żartobliwie. - O to chciał pan zapytać?

- Prawdę mówiąc, tak - Paul zdecydował, że będzie szczerzy - ale liczę na to, że pomoże mi pan zrozumieć, jak bardzo prawdopodobne jest jej zbudowanie.

Profesor wstał i podszedł do okna. Paul patrzył z uznaniem na szerokie bary, kark byka i kwadratową szczękę profesora.

- Świetne pytanie, świetne - profesor odwrócił się do Paula. Czy da pan wiarę, że nikt, nawet fizycy, nie zadał tego pytania tak trafnie?

- Co ma pan na myśli?

- Widzi pan, jestem fizykiem. Uczciwym naukowcem z przyzwoitym dorobkiem. Nie bawię się w budowanie wehikułu czasu.

- Niemniej jest pan najbardziej znaną osobą, która wie, jak taki wehikuł zbudować. A przynajmniej tak uważają dziennikarze.

- Cała ta awantura wyniknęła z tego, że kiedyś napisałem do *Nature* artykuł o tym, jak dzisiejsza fizyka odniosłaby się do pojęcia einsteinowskiej czasoprzestrzeni.

- Coś się zmieniło od tamtych czasów?

- Oczywiście! - zachnął się profesor. - W mojej opinii ostatnie sto lat popchnęło nas do rozumienia świata bardziej niż wszystkie poprzednie tysiąclecia razem wzięte!

- Jak pan wie, nie jestem fizykiem.

- Oczywiście - wzrok profesora złagodniał. - Chodzi o to, że Einstein, formułując prawo ogólnej i szczególnej teorii względności, był zupełnie sam. Wielu praw jeszcze wtedy nie znano, a sama teoria była matematycznym abstraktem z jeszcze bardziej abstrakcyjnymi figurami logicznymi.

- Ma pan na myśli spadającą windę i nieskończenie długie autobusy?

- Właśnie. Od tamtej pory w nauce dokonał się ogromny postęp, zarówno w warstwie teoretycznej, jak i empirycznej.

- Empirycznej?

- Odkryliśmy namacalne dowody słuszności Einsteina. Między innymi ugięcie promienia światła w polu grawitacyjnym, istnienie czarnych dziur, dylatacje czasowe...

- Dylatacje czasowe?! - Paul ożywił się. - Jak to?

- W algorytmach GPS niezbędne było uwzględnienie poprawek wynikających z dylatacji czasowych, inaczej te małe sprytne urządzenia pokazywałyby pozycję geograficzną z błędem.

- O proszę, nie wiedziałem - Paul nie umiał ukryć zawodu. - I co dalej?

- Właściwie to niewiele. Ktoś wygrzebał ten artykuł i dorobił resztę o wehikule czasu.

- Czyli zmarnowałem czas?

- To już pan sam oceni - profesor popatrzył z miną człowieka, który nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. - Po rozpętaniu medialnej gorączki pomyślałem, że się tym zajmę - uśmiechnął się.

- Do czego pan doszedł? - Paul nalał sobie kawy z termosu przyniesionego przez asystentkę.

- Do niczego konkretnego, prawdę mówiąc - profesor patrzył rozbijającą. - Ale może powiem panu, jakie przyjąłem założenia.

- Myśli pan, że zrozumie?

- Na pewno. Einstein mawiał, że jeśli naukowiec nie jest w stanie wytłumaczyć swoich teorii małemu dziecku, to jest szarlatanem, a nie naukowcem. Czy jakoś tak.

- Zatem zamieniam się w słuch - Paul rozsiadł się głębiej w fotelu.

- Na początku odrzuciłem mityczne tunele czasoprzestrzenne.

- Co to takiego?

- Taki wymysł fantastów, który miał umożliwiać podróże w czasie. Wymysł, który nie wytrzymuje nawet dwóch minut rzetelnej analizy naukowej. Później odrzuciłem rakietę, które poruszają się z prędkością bliskiej prędkości światła. Nie mówiąc o prędkościach wyższych.

- A tachiony?

- O, widzę, że się pan przygotował - profesor popatrzył z uznaniem na Paula. - Tak, tachiony też odrzuciłem, choć nie kwestionuję ich istnienia.

- To znaczy, że znalazł pan bardziej prawdopodobny sposób?

- Tak. Wystarczy zagiąć czasoprzestrzeń.

- Drobiazg - Paul był zawiedziony. - To już tachiony wydają się bardziej realne.

- Niech pan nie kpi. To jest dlatego łatwiejsze, że wiemy, że czasoprzestrzeń się zagina. A istnienia tachionów nikt nie udowodnił.

- Skąd wiemy, że można zagiąć czasoprzestrzeń?

- Doświadczalnie udowodniono małe zagięcie czasoprzestrzeni niedaleko Ziemi. I nie stwierdzono, o ile mi wiadomo, obecności czarnych dziur, tuneli czasoprzestrzennych, antymaterii ani potężnej energii.

- Ale jak miałyby to działać?

- Niech pan sobie wyobrazi płachtę z elastycznej tkaniny. Wzdłuż mamy wymiar przestrzenny, w poprzek czasowy. Nadażają pan?

- Tak.
 - W wymiarze czasowym może pan się przemieszczać wyłącznie z lewa na prawo - zgodnie z naszym rozumieniem czasu.
 - Czyli jak zacznę w lewym dolnym rogu i pójdę choćby lekko w lewo, to nie będę mógł wrócić...
 - W istocie. To jest zgodne z naszym pojmowaniem świata. Tak samo zgodnie z naszą wiedzą możliwe jest ugięcie tej płachty w każdym jej punkcie. A teraz niech pan sobie wyobrazi, że wciągamy kawałek tej płachty tak, jakbyśmy robili małego balonika z kawałka balona.
 - Wie pan, to ma sens - Paul zaczął intensywnie myśleć. - Dwa punkty płachty zetkną się, więc nawet jeśli będziemy dalej szli tylko w lewo, to dojdziemy do początku! A jak w takim razie mogłaby wyglądać maszyna do przenoszenia się w czasie?
 - To jest dużo trudniejsze - głos profesora zabrzmiał melancholijnie.
 - Ale rozumiem, że coś pan wymyślił?
 - Tak, model teoretyczny. Ale jest słaby jak domek z kart.
 - Chętnie posłucham.
 - A może skoczmy coś zjeść? Na stołówce jest także niekoszerna wieprzowina - zażartował. - I może opowie pan o sobie.
 - Świetnie - Paulowi na czoło wystąpiły krople potu, a do twarzy uderzyła krew. „Co ja mu powiem? Nie pomyślałem o tym”.
- Przeszli do kampusowej stołówki, gdzie Paul zweryfikował swoje lekko antysemickie poglądy na urodę cór Izraela. Usiedli przy dwuosobowym stoliku na uboczu.
- Profesorze - nie chcę kłamać. Doceniam to, jak chętnie dzieli się pan ze mną wiedzą. Pracuję w tej chwili nad rozprawą habilitacyjną na uniwersytecie katolickim w Antwerpii. Mam trzy tygodnie na napisanie abstraktu. Jeśli nie jestem szaleńcem, to o mojej pracy usłyszy cały świat. Jednak - Paul pozwolił sobie na małe oszustwo - mój kolega z katedry węszy w tym samym miejscu, co ja i nie chciałbym, aby mnie ubiegł.

- Rozumiem.
- Obiecuję, że niezależnie od wyników moich badań, za trzy tygodnie wyjawię panu moją tajemnicę, ale proszę o wyrozumiałość do tego czasu.
- Oczywiście - profesor powiedział to tak naturalnie, że atmosfera wróciła do normy. - Na czym więc skończyliśmy?
- Na balonikach i modelu teoretycznym.
- Niech pan nie używa takiego określenia, to takie infantylne i nie-naukowe. Dobrze - kontynuował profesor - moim zdaniem nie jest możliwe takie ugięcie czasoprzestrzeni, aby dowolne jej dwa punkty zetknęły się ze sobą.
- Gdyż?
- Gdyż wymagałoby to nieskończenie wielkiego pola grawitacyjnego, a to prowadzi nas do antymaterii.
- Więc?
- Bez algebry przestrzennej daleko nie zajdziemy. Spróbuję jednak to panu wytłumaczyć obrazowo - wie pan jak wygląda torus?
- Chyba tak. Ma pan na myśli - szukał przez chwilę w myślach angielskiego słowa - obwarzanek?
- Tak - zaśmiał się profesor. - A poważnie, to torus jest dwuwymiarową powierzchnią, leżącą w przestrzeni trójwymiarowej. Dowcip polega na tym, że wewnątrz mamy zakrzywioną czasoprzestrzeń a na zewnątrz zwykłą materię.
- Jak przesuwamy się w czasie?
- W środku torusa porusza się obserwator i z każdym obrotem przesuwa się lekko w czasie.
- Nie rozumiem.
- Trudno to wytłumaczyć bez aparatu matematycznego, musi mi pan uwierzyć, że nie jest to sprzeczne z aktualnym stanem wiedzy.
- Na czym więc polega słabość pańskiego modelu?
- Problemy są przynajmniej dwa. Pierwszy to ogromna energia, która zakrzywi czasoprzestrzeń. Ale już nie nieskończona.
- A drugi?

- Drugi jest poważniejszy - żadna materia nie przetrwa operacji zakrzywienia w stanie nienaruszonym.
- Ma pan jakiś pomysł jak to ominąć?
- Pracuję, ale sprawa wygląda niemal beznadziejnie.
- Czy to znaczy...
- Tak. Wiemy, jak może wyglądać rozwiązanie, ale pokonanie trudności technicznych jest niemal niewyobrażalne.
- A gdyby - w Paulu obudziła się żyłka tropiciela - a gdyby założyć, że ktoś pokonał te trudności, to może swobodnie podróżować w czasie?
- Niezupełnie. Urządzenie musiałyby się znaleźć w określonej chwili historii i zamknąć - profesor narysował palcami wymaginywany cudzysłów - zamknąć w sobie ten kawałek przestrzeni. A to oznacza, że można podróżować w przeszłość, ale tylko do punktu, w którym zamknęliśmy ową przestrzeń.
- Pomińmy problem energii - oczy Paula zablęskły z pasją. - Jak wyobraża pan sobie rozwiązanie problemu dezintegracji materii, która znalazłaby się wewnątrz zakrzywionej czasoprzestrzeni?
- Pomysły mam dwa.
- Umieram z ciekawości.
- Pierwszy jest taki, że być może naszym wehikulem jest cała galaktyka albo jej fragment. Tak jak nie dostrzegamy ogromnej prędkości obrotowej i obiegowej Ziemi, tak samo nie dostrzegliśmyby zakrzywienia całej galaktyki.
- Ale tu dotykamy problemu istnienia potężnego źródła energii
- Właśnie - profesor popatrzył z uznaniem. - Pan na pewno jest doktorem sztuk pięknych? - popatrzył podejrzliwie.
- Tak. A drugi pomysł?
- Drugi pomysł jest dość przewrotny. Mianowicie - skoro materia nie wytrzyma, to być może nie trzeba zakrzywiać materii, by przenieść się w czasie.
- O czym pan myśli?
- O informacji.

- Jasne! - Paul pacnął się w czoło - wtedy wystarczy całkiem niewielka energia?

- No, może bateryjka do latarki nie wystarczy, ale na pewno nie musiałyby to być czarna dziura. Ale niech się pan nie ekscytuje - profesor ostudził Paula - to rodzi kolejne problemy.

- Jakże?

- A jak pan sobie wyobraża odczytanie całej informacji o świecie? I jak musiałby wyglądać nośnik, na którym dałoby się to zapisać?

- Jak to?

- Nie rozumie pan? Co z tego, że cofnie się pan do roku, dajmy na to, 1850? Który kawałek rzeczywistości chciałby pan odczytać? Chce pan zdjęcie Winnetou z Ameryki, zapis wycia wilka workowatego z Australii, a może woli pan zobaczyć z lotu ptaka ruchy oddziałów Bolívara? Wyobraża pan sobie taki rejestrator? Jakiego rodzaju informacje miałyby zapisywać?

Pożegnawszy się późnym popołudniem z profesorem, Paul wrócił na lotnisko w Tel Awiwie. To był udany dzień, nawet bardzo udany. Gdy wsiadał nad ranem do samolotu, nie obiecywał sobie zbyt wiele po tej wizycie, tymczasem plan zrealizował w stu dziesięciu procentach.

* * *

Tego dnia Mariannę zbudziło przyjemne wilgotne podniecenie. Rozkosz karmiła jej wygłodniałe ciało od rana. Tuż przed przebudzeniem miała zaskakujący sen, niemalże odczuwalny na jawie. Po otwarciu oczu czuła jeszcze ten błogi zapach. Zapach Świętej Panienki i Jej Syna. Pamiętała go z dzieciństwa. Zapach ten nie wiedzieć czemu przywodził jej na myśl krówki i galaretkę ananasową. Chłonęła resztki rozkoszy powoli odpływającej w przestworza i próbowała za wszelką cenę zatrzymać w pamięci marzenie sennie. W tym ekscytującym śnie na jawie nawiedzili ją Maryja i Jezus ze swiąt. Poczula, jak ktoś rozsuwa jej uda i przesuwają się po delikatnej i nad

wyraz wrażliwej skórze, badając starannie stan wilgotności pochwy oraz wielkość, wydatność i ukrwienie warg sromowych. Niczym wielki, kolorowy jak indiański pióropusz orzeł zstąpił z niebios Duch Święty, lądując wprost na Mariannie. Dosiadł ją leżącą i bezbronną, z rozchylonymi udami, jakby uwięzioną, lecz czekającą na oddanie się na metalowej konstrukcji (która kojarzyła się jej z samolotem ginekologicznym, o którym słyszała już wcześniej od innych sióstr). Na tym Duch Święty nie skończył. Zostawił na chwilę bliską wybuchowi szалу Mariannę i szczytował, dosiadając uciekające przerażone kędzierzawe aniołki o dorodnych narządach płciowych damsko-męskich, po czym dosiadł ją znowu po to, by za moment pozostawić ją samą na sam z rozkoszą eksplodującą już na wszystkie jej członki i usiadł na uzbrojonym ramieniu Jezusa, z lubością wsłuchując się w jego kolejne rozkazy. Aż Marianna poczuła wielki wybuch, erupcję. Nastąpiło to w momencie, gdy wielki orzeł szczytując w niej, swym potężnym dziobem rozerwał przepaskę na biodrach stojącego obok Jezusa i obnażył wielkie święte niepojęte klejnoty pasterza wszystkich pasterzy. Marianna wzniosła się szczyty rozkoszy. Tego poranka przeszła inicjację czwartego orgazmu. Stała się w ten sposób niedoścignionym wzorem dla innych dziewcząt oraz nadzieją, że kiedyś dostaną wymarzoną nagrodę - ten boski i rajski szczyt uniesień. Bo tu, w szarej ziemskiej rzeczywistości pozostały im tylko nie bardzo podniecająca, acz gorliwa modlitwa, pokuta i wieczna wstrzemięźliwość od płci przeciwnej. Marianna wiedziała doskonale, że tylko dzięki takim cierpieniom, pokutom, modlitwom i ofiarom dostąpi zbawienia oraz wiecznego szczęścia u boku Świętej Rodziny.

* * *

Grafitowy citroen stanął na nabrzeżu portu w Rotterdamie. Było już zupełnie jasno, w morze wychodził potężny masowiec, a po zmurszałym betonie nabrzeża leniwie dreptały mewy.

Mikołaj i Iza usiedli na ogromnych słupach służących do cumowania i zabrali się za wymęczone kanapki z serem i ciepłą, nieposłodzoną kawę z

termosu. W milczeniu obserwowali manewrujący statek i wdychali portowy zapach wymieszany z gryzącym dymem okrętowych diesli.

- Popatrz tam - Iza wskazała jasnoniebieskie truchło ryby pływającej do góry brzuchem.

- Ryba - Mikołaj nie okazał głębszego zainteresowania.

- Martwa.

- Widzę, że martwa. A w ogóle to mówi się śnięta - odgryzł się.

- Popatrz, ona zdechła, pożerając drugą.

Rzeczywiście, z pyska ryby sterczał ogon jakiejś mniejszej.

- Iza, nie wpadaj w paranoję - Mikołaj uśmiechnął się pojednawczo.

- Nie wpadaj, nie wpadaj - przedrzeźniała go - łatwo ci mówić. U Bosa na co drugim obrazie jest ryba. Albo lata, albo ma nogi, albo pożera inną rybę.

- To nie powód, żebyśmy odnajdowali te symbole w życiu rzeczywistym.

- Kiedy nie mogę.

- Iza, świetnie się bawimy, czekają nas udane wakacje, ale to tylko zabawa, okay?

- Już dobrze - Iza potrząsnęła głową. - Chcę się kochać.

- Tutaj? - Mikołaj podniósł głowę.

- A dlaczego nie?

- Może tak dotrzemy do hotelu, wykapiemy się...

- Chryste, aleś ty nudny. Chcę się kochać teraz!

Iza oparła się o maskę samochodu i wypięła apetycznie tyłek. Mikołaj rozejrzał się lekko zażenowany. Podszedł, rozpiął jej pośpiesznie spodnie i opuścił do kostek. Jeszcze raz obejrzał się niepewnie, ale tylko mewa przekrzywiła łepkę z lewa na prawo.

Wziął ją dość brutalnie, trzymając mocno za biodra. Była kompletnie sucha w środku, więc pierwsze pchnięcia komentowała cichnącymi jękami. Mikołaj spuścił się po dziesięciu sekundach, kiedy Iza sięgnęła do jego ręki opartej o biodro i przeniosła ją bez ceregieli do odbytu. Kiedy Mikołaj pojął

jej zamiar, ostrożnie wcisnął koniec wskazującego palca w ciasną dziurkę, Iza wtedy zdecydowanym ruchem popchnęła go do środka, do samego końca, korzystając z tego, że penis Mikołaja wysunął się z pochwy. Wtedy zaatakowała go pochwą, wyjąc z bólu. Mikołaj poczuł znajome pulsowanie i Iza osunęła się na maskę w spazmach.

- Goede ochtend, wordt het niet toegestaan om dit hier te doen! - usłyszeły za sobą.

Kilka kroków za nimi stał umundurowany strażnik i uśmiechał się z politowaniem.

- Przepraszam - Mikołaj podciągnął spodnie.

Na migi pokazał, że już się zmywają, strażnik nie przestawał się uśmiechać. Uwadze Mikołaja nie uszedł jednak błysk pożądania, który dostrzegł w oczach Izy, kiedy zobaczyła wiszące u paska strażnika kajdanki. „Zdaje się, że Izka nie powiedziała w łóżku ostatniego słowa”, pomyślał.

Zostawili samochód na dużym przypoportowym parkingu i pojechali autobusem miejskim do muzeum. Odnalezienie *Włóczęgi* nie było łatwe, ale z pomocą starszej pani z obsługi udało się. Patrzyła na nich podejrzliwie, kiedy po półgodzinnym studiowaniu jednego, jedyne obrazu opuścili muzeum.

- Podobało ci się?

- Średnio, prawdę mówiąc - Iza nie kryła rozczarowania.

- Nie spodziewałem się niczego rewelacyjnego, chciałem tylko zobaczyć na żywo choćby jedno z dzieł mistrza.

- Jedźmy już do 'sHertogenbosch, proszę. Padam z nóg.

- Pewnie.

Dotarli do samochodu i w ciągu dwóch godzin byli już w 'sHertogenbosch. Odnaleźli hotel opodal katedry Świętego Jana, gdzie po szybkim prysznicu zapadli w głęboki sen.

Mikołaja obudziło stukanie w klawiaturę.

- O, jest Internet?

- Jest, jak rezerwowałam hotel, to specjalnie zwróciłam uwagę na to, żeby był.
- Super. Co wyklikałaś?
- Niewiele. Wróciłam do wątku de Molaya.
- Jakiś trop?
- Jeden, ale bardzo marny.
- Mianowicie?
- Bafomet.
- Co to jest Bafomet? - Mikołaj odwrócił się zdziwiony.
- To bałwan, którego czczenie zarzucono templariuszom.
- I co z nim?
- Obrazki wskazują na diabła albo satyra z kobiecymi piersiami, peni-
sem i głową kozła. Ale źródła pisane mówią raczej o obciętej głowie.
- Z niczym mi się to nie kojarzy.
- Chodź tutaj - Iza otworzyła książkę Fraengera na jednej z rycin. -
Patrz! - pokazała palcem jedną z wielu głów na nogach.
- Czy Bafomet miał nogi?
- Nic mi na ten temat nie wiadomo, ale skoro nie piszą nic o tym, że
umie lewitować, to jakoś się musiał przemieszczać.
- Nie ma innych wyobrażeń Bafometa?
- Właśnie kończyłam przeglądać Internet pod tym kątem, kiedy się
obudziłeś. Jest nawet gorzej - jedyne wyobrażenie pochodzi od niejakiego
Levy'ego, który skopiował je z szatana z talii tarota.
- Czy to nie o tarocie wspominał Fraenger?
- Tak, ale jakoś sam odrzucił hipotezę, jakoby Bosch czerpał z tarota.
Mikołaj zamyślił się.
- Co cię męczy? - spytała Iza.
- Mam dziwne uczucie, że ci wszyscy interpretatorzy Boscha błędzą.
- Dlaczego?
- Oni go przeceniają. Ten facet, oprócz tego, że był genialnym malar-
zem, członkiem kilku mętnych towarzystw - to jeszcze musiałby znać

doskonale literaturę, odniesienia, mitologie, tarota, Biblię, historię sztuki, starożytną kosmologię... To za dużo na jednego człowieka okresu średnio-wiecza.

- Pamiętaj, że rówieśnikiem Boscha był Leonardo da Vinci. On wiedział jeszcze więcej.

- Tak, ale ile po sobie zostawił Leonardo, a ile Bosch!

- Masz rację. Czy to oznacza, że Bosch nie mógł kodować tak złożonej symboliki, czyli po prostu malował to, co widział lub co wydawało mu się, że widzi?

- Tak jakby. Co z Bafometem?

- Nie wiem - Iza podniosła głowę znad ekranu. - Chodź do mnie, kochaj mnie.

Nazajutrz obudzili się niemal jednocześnie.

- Co robimy? - zapytała Iza.

Mikołaj patrzył trochę nieprzytomnie, usiłując uruchomić zaspane neu-rony.

- Pojęcia nie mam. Może zrobmy sobie dzień wakacji?

- Świetny pomysł. Jest ładna pogoda, a miasteczko wygląda uroczo.

Wyszli z hotelu i skierowali się na rynek, nad którym dominowała katedra Świętego Jana. Katedra wyglądała, jakby ktoś skleił dwa budynki z różnych epok: ceglana surowa wieża kontrastowała z gotycką resztą, upstrzoną misternymi maszkaronami, solidnymi skarpami i wspaniałymi witrażami.

Majowy poranek był bardzo ciepły. Iza w infantylnej sukience w groszki wyglądała na tyle efektownie, że przeciskając się między krzesłami w kafejce wzbudzała sensację. Usiedli pod parasolkami i zamówili po dużej latte i croissancie.

- Wiesz co? - Mikołaj zanurzył przypieczony koniuszek croissanta w białej od mleka kawie. - Nie mogę zrozumieć, jak naszym piekarzom udaje się spieprzyć coś tak trywialnego jak croissant.

- Może kluczem jest cena? - Iza puknęła w cennik. - Dwa euro za stu-gramową bułeczkę to tyle, co u nas za całe śniadanie.

- Coś w tym pewnie jest.

- Wczoraj w nocy obudziłem się, i nie mogłem zasnąć - Mikołaj nagle zmienił temat - i coś mam.

Iza popatrzyła pytająco.

- Ta katedra została wybudowana w czternastym wieku, a nasz mistrz niemal na pewno brał udział w jej odbudowie po pożarze miasta w 1463 roku.

- O, ciekawe. Co tam robił?

- Nie wiadomo. W każdym razie najprawdopodobniej niczego nie malował.

- Myślisz, że są jakieś ślady? Ktoś pewnie już by to odkrył - Iza była sceptyczna.

- Nie sądzę. To znaczy, jeśli nawet jakieś ślady są, to zwykły turysta nie ma szans ich odnaleźć. Ale to nie znaczy, że nie powinniśmy dokładnie zwiedzić tego budynku. Tym bardziej, że zapowiada się gorący dzień.

- Dobrze. Tylko wróćmy na chwilę do hotelu. Weźmiemy aparat, a ja przebiorę się w coś bardziej stosownego - Iza wskazała znacząco na swój imponujący dekolt.

- Zaczekam tutaj - podał jej klucz.

Patrzył za nią, jak płynie między stolikami, ściągając na twarze siedzących w kafejce kobiet gradowe chmury. Uśmiechnął się na wspomnienie wczorajszej interwencji strażnika portowego i wzrokiem wezwał kelnera. Zanim dostał rachunek, Iza już była z powrotem - ubrana w proste dżinsy, lnianą koszulę i okulary.

- Idziemy?

Po kilkudziesięciu krokach stanęli u stóp katedry. Postanowili obejść ją dookoła, fotografując wszystkie co ciekawsze dekoracje ścian.

- To bez sensu. Nawet jeśli znajduje się tu coś niezwykłego, jesteśmy za ciency, by to dostrzec.

- A skąd w tobie nagle takie zwątpienie? - Iza popatrzyła na niego zdziwiona.

- Mam po prostu wrażenie, że nawet jeśli te ściany do nas krzyczą, to my tego nie zrozumiemy.

- A nie sądzisz, że nie ma ludzi, którzy objęliby całość zagadnień w naszym temacie?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Specjaliści mają to do siebie, że świadomie odrzucają inne nauki, by skupić się na swojej dziedzinie. Inaczej nie byłiby specjalistami. Znanca architektury nie będzie znał się na malarstwie, faceta skupiającego się na Boschu nie zainteresuje z kolei szerszy aspekt historyczny.

- Może masz rację.

- Dodaj do tego szczególne uprzywilejowanie ignorantów.

- Tak?

- Nie słyszałeś o błędzie Arystotelesa?

- Nie.

- Arystoteles, opisując gatunki zwierząt, napisał, zresztą na podstawie starożytnych ksiąg - że mucha ma osiem nóg. Przez całe wieki uważali tak wszyscy naukowcy zajmujący się naukami przyrodniczymi i powtarzali błąd. Dopiero w średniowieczu sprostował to zwykły koniuszy czy ktoś taki. On po prostu nie wiedział, że mucha ma mieć osiem nóg.

- Pewnie masz rację. Ale zacznijmy może myśleć, zamiast jak turyści fotografować każdy centymetr kwadratowy rzeczywistości. Czego szukamy?

- Ty jesteś od myślenia - zaśmiała się Iza. - Ja będę cię w tym wyręczać wyłącznie w łóżku.

- Skup się, wariatko!

- Wariatko? A kto mnie przeleciał w biały dzień w porcie? Co?

- Iza!

- I to analnie - Iza śmiała się do rozpuku. - I w dodatku na brudasa! Wziąłeś mnie na rumaku jak średniowieczny rycerz.

- Jesteś niemożliwa.

- Dobrze, już dobrze - Iza popatrzyła pojednawczo - po prostu było mi bardzo dobrze wczoraj.

- Skupmy się, okay? Popieprzymy się wieczorem. Masz jakiś notes?

- Mam - Iza wyciągnęła znany już Mikołajowi niebieski notes.

- Zapisz więc: templariusze, Bosch i może jeszcze czas.
- Zrobione.
- Zatem ruszajmy. Tylko obiecaj, że nie będziesz podrywać księży.
- Odwal się.

Katedra wpuściła ich bezboleśnie. Gdy drzwi glucho zamknęły się za nimi, opadł ich spokój, otuliło kolorowe światło wpuszczane przez witraże. Słyszeli tylko pojedyncze odgłosy kroków jakiegoś wiernego. Mimo woli ściszyli głos. Katedra była nadspodziewanie jasna i przestronna, co nijak nie pasowało do ich wyobrażenia o średniowiecznej mrocznej świątyni.

Po kilku godzinach, kiedy już obejrzelili wszystkie płytki i płyty katakumb, podszedł do nich pastor.

- Niech będzie pochwalony, jestem pastor Zimmermans - odezwał się do obojga znakomitym angielskim. - Widzę, że spodobała się państwu nasza katedra. Czy mogę jakoś pomóc? - zapytał, widząc zapisany drobnym maczkiem notatnik Izy.

- Dzień dobry - Mikołaj był jednak zatwardziałym ateistą i podkreślał to przy każdej okazji.

- Pochwalony - Iza rzuciła mu z ukosa piorunujące spojrzenie. - Jesteśmy studentami Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, w Polsce - skłamała gładko - i prowadzimy badania nad malarstwem Hieronima Boscha.

- Boscha? - ksiądz uniósł brwi ze zdziwienia. - To chyba nie tutaj - wykonał gest dający do zrozumienia, że tutaj oznacza katedrę.

- Istnieją poszlaki, że Hieronim brał udział w odbudowie katedry po pożarze miasta - Mikołaj wczuł się natychmiast w rolę, w której obsadziła go Iza - usiłujemy odnaleźć jakieś ślady.

- Hm - ksiądz zamyślił się. - Nie umiem wam pomóc. Jestem tu pastorem od zaledwie dwóch lat. Ale chyba bym wiedział o tym, że Bosch namalował cokolwiek w tej katedrze.

- Niekoniecznie namalował - Iza odnalazła się bezbłędnie w sytuacji - mógł być projektantem wnętrza, rzeźb czy nawet dostawcą jedzenia.

- Jedzenia? - pastor pokręcił głową.
- Tak - Mikołaj też patrzył zdziwiony - zachowały się pokwitowania na dostawę wołowiny przez Boscha na rzecz jakiejś organizacji religijnej czy czegoś w tym rodzaju.

- Chyba jednak wam nie pomogę - rozłożył bezradnie ręce. - Ale jeśli chcecie, to wpuszczę was na ostatnie piętro wieży. Nie wpuszczamy tam turystów ze względu na słabe drewniane podłogi, ale was dwoje bez problemu powinny utrzymać. Uważajcie tylko na schodkach i stawiajcie stopy raczej po bokach. Nie mamy pieniędzy na naprawę - popatrzył przeproszająco. - Będę w - szukał przez chwilę angielskiego słowa - tam - roześmiał się, wskazując na zakrystię.

Iza z Mikołajem podjęli mozolną wspinaczkę po drewnianych schodach wieży. Kiedy dotarli do zamkniętych drzwi na szczycie, poczuli stęchły zapach starych pajęczyn. Dawno nieużywany zamek skrzypnął i ustąpił. Za drzwiami były zupełnie inne schodki.

- Zaczekaj tu, jak skręcę kark to będzie miał kto powiadomić rodzinę - Mikołaj zatrzymał Izę ręką i podjął wędrówkę na górę, pamiętając, co mówił pastor. Stał na górze i krzyknął:

- Spoko, możesz włązić!

Stała na uginającej się pod ich ciężarem platformie w najwyższej, kwadratowej części wieży. Pomieszczenie było puste, bez żadnych napisów. Cztery otwory okienne, każdy w inną stronę świata, pozwalały wyjrzeć na zewnątrz.

- Co to jest? - Iza wskazała dziesięciocentymetrowe kolce, którymi wyłożone były okna.

- To odstrasza gołębie. Gdyby nie to, tonęlibyśmy teraz w guanie i potykali się o ptasie szkielety.

- Sprytnie - spoglądali przez kolejne okienka. - Piękny widok.

- Ale kompletnie nieprzydatny do naszych celów - Mikołaj pstrykał na wszelki wypadek zdjęcia.

- Spójrz tam - Iza wskazała górną część skarp podtrzymujących ściany katedry - po co ktoś tak trzymał się nad maskaronami, skoro z dołu ich w ogóle nie widać?

- Pojęcia nie mam - Mikołaj wyjrzał przez okienko. - Faktycznie, tego na pewno nie widać z dołu.

Wychylił się jeszcze bardziej, pstrykając kolejne zdjęcia. Przewieszony przez krawędź okna poczuł nagle, jak Iza opuszcza mu luźne szorty, wyjmując penisa i jeszcze miękkiego bierze do ust. Chciał zaprotestować, ale wprawne ruchy wyssały z niego jakiekolwiek ślady oporu. Poczuł nagle, jak ręka Izy zaczyna skręcać mu mosznę - krzyknął z bólu, ale na szczęście dla niego penis w ręce Izy eksplodował, pstrząc ceglany mur mlecznymi kropelkami. „Co ona, do cholery, ma z tym bólem”, pomyślał, kiedy patrzyła na niego z miną niewiniątka.

Gdy wrócili do hotelu, Mikołaj zgrał zdjęcia na laptopa i zaczął uważnie przeglądać. Najbardziej interesowały go zdjęcia maszkaronów, których nie było widać nawet z okienka. Zrobił je na oślep, wysuwając aparat jak najdalej mógł.

- Iza! - krzyknął w stronę łazienki.

- Zaraz - wyszła po paru sekundach z ręcznikiem na głowie. - Dokąd mnie zabierasz na kolację?

- Popatrz na to - dopiero teraz zobaczył, że hotelowy szlafrok rozchyła się na wysokości lędźwi i poczuł miłe mrowienie w podbrzuszu.

- Co?

Złapał ją za biodra i przyciągnął do ekranu.

- Kojarzysz tego obywatela? - pokazał jeden z maszkaronów.

Nakryła mu penisa dłonią, wyczuła erekcję.

- O tak, z tym obywatelem to miałam przyjemność i to całkiem niedawno - wyłuskała go z bokserek. - Biedactwo - uśmiechnęła się.

- Ja mówię o maszkaronie - Mikołaj odsunął rękę Izy.

- Co z nim? - zrozumiała, że Mikołaj nie ma teraz ochoty na seks.

Wtedy to dostrzegła. Ze skarpy spoglądała na nich znajoma głowa bez tułowia, za to z bosymi stopami. Taka sama jak na kilku obrazach Boscha.

* * *

Wielce Szanowny Mistrzu Jeroen!

Ogromnie żałuję, że nie mogłem przyjąć Twojego zaproszenia, ale czasu mi brakuje na odwiedziny przyjaciół, nawet tak cennych jak Ty. Zresztą, z tego, co mi wiadomo, Ty także na nadmiar wolnego czasu nie narzekasz. A będziesz miał go jeszcze mniej, jeśli nasz młody Książę w końcu się zdecyduje Tobie powierzyć pracę nad wizją Sądu Ostatecznego. Póki jednak ostatecznie nic nie zadeklarował, nie ma sensu poruszać tego tematu.

Co do Księcia Filipa, to nie jestem pewien, czy właściwie z nim postępuję. Słusznie, drogi Jeroenie, nazwałeś go zacnym młodzieńcem, ale jakkolwiek byłby on zacny, zawsze pozostanie synem cesarza. Mógłby kiedyś, w przypiływie synowskiej szczerości wygadać się przed ojcem o różnych sprawach, o których ani cesarz, ani nikt z jego ludzi absolutnie wiedzieć nie powinien. Czy nie pozwalam sobie na zbyt pochopną nieostrożność? Ale z drugiej strony Książę Filip wielokrotnie dowiódł, że można mu ufać. Gdyby tak nie było, dawno byśmy wszyscy trafili pod sąd inkwizytorski i nasze kości bieląłyby na słońcu. Powiadam Ci, Jeroenie, Książę jest nie tylko zacnym młodzieńcem, lecz i młodzieńcem nad podziw chytrym jak na swój wiek. Można by rzec - wyjątkowo elastyczny charakter. Reformatorski dla reformatorskich, ortodoksyjny dla ortodoksyjnych. Z kim się zetknie - według tego się nastraja. I każdy bierze go za swojego. Gdyby jego ojcu natura dała taką zaletę, nie dochodziłoby do tyłu wojen w naszym kraju.

Skoro już mowa o wojnach, nie wiem jak Ty, Jeroenie, ale ja lękam się, że przez owe podatki, które cesarz ściągga na wojnę z księciem van Egmont, kiedyś doszczętnie zbankrutuję. Kampania toczy się już blisko dwadzieścia lat i jakoś końca nie widać. Gdyby cesarz miał wszystko z własnej sakiewki finansować, mniej byłby skory do wojaczki.

Dość jednak o tym. Wracając do naszego obrazu, muszę przyznać, że piekło, które mi pokazałeś, naprawdę robi wrażenie. Napisałem o nim do Księcia, choć teraz nachodzą mnie wątpliwości, czy niektórych szczegółów nie byłoby lepiej przed nim zataić. Wprawdzie w Jego odpowiedzi nie doszukałem się żadnej dezaprobaty, wręcz przeciwnie, Książę zdawał się jeszcze bardziej zaintrygowany, ale nie należy zapominać, że w jego

żyłach płynie krew Habsburgów. Nigdy nie wiadomo, kiedy owa krew weźmie górę nad mądrym umysłem i dobrym sercem. Księżę jest katolikiem, a w Twoim piekle rozpustna świnia bezcześci welon katolickiej zakonnicy. Któryż katolik nie uznałby takiej sceny za świętokradztwo? Widocznie katolicyzm naszego Księcia nie całkiem zawładnął Jego duszą, inaczej Filip w najlepszym wypadku miałby nas obu za bezbożnych potępieńców, a w najgorszym z jego rozkazu zajęłoby się nami Kawalerowie Złotego Runa. Swoją drogą, Mistrzu Jeroen, przecież ja też od niedawna jestem katolikiem, Ty zaś jesteś nim od urodzenia. Czy z tą świnią w welonie obaj nie przesadziliśmy? W naszym Bractwie również są katolicy. Jedna z siostr nawet jest zakonnica i nosi taki welon. Nie masz obaw, czy nie przekroczyliśmy dopuszczalnych granic? Jeśli tak - usuń z obrazu świnie, albo przynajmniej zdejmij jej welon. Ale jeżeli sumienie nic Ci nie wyrzuca - niech świnia zostanie taka jak jest. W końcu Twoje dzieło będą oglądać tylko wybrani - ci, którym przestarzałe zabobony nie przysłaniają objawionej prawdy. A poza tym piekło to tylko niewielki fragment obrazu i najmniej miarodajny.

Skąd wiedziałeś, Jeroenie, że masz umieścić piekło w prawym skrzydle”? Nie przypominam sobie, bym w tej materii dawał ci jakieś wskazówki. Ale słusznie postąpiłeś - piekło istotnie powinno być po prawej stronie. Po lewej zaś stwórz Raj. Jako chrześcijanina może to Cię dziwić, skoro. Pismo Święte każe stronę lewą kojarzyć ze złem, a stronę prawą z dobrem. Jest w Biblii napisane: „Sprawiedliwi zasiądą po prawicy”. A na obrazie ma być odwrotnie.

Szczegóły dotyczące Raju podam ci w następnym liście. Tymczasem, drogi Jeroenie, muszę już kończyć, bo właśnie spodziewam się wizyty kapelana z katedry Sint Jaan, który często mnie odwiedza, by utwierdzać moją nawróconą duszę w chrześcijańskiej wierze. Dla własnego bezpieczeństwa jestem gorliwym neofitą.

Ty zaś, Jeroenie, dla bezpieczeństwa swojego i mojego, nie zapomnij pozbyć się tego listu, kiedy tylko go przeczytasz.

Twój mecenas i przyjaciel
Jacob Almaengien, Philips van Sint Jaan

* * *

Trzeciego dnia pobytu w 'sHertogenbosch Mikołaj napisał mejl do Paula Hardenne, powiadamiając go, że razem ze współpracowniczką jest właśnie w 'sHertogenbosch i chętnie spotkałby się z doktorem w celu wymiany poglądów na temat Boscha. Była środa, więc perspektywa spędzenia weekendu w Antwerpii mogłaby być miłym akcentem.

Odpowiedź przyszła jeszcze tego samego dnia: „Tak, oczywiście, chętnie się z wami spotkam. Jeśli będziecie w piątek, znajdziecie mnie w muzeum. Jeśli w weekend, to proszę o telefon”.

W piątkowe przedpołudnie wymeldowali się z hotelu i skierowali do Antwerpii, dokąd dotarli parę minut przed trzynastą. GPS doprowadził ich bezpośrednio na parking pod muzeum, gdzie pracował doktor.

Maria, asystentka doktora, otworzyła im drzwi i łamanym niemieckim wytłumaczyła, że doktor poszedł na obiad, ale niebawem wróci. Tymczasem wpuści ich do gabinetu i przygotuje kawę. Najwyraźniej wiedziała, że doktor ich oczekuje.

Nie zdążyli rozejrzeć się po gabinecie, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadł lekko podenerwowany doktor. Uspokoił się, kiedy zobaczył, że jego goście siedzą grzecznie przy stole z dala od biurka.

- Nicholas? - uśmiechnął się, wyciągając rękę.

- Tak, a to jest koleżanka, z którą wspólnie prowadzimy badania. Poznaj Izę.

- Bardzo mi miło - Paul ujął chłodną dłoń Izy i przytrzymał ją o sekundę dłużej, niż nakazywałaby grzeczność. - Miło, że mnie odwiedziliście. Idziemy coś zjeść?

- Chętnie, ale twoja asystentka mówiła, że już jadłeś.

- Tak, jadłem, ale zapomniałem o kawie i deserze.

Wychodząc, Hardenne rzucił Marii ukradkiem prośbę o uporządkowanie biurka i spakowanie wszystkich starych papierów do szafy w kącie.

Dotarli do włoskiej restauracyjki i zamówili obiad oraz deser dla Paula.

- Iza i ja jesteśmy asystentami na Akademii Sztuk Pięknych i przygotowujemy wspólnie rozprawę doktorską. Praca Izy będzie odświeżonym opracowaniem symboliki średniowiecznej, a moja praca będzie dotyczyć kontekstu kulturoznawczego malarstwa niderlandzkiego - Mikołaj kłamał jak z nut. „Jak zacznie dopytywać o szczegóły, to będę udawał, że nie rozumiem”.

- Ja, jak pewnie wiecie, wykładam historię sztuki na tutejszym uniwersytecie katolickim, a od lat jestem dyrektorem muzeum sztuk w Amsterdamie. Prywatnie pasjonuję się twórczością Boscha i - tu zawiesił głos dla zwiększenia efektu - również przygotowuję się do pracy naukowej, tyle że szczebelek wyżej niż wy.

- Praca będzie o Boschu?

- Poniekąd - Hardenne postanowił nie odkrywać wszystkich kart - Bardzo się cieszę, że znaleźliście czas na odwiedziny. Co was sprowadza do 'sHertogenbosch?

- Szukaliśmy śladów Boscha, jak się pewnie domyślasz.

- I jak wyniki? - pytanie Paula brzmiało zbyt niewinnie.

- Marne, prawdę mówiąc - milcząca dotąd Iza włączyła się w rozmowę - przekopaliśmy lokalny urząd stanu cywilnego, urzędnicy z magistratu rozłożyli tylko ręce. Z kolei pastor z katedry niczego nie wie.

- A czego szukaliście w katedrze? - Hardenne uniósł posrebrzone już starością brwi.

- Natknęliśmy się na tezę, a nawet pewne poszlaki, że Bosch brał udział w remoncie katedry po pożarze miasta.

- Ach tak - Paul odetchnął z ulgą.

- Szukaliśmy też powiązania z zakonem templariuszy, ale w całej katedrze nie ma ani jednego krzyża.

- Ależ jest - Hardenne ugryzł się w język. Zrozumiał jednak, że teraz musi powiedzieć. - Jest jeden, na kamieniu węgielnym. Ale chyba nic nie znaczy. Z tego, co wiem, to zakon nie miał nic wspólnego z tą katedrą, krzyż pojawił się pewnie dlatego, że współfinansowali budowę czy remont.

- Musieliśmy przeoczyć - Mikołaj nie dał po sobie niczego poznać. - Wiesz, jesteśmy mało doświadczeni. A powiedz, jak wpadłeś na ślad klucza?

- Zupełnie przypadkiem. Rycina przedstawiająca de Molaya trafiła do konserwatora naszego muzeum, pokazał mi ją, a ja skojarzyłem, że skądś znam ten charakterystyczny kształt.

- Macie jeszcze tę rycinę?

- Nie, pochodzi ze zbiorów prywatnych. Nie wiem, czy się orientujecie, że konserwacja starych druków wymaga nielekiego wyposażenia. Dlatego prywatni kolekcjonerzy zwracają się zwykle do muzeów. Nasze jest jednym z najlepszych w Holandii - w głosie Paula dało się wyczuć dumę.

- To dlatego tak trudno to znaleźć w Internecie - Mikołaj zamyslił się. - A do jakich wniosków doszedłeś w związku z kluczem?

- Przestałem się tym zajmować - skłamał gładko Paul. - Sami rozumiecie, naukowiec musi robić przeważnie dużo mniej interesujące rzeczy. Ale mam sporo materiałów, które mogę wam udostępnić.

- Planowaliśmy wyjechać w niedzielę wieczorem - Iza podniosła wzrok na Paula - myślisz, że damy radę się przekopać?

- To zależy od waszej spostrzegawczości - zaśmiał się Paul. - Wszystkie materiały, jakie mam, mieszczą się w dwudrzwiowej szafie w muzeum.

- No to jeszcze musimy rozwiązać problem ich udostępnienia - Iza była sceptyczna.

- Nie ma żadnego problemu. Pracuję przez cały weekend w muzeum, zostawię wam klucze od gabinetu i już. Kończę przeważnie około dwudziestej, w razie czego możecie sobie zrobić kserokopie.

- Naprawdę? Wiesz, że u nas nikt nie udostępniłby komuś gabinetu do dyspozycji ot tak sobie? A szczególnie obcym?

- A dlaczego? - Paul był szczerze zdziwiony.

- No wiesz, bałby się, że go okradną czy coś.

- Zamierzacie mnie okraść? - zdumiał się Paul.

- Skądże! - odpowiedzieli niemal chórem.

- Więc czujcie się jak u siebie w domu. W weekend nie ma Marii, ale pod jej nieobecność możecie korzystać z kuchenki i wszystkiego, co tam się znajduje. Jak wrócimy, pokażę wam gdzie.

Wyszli z restauracji i skierowali się z powrotem do muzeum.

- Jeśli będziecie mieli ochotę, to zapraszam wieczorem na kolację. Ja teraz muszę wyskoczyć do domu, ale poproszę Marię, żeby pokazała wam szafę z papierami. Gdzie się zatrzymaliście?

- Jeszcze nie mamy hotelu, ten wyjazd był dość spontaniczny.

- Niedobrze, niedobrze. Mamy jakąś dużą imprezę w Antwerpii w ten weekend, zjazd producentów pojazdów rolniczych czy coś w tym rodzaju. Może być spory kłopot. Dlatego sugeruję, żebyście zmienili priorytety i najpierw poszukali noclegu - Paul był rzeczowy do bólu. - Gdyby były kłopoty, dzwońcie na komórkę - wyjął z kieszeni marynarki wizytówkę i podał Izie - coś wymyślimy.

Mikołaj i Iza wyszli z muzeum na oślepiające słońce.

- Co myślisz? - spytał trochę zamyśloną Izę.

- Nie wiem - ocknęła się po chwili. - Chyba miły gość.

- Nie masz wrażenia, że coś ukrywa?

- Nie bardzo - popatrzyła rozbijającą - zaczynasz wietrzyć spisek - zakpiła.

Postanowili znaleźć hotel, nie oddalając się zbyt od centrum. Niestety, wszędzie odpowiadano im wzruszeniem ramion i odsyłano do kolejnego. Po dwóch godzinach byli już bardzo zmęczeni.

- Dzwonimy do Paula?

- Próbuj - Iza podała mu szary kartonik z numerem. Podeszli do automatu, Mikołaj wrzucił dwa euro.

- Paul?

- O, Nicholas. Co słyhać?

- Nie możemy znaleźć noclegu. Wspominałeś, że możesz pomóc.

- Cholera, trochę późno dzwonicie. Maria już zaczęła weekend, a ja nie znam nikogo w kampusie. Dajcie mi chwilę pomyśleć. A może zanicujecie u mnie? - zaproponował nagle.

- Nie wiem, czy możemy nadużywać twojej gościnności - krygował się Mikołaj.

- Nie ma problemu. Jestem starym kawalerem i czasami nocują u mnie koledzy naukowcy. Mieszkanie mam niewielkie, ale znajdzie się i łóżko, i osobny pokój.

- Mówisz poważnie?

- Poważnie - Paul był bezpośredni. - Będziemy mieli więcej czasu na wymianę poglądów.

- Super, to może zobaczymy się w muzeum?

- Właśnie tam dojeżdżam. Jak będziecie, to wiecie, gdzie mnie szukać.

Wrócili do muzeum. W gabinecie doktora na stole piętrzył się stos dokumentów - książki, notatki, reprodukcje. Doktor najwyraźniej przygotował im warsztat pracy. Sam ledwie uniósł głowę znad komputera, na którym coś pisał.

- Nie przejmujcie się mną. Jak będziecie chcieli do domu, to musimy to jakoś zgrać. Ja kończę około dwudziestej - rzucił sucho, tonem nieoczekującym odpowiedzi.

Zaczęli przeglądać materiały Paula, segregując je dla niepoznaki według zagadnień swoich „prac doktorskich”. Niestety, większość była w języku holenderskim, który choć nieco podobny do niemieckiego, nie pozwalał na dogłębną analizę. Co jakiś czas Iza brała w rękę mały aparat cyfrowy i robiła zdjęcia co ciekawszych na oko materiałów.

Parę minut po dwudziestej Paul spakował komputer.

- Idziemy?

- Już dwudziesta? - Iza rozejrzała się zdziwiona - ależ ten czas szybko leci.

- Musimy zabrać samochód, jest na parkingu pod muzeum - Mikołaj myślał jak zwykle trzeźwo. - Zaczekajcie moment, muszę do toalety.

Iza i Paul zostali sami. Czują na sobie jego świdrujący wzrok, ale nie śmiała unieść głowy znad papierów. Udając, że notuje coś zawzięcie,

myślała gorączkowo nad nieoczekiwaną dla niej sytuacją. „Może mi się tylko wydaje, ale wolę nie sprawdzać”, myślała. Trudna chwila trwała dla niej wieczność, ale nie dała po sobie nic poznać.

- Jedziemy? - Mikołaj stanął w drzwiach.

- Ja jestem gotowa - Iza uspokojona podniosła głowę i zauważyła wtedy, że Paula nie ma w gabinecie. „Gdzie się podział?”, pomyślała, ale wtedy Paul szeroko otworzył drzwi sekretariatu. „Wpadam w paranoję”, pomyślała uspokajająco.

Reszta wieczoru upłynęła im przy winie i opowieściach o życiu akademickim. Mieszkanie Paula było bardzo schludne i minimalistyczne. Widać było brak kobiecej ręki, a to w monotonnej zastawie stołowej, a to w staromodnie urządzonej kuchni. Paul jednak był bardzo wesoły i z każdym kieliszkiem wina coraz bardziej gadatliwy. Położyli się spać dobrze po północy. Miasto było już cichutkie i spokojne. Paul został sam w salonie, wyciągnął z teczki laptopa i stukał jeszcze przez dwie godziny. Mikołaj i Iza spali już w najlepsze. Nie kochali się tej nocy, zbyt duża ilość wina zniechęciła oboje do figli.

* * *

Nazajutrz, w sobotę, nic nie wskazywało na szczególne wydarzenia. Iza i Mikołaj przekopali do końca materiały Paula. Hardenne z kolei kończył pisać pięciostronicowy abstrakt swojej pracy habilitacyjnej.

„Idzie mi na tyle dobrze, że mogę poddać go pod głosowanie już w poniedziałek”, myślał, „ale wtedy musiałbym zaniedbać moich gości”.

- Nicholas? - zagadnął znienacka.

Mikołaj podniósł głowę znad notatek.

- Tak?

- Kończę pisać abstrakt pracy habilitacyjnej i jest szansa, że przedstawię ją na poniedziałkowym posiedzeniu senatu. Tyle że wtedy przez weekend musiałbym się skupić na pracy i nie będziemy mieli zbyt dużo czasu, żeby porozmawiać.

- Może moglibyśmy ci jakoś pomóc?
- Nie chciałbym...
- Ależ skąd! Kiedy zaproponowałeś nam nocleg, nie miałeś oporów - przyłączyła się Iza.

- Prawdę mówiąc, brakuje mi solidnego wykazu literatury. A to przynajmniej kilka godzin szukania.

- Daj nam wytyczne, to spróbujemy się do tego przymierzyć.

W ten sposób Paul zręcznie zatrudnił Mikołaja i Izę do swoich celów. Mając lekkie wyrzuty sumienia, zaproponował kolację. Było już po dwudziestej drugiej, kiedy weszli do da Giovanni, włoskiej restauracyjki.

Przy zarezerwowanym wcześniej stoliku czekała na nich drobna, szczupła blondynka.

- Poznajcie Gudrun - Paul przedstawił sobie zaskoczone towarzystwo. - Gudrun jest moją narzeczoną - popatrzyli na siebie zdumieni - i wygląda na znacznie mniej lat, niż ma w rzeczywistości - zakończył Paul.

- Cześć.

Przyglądali się sobie wzajemnie. Gudrun wydawała się lekko nieobecna i niezmiennie ezoteryczna, choć jej bladość przykryta była mocnym makijażem. Gruby, kolorowy sweter dobrze maskował wystające kości, gwałcąc cienką jak papier, niemal przezroczystą skórę. Na karku dziewczyny Mikołaj zauważył malutką, niebieską żyłkę, która pulsowała delikatnie pod skórą. Zafiksował się na niej tak bardzo, że Iza wymierzyła mu w końcu kuksańca.

- Paul opowiadał mi, że zajmujecie się Hieronimem? - głos Gudrun był tak ulotny jak cała jej cielesna powłoka.

- Tak, właściwie to trafiliśmy zupełnie przypadkiem do Antwerpii, a Paul był tak miły i udzielił nam gościny - powiedział Mikołaj.

Uwadze Mikołaja nie uszło ukradkowe, pytające spojrzenie rzucone przez Gudrun w stronę Paula. Paul szybko odparł:

- Udostępniłem im moje archiwum o Boschu. Nie mam już na niego zbyt wiele czasu, a może ktoś skorzysta.

Gudrun wyraźnie odetchnęła, jednak od tej pory zaczęła bardziej wnikliwie przyglądać się Izie. Była jej całkowitym przeciwieństwem - wysoka kobieta o pełnych kształtach, ze spojrzeniem zdradzającym pewność swojej kobiecości. W powietrzu dało się wyczuć wzajemną kobiecą zazdrość i tęsknotę do tego, by być kimś zupełnie innym.

Po dwóch butelkach wina atmosfera zdecydowanie się rozluźniła i postronny obserwator byłby przekonany, że spotkali się wieloletni przyjaciele. Tymczasem między Izą a Gudrun tworzyło się delikatne napięcie. Z kolei Mikołaj i Paul zachowywali wobec siebie dystans i raczej sondowali się wzajemnie.

Z restauracji wyszli po drugiej w nocy, lekko podpićci. Mikołaj z Paułem szli nieco z przodu pochłonięci intelektualną dyskusją, dziewczęta kilka metrów za nimi, w objęciach, zaśmiewały się do łez z przywar swoich partnerów. Rozmowa obu panów krążyła ciągle wokół powiązania Boscha i templariuszy. Paul kluczył, Mikołaj usiłował pociągnąć go za język. Hardenne, przyparty do muru, przyznał się wreszcie:

- Nie wiem, Nicholas, co mogło Boscha wiązać z de Molayem. Miałem nadzieję, że ty na to wpadniesz.

- Przeceniasz mnie.

- Nie - skłamał Paul - sądziłem, że świeże spojrzenie na temat przybliży rozwiązanie.

- Czegoś mi nie mówisz chyba - Mikołaj zasępił się.

- Ależ skąd! - Paul powiedział to trochę za szybko. - Po prostu ostatnio trochę dużo pracuję, a wtedy mam tendencję do monomanii. Jeśli masz pytania, to pytaj śmiało - zachęcił go.

- O czym będzie twoja rozprawa habilitacyjna?

Paul postanowił podrzucić Mikołajowi kolejny fałszywy trop.

- Kojarzysz Bractwo Wolnego Ducha?

- Oczywiście - Mikołaj pomyślał z wdzięcznością o Izie, która zabrała książkę Fraengera w podróż.

- Moja habilitacja ma wykazać, że symbolika Boscha odnosi się do przesłania owego bractwa.

- Ktoś już sformułował taką tezę?
- Tak, Fraenger. Ale jej nie udowodnił, bynajmniej. No i Fraenger był mimo wszystko ignorantem.

„Pyszalek”, pomyślał Mikołaj, a na głos powiedział:

- Przybliżysz mi swój tok rozumowania? Fraengera czytałem, więc chętnie wymienię się spostrzeżeniami.

- Chętnie, ale muszę najpierw skończyć ten pieprzony abstrakt. W poniedziałek chcę go złożyć w sekretariacie. Może jutro, zanim wyjedziecie?

- Pewnie.

Tak sobie gawędząc, dotarli do mieszkania Paula. Panowie, w dalszym ciągu pochłonięci rozmową, zignorowali dziewczęta, które rozeszły się do łóżek. Paul wyciągnął z lodówki białe wino i rozlał do szklanek.

- Odechciało mi się spać, a w takim stanie nic nie napiszę. Pogadamy jeszcze?

- Chętnie - zgodził się Mikołaj.

- Postawiłem tezę - Hardenne przeszedł bez ogródek do swojej fikcyjnej pracy habilitacyjnej - że Bosch był jednym z najbardziej aktywnych członków bractwa.

- I co dalej?

- To było, jak pewnie wiesz, dziwne towarzystwo. Ze swoimi poglądami byli w awangardzie średniowiecza.

- Masz na myśli to, że lubili się bzykać z kim popadnie? - zaśmiał się Mikołaj.

- To też, ale bardziej chodzi mi o światopogląd religijny. Dla nich bogiem był człowiek.

- Sam się zastanawiam, jakim cudem uniknęli karzącej ręki Inkwizycji.

- Właśnie! Choć nie do końca, czeski odłam tego bractwa został zmieciony z powierzchni ziemi.

- A jak się ma do tego Bosch, poza tym że płaśał na golasa podczas orgii bractwa?

- Uważam, że prowadził coś w rodzaju kampanii propagandowej. Jego obrazy były po prostu billboardami.

- Po co miałyby to robić?

- Schyłek średniowiecza był ideologicznym tygłem. Lud miał dosyć Inkwizycji, a wpływy Watykanu uwierały wszystkich rządzących.

- Stąd wziął się Filip - dopowiedział Mikołaj.

- Właśnie. Filip prawdopodobnie był cichym członkiem bractwa, być może zwerbowanym podczas jakiejś orgii. Płacąc za obrazy Boscha, w istocie finansował ekspansję bractwa.

- Genialne. Myślisz, że byli w zмовіе?

- Jeśli już, to z ojcem Filipa, Karolem V Habsburgiem. Filip urodził się po śmierci Boscha. Ale tak, do takich wniosków doszedłem jeszcze na studiach doktoranckich. Teraz, jak widzisz, zajmuję się czymś nieco innym, ale dzięki znajomości tych faktów mogę napisać niezłą pracę.

- Kręci mi się już w głowie. Idziemy spać?

- Dobranoc.

Mikołaj wyszedł z łazienki i skierował się do pokoju, gdzie spała Iza. Przytulił się do niej i zasnął szybciotko. Było już po czwartej.

Zdawało mu się, że ledwie zasnął, kiedy obudził się zupełnie bez powodu. Izy nie było w łóżku, nie zdziwił się zbytnio, ale po pięciu minutach zaniepokojony wstał i przeszedł na palcach w stronę łazienki.

Z pokoju Paula sączyło się światło; w uchylonych drzwiach stała ubrana w sam podkoszulek Iza. Zaskoczony Mikołaj podszedł cichutko i wtedy zobaczył, co się dzieje. Gudrun leżała na wznak przywiązana do łóżka za ręce i nogi. Zafascynowany patrzył na gruby sznur wrzynający się w blade, piego-wate ciało dziewczyny. Między jej udami tkwiła głowa Paula. Iza patrzyła podniecona na Gudrun i nie zauważyła Mikołaja, który stał od niej na wy-ciągnięcie ręki. Patrząc na jej bardzo delikatne włosy łonowe, zrozumiała, że Hardenne wprowadził ich w błąd, sugerując, że jest starsza, niż na to wyglą-da.

Iza stała z lekko rozchylonymi nogami i delikatnie się pieściła. Mikołaj podszedł cichutko i wszedł w nią od tyłu, była kompletnie mokra. Kochali

się, patrząc na Gudrun i Paula. Dopiero teraz dostrzegli śmieszne skórzane porcięta, z których sterczał niewiarygodnie wielki penis Paula, udekorowany cienkim paskiem skóry parę milimetrów poniżej żołądździ.

Nagle Gudrun otworzyła oczy i zobaczyła Izę, która właśnie zaczęła szczytować. Gudrun w odruchu chwyciła Paula za włosy. Dopiero wtedy Mikołaj dostrzegł, że Paul przyglądał się Izie od jakiegoś czasu, patrzył jej bezczelnie w wilgotne łono. Sytuacja przerosła wszystkich, Gudrun zaczęła szarpać się w więzach, Paul ukradkiem próbował ściągać skórzaną opaskę z flaczejącego penisa, Iza zasłoniła się w fałszywym wstydzie, a Mikołaj puścił potężnego nerwowego bąka.

To ostatnie rozładowało atmosferę i pozwoliło chichoczącej Izie zabrać skonfundowanego Mikołaja do pokoju.

Zasnęli szybko, nie mówiąc do siebie ani słowa.

* * *

Marianna przeszła już do wyższego wymiaru. Stała się tajnym autorytetem niemałej grupy dziewcz nie dużego klasztoru w Kazimierzu nad Wisłą. Jednak jej osiągnięcia w dochodzeniu do piątego orgazmu były bezowocne. I wydawało się, że taki stan potrwa, gdyby nie pewna wycieczka... Wycieczka na Jasną Górę, która nadała sprawom zaskakujący obrót, co więcej zmieniła przeznaczenie duchowe Marianny. Atmosfera, jaka panowała podczas wycieczki, była wzniosła i pełna nadziei. Niestety niespełnionych. W drodze powrotnej siostry modliły się żarliwie do Matki Boskiej Częstochowskiej o zbawienie i wieczną ekstazę u boku Jezusa oraz jego niepokalanej świąty. Z przodu autokaru siedział młody ksiądz, który cały czas przygrywał na gitarze, śpiewał ochoczo i zagrzewał do modlitewnego boju. Widząc, że zapal siostr opada, zarządził piknik na leśnej polanie. Stanąwszy na przydrożnym parkingu, wraz z grupą dziewcz oddanych przywództwu Marianny, oddalili się od reszty ciągle śpiewającej grupy. Energiczny i wesoły kapłan szybko zdobył zaufanie młodych kobiet. Ochoczo wcielił się w rolę naturalnego wodzireja podczas leśnej eskapady. Tłumaczył dziewczynom, że

aureola wokół Matki Boskiej jest jak słońce, dlatego też chcąc jak najpełniej oddawać jej cześć, należy modlić się, kładąc jedna obok drugiej na brzuszku, tak jak promyki słońca. A ponieważ jest upalne lato, i tym bardziej, że chodzi o słońce, należy się do tej czynności rozebrać. Dopiero wtedy można w pełni chwalić Pana, piękno natury oraz być jak nowo narodzone dziecko Boże. Siostry bez wahania poddały się nowej formie modlitwy, która przecież tak naprawdę była też formą Boskiej zabawy. Gdy tak oddawały cześć i dziękczynienie stworzeniu świata, ksiądz Gabriel fruwał po nich niczym pszczołka po kwiatkach, zapylając praktycznie wszystkie. Marianna doznała wizji, popartej przekazem Ducha Świętego w postaci już nie wielkiego, kolorowego orla, a byka o męskim ciele, rodem z mitologii greckiej, który wypełniając ją rozkoszą, szeptał czule do ucha obietnicę nieustającej rajskiej błogości u boku Pana. Jego nektar wypełnił jej kielich po brzegi, a to, co się ulało, skwapliwie spijała, skąd się dało, próbując zatrzymać ten smak w ustach na zawsze. Jak się można było spodziewać, liczba szczytów rozkoszy, na które wspięła się Marianna, przekroczyła magiczną cyfrę pięć. Marianna zaczęła też zastanawiać się nad spożywaniem większych ilości nektaru, który pomoże jej w dobrym zdrowiu czekać na niebiańską nagrodę. Intuicja podpowiadała jej, że może wtedy Pan sprawi też, że urośnie jej takie wspańnię żądło, jakie posiadał ksiądz Gabriel.

* * *

Droga Siostró Aylet!

Muszę przyznać, że Twój małżonek nieustannie mnie zadziwia. Czy on przypadkiem nie domyśla się całej prawdy? Jeśli tak, byłoby to stanowczo za wcześnie. Nie wątpię, że od Ciebie nic się nie dowiedział. Jesteś naszą Siostrą i nie zdradziłabyś nikomu naszych tajemnic bez zgody Bractwa. A jednak Jeroen coś wie albo tylko przeczuwa. Inaczej, jakim cudem przewidziałby, gdzie na obrazie ma leżeć piekło? Umyślnie mu tego nie podpowiadałem, licząc, że sam mnie zapyta. A on, o nic nie pytając, odgadł moje intencje. Wiesz, Siostró, że życzyłbym sobie, aby Twój mąż wstąpił do

naszego Bractwa. Póki jednak tego nie uczyni, nie może wiedzieć za dużo.

Jeszcze jedna rzecz mnie frapuje. Diabeł. Diabeł, którego mistrz Jeroen miał stworzyć na podobieństwo Bofometa. A stworzył na swoje podobieństwo. Przysiągłbym, że na wizerunku, który mi pokazał, jest jego twarz. Postaraj się, droga Siostrzo, dyskretnie wybadać męża, o co mu chodziło z tym diabłem.

Tymczasem mam dla Ciebie ważne wieści. Jak Ci zapewne wiadomo, niedawno w naszym mieście gościł cesarz. Jak zawsze zakwaterował się u dominikanów i jak zawsze udaliśmy się z grupą najdostojniejszych mieszkańców do klasztoru, by złożyć mu hołd. Ujrawszy mnie, cesarz poznał od razu jako chrześniaka swojego syna. Coś mu widocznie nagadano na mój temat, jako że tak podejrzliwie na mnie od początku patrzył. Szybko odprowadził wszystkich moich towarzyszy, do mnie zaś rzekł: „Tobie, Almaengien, udzielę specjalnej audiencji”. Aż krew mi w żyłach zastygła. Ostatnio prawie nie ma dnia, by kogoś nie pomówili o herezję. Kaci nie nadążają z egzekucjami, jeszcze jeden stos nie wygaśnie, a już zapalają następny. „Teraz moja kolej”, pomyślałem. Cesarz z papieżem w dobrej jest komitywie i żadnej okazji nie pominie, by dowieść, że w jego monarchii żaden heretyk się nie uchowa. I oto, co do mnie mówi: „Słyszałem, że działasz w jakiejś nikczemnej heretyckiej bandzie. Że beczceście święte symbole, uprawiacie zbiorowy nierząd i ku Boskiej obrazie obnażacie się bezwstydnie „. Miałem ja wówczas na sobie paradny strój, moje najlepsze szaty, jak przystało na audiencję u cesarza. „Miłościwy Panie, odpowiadam, widzisz mnie przecież i sam powiedz, czy jestem nagi, czy nie”. On na to: „Ty, Almaengien, sobie ze mnie nie kpij, bo ja już poleciłem Kawalerom Złotego Runa, by mieli na ciebie oko i jak tylko cokolwiek wykryją, przestaniesz być taki rezolutny i ochota do żartów ci minie”. Ja takiej ochoty nie miałem i wtedy, ale rezon całkiem mnie nie opuścił. „Miłościwy Panie, mówię, jeśli uważasz, że w czymkolwiek zawiniłem, każ mi uciąć głowę. Ale Bóg widzi, że niewinnie swojego wiernego sługę kazałbyś stracić”. Na to cesarz: „Czy ty myślisz, niecnoto, że ja nic innego do roboty nie mam, tylko wasze heretyckie lby z karków strącać? Ja nie po to rodzzonego syna wyznaczyłem ci na chrzestnego patrona, by po dwóch miesiącach rzucić cię na pożarcie katom, jak psu padlinę. Ale, dodał, przybierając groźny wyraz

twarzy, uważaj ty, Jacobie Almaengien, bo jeśli mi dowiodą, żeś heretyk, to nawet twój chrzest ani mój syn cię nie uratują”.

Tak to było, droga Siostró. Cesarza nie ma u nas prawie od tygodnia, a ja do tej pory jakbym jeszcze nadal słyszał jego słowa. Musimy wszyscy być ostrożniejsi. Postępujemy tak, by cień podejrzenia na nas nie padł. I nikomu do końca nie ufajmy. Nigdy nie wiadomo, kogo papiści nasylają jako swojego szpiega. Czy chociażby nie znalazłby się ktoś taki wśród członków Bractwa Najświętszej Maryi Panny, których niedawno Twój mąż podejmował na uczcie łabędziej? Nie wiem tego, ty też nie wiesz i mistrz Jeroen również.

Siostró Aylet, niech tego mojego listu, który ma służyć Ci jako przestroga, oprócz Ciebie nikt nigdy nie ujrzy. W przeciwnym razie wszyscy będziemy zgubieni.

Spotkamy się niebawem na naszych obrzędach, o ile nic niespodziewanego wcześniej nie zajdzie. Teraz zaś żegnam Cię, droga Siostró.

Twój brat Jakub

* * *

Mikołaj obudził się pierwszy, było już po dziesiątej. Iza jeszcze spała. Wstał i przeszedł do kuchni. Z pokoju Paula dobiegło go pstrykanie klawiatury. Na blacie stała niedopita kawa, odruchowo dotknął kubka, jakby chciał upewnić się, że jest jeszcze ciepła. Nastawił ekspres do kawy i wrócił do łazienki. Kiedy przechodził koło pokoju Paula, usłyszał:

- Nicholas?

Paul leżał w łóżku, na kolanach miał laptopa. Odłożył go zaraz. Gudrun najwyraźniej już nie było.

- Słuchaj... - zaczął nieporadnie Mikołaj.

- Nie rozmawiajmy o tym - poprosił Paul. - W sumie nic się nie stało, a nie chciałbym, żeby to rzutowało na nasze relacje.

- Dobrze - odetchnął Mikołaj.

- Porozmawiaj z Izą. Mam nadzieję, że nie będzie miała nam tego za złe.

- Oczywiście.
- Chciałbym wam coś zaproponować. Dziś muszę skupić się nad abstraktem, więc marny będzie ze mnie towarzysz. Ale gdybyście zostali do jutra, to moglibyśmy... - zawiesił głos. - Mam nadzieję, uczyć przyjęcie mojej dysertacji.

- Chętnie - zgodził się Mikołaj. - Nie śpieszy nam się do domu. No i skończymy grzebać za źródłami.

- Świetnie.

- Pogadam z Izą, to coś nam upichci na obiad. Iza, chcesz kawy? - krzyknął w korytarz, na co usłyszał jakiś nieartykułowany dźwięk, który znał pewnie, że tak.

Zrobił kawę i zaniósł do pokoju. Iza, już rozbudzona, siedziała na łóżku i patrzyła pytająco na Mikołaja. Wetknął jej kubek w dłoń i przysiadł na skraju łóżka.

- Słuchaj - zniżył głos, chociaż Paul nie mógł zrozumieć po polsku ani słowa - Paul nie chce rozmawiać o tym, co wydarzyło się w nocy.

- Szkoda - powiedziała z przekąsem.

- To chyba lepiej dla nas, nie sądzisz?

- Podobała ci się Gudrun?

- Daj spokój!

- Podobała ci się. To nic złego w końcu.

- Przestań, ona miała z szesnaście lat!

- Odmawiasz jej bycia kobietą? Tak na marginesie, to moim zdaniem miała jeszcze mniej.

- Tak sądzisz?

- Jestem niemal pewna. Wystarczyło przyjrzeć się jej mikroskopijnym i nierozwiniętym piersiom oraz włoskom na wzgórku łonowym.

- Paul zaproponował, żebyśmy zostali jeszcze na jeden dzień.

- Mam nadzieję, że to nie jest zaproszenie na porządną orgię? - zaśmiała się Iza.

- Orgię powiedziałaś? - Mikołaj przypomniał sobie, że słowo to padło wczoraj przy okazji rozmowy o Bractwie Wolnego Ducha. - W sumie czemu

nie? - stwierdził raczej, niż zapytał. - Uchwaliliśmy, że zajmiesz się obiadem. Zgadzasz się?

- Hm, nie wiem. A dostanę jakąś nagrodę?

- Zastanowię się. Ale wiesz, mój sprzęt jest trochę za mały na tę opaskę, którą miał wczoraj Paul - wybuchnął śmiechem.

- Ciekawe, swoją drogą, jak to jest z takim wielkim penisem - zastanowiła się Iza.

- Nic prostszego spróbować, skoro tak cię to interesuje - odciął się Mikołaj.

- Daj spokój! Poważnie pytam. Ja to bym się bała, że mnie rozerwie albo że nie zmieści mi się do ust. Albo że puszcze pawia, jak mi go wepchnie do gardła.

- Ale się rozmarzyłaś.

- Wcale nie! - Iza potraktowała temat rzeczowo. - Zrobię wam ten obiad - obiecała.

Po śniadaniu zabrali się do pracy. To znaczy Paul stukał w klawiaturę, a Mikołaj grzebał w Internecie, wyszukując pozycje literatury, sygnatury, wynotowywał strony z cytatami.

O piętnastej do pokoju, gdzie pracowali, weszła Iza tłukąc w pustą patelnię drewnianą kopyścią. Mikołaja mało nie zatkało, bo Iza miała na sobie fartuszek do gotowania, a pod spodem nic więcej. Trochę zezłościła go ta manifestacja, bo widział kątem oka, że Paul też dostrzegł brak majtek i stánika.

- Co się gagicie? Jemy tutaj, czy w kuchni? - Iza była najzupełniej świadoma, co się dzieje w głowach Paula i Mikołaja.

- Yyy - Paul miał niezbyt przytomną minę. - Może w kuchni.

Przeszli do kuchni, gdzie Iza dokonała cudu kulinarnego.

- Iza - Paul patrzył osłupiały - myślałem, że po prostu podgrzejesz jakąś mrożonkę.

- Miałam sporo czasu, a mrożonka to nie jest właściwe jedzenie dla mężczyzn - przeciągnęła lekko to „mężczyzn”, co zarejestrowali obydwoj.

Po obiedzie postanowiła odespać zarwaną noc, a Hardenne zaszył się z laptopem w łóżku. Parę minut po dwudziestej Iza usłyszała cichutkie pukanie do drzwi.

- Tak? - powiedziała zasnana.
- Idę coś zjeść na miasto. Przyłączycie się?
- O co chodzi?
- Wstawaj, śpiochu, idziemy na miasto - włączył się po polsku Mikołaj.
- Która godzina? - Iza przecierała zaczerwienione oczy.
- Minęła ósma. Proponuję małe co nieco - Hardenne uśmiechnął się pod nosem. - Skończyłem pisać abstrakt - dodał.
- O, świetnie. Mam nadzieję, że Mikołaj przydał się na coś?
- Bez niego byłbym skończył nad ranem - Hardenne strzelił palcami. - To co? Mogę liczyć na wasze towarzystwo?
- Jasne. Zrobimy z siebie ludzi i zaraz będziemy gotowi.

Tego wieczoru wrócili znacznie wcześniej. Paul nawet słowem nie zająknął się na temat Gudrun, wymówił się, że jutro ma ważny dzień i musi być wyspany. Iza i Mikołaj usiłowali pociągnąć go za język w temacie pracy habilitacyjnej, ale był mało rozmowny. Wciąż zerkał na zegarek, jakby na coś czekał, i unikał rozmowy.

Wrócili do mieszkania. Mikołaj, który był od ponad trzydziestu godzin na nogach, usnął, nie rozebrawszy się nawet. Mruknął tylko niemrawo, kiedy poczuł, jak do łóżka wślizguje się Iza i przerzuca nogę przez jego biodro.

Obudził się w środku nocy zupełnie bez powodu. Izy znowu nie było. „Polazła do niego”, pomyślał ze złością, kierując się z zaciśniętymi pięściami do pokoju Paula. Już miał szarpnąć za klamkę, kiedy nagle się zmytygował. „A jeśli jej tam nie ma, to co mu powiem?”

Wtedy zauważył, że drzwi były lekko uchylone. Pchnął je i otworzył. Paula nie było!

* * *

Mikołaj zapalił światło w kuchni i usiadł przy stole. Machinalnie pstryknął włącznik ekspresu i zaczął gorączkowo myśleć nad sytuacją, w której się znalazł.

„Iza poszła gdzieś z Paulem, to pewne”, zrozumiał szybko. „Zapewne wróca niebawem. Myśleli, że się nie obudzę”. Wyjrzał przez okno, ale nikogo nie dostrzegł. „Poszli gdzieś się pieprzyć”, ten wniosek zabołał, ale Mikołaj nie wahał się go sformułować.

- Co za zdzira - powiedział na głos.

„Mogłem się domyślić. Jej niezaspokojone libido, ciągotki do mrocznych meandrów seksu komponują się całkiem nieźle ze skórzanymi porciętami i monstualnym penisem Paula”. Przywrócił na moment wczorajsze wydarzenia z nocy, ale zaraz je odpędził. Poczul, jak narasta w nim samcza agresja.

Ubrał się szybko i wyszedł z mieszkania, zatraskując drzwi. Drogę do muzeum przebył truchtem w kilka minut. Dopiero kiedy stanął przed wielkimi drzwiami, uświadomił sobie, że nie dostanie się do środka. A przecież był niemal pewien, że Iza z Paulem są właśnie tam. Zrezygnowany nacisnął wielką klamkę. Nieoczekiwanie ustąpiła i Mikołaj znalazł się w środku. W dyżurce spał woźny, widział jego zmęczoną życiem twarz opartą o fotel. Oddychał miarowo, usta miał półotwarte. Najwyraźniej nie zauważył, że ktoś wszedł do budynku.

Mikołaj wbiegł na piętro i bez namysłu nacisnął klamkę gabinetu Paula. Były jednak zamknięte. Zaklął i spłynął na podłogę.

Muzeum było ciche, oświetlone tylko słabym światłem lamp ewakuacyjnych. I wtedy nagle Mikołaj usłyszał dochodzący jakby z zewnątrz krzyk kobiety.

„Iza?”, myślał gorączkowo, biegnąc w stronę źródła dźwięku. Po minucie dotarł do końca korytarza, zbiegł po schodach na dół i zatrzymał się, ponieważ dźwięk nagle ustał.

Rozejrzał się po ciasnym korytarzyku i wtedy znowu usłyszał krzyk, a właściwie wysoki pisk, niewątpliwie kobiecy. Dochodził zza dużych drzwi prowadzących na wewnętrzne podwórze. Pchnął je i znalazł się na

częściowo ocienionym podwórzu muzeum. Dźwięk spotęgował się i skonkretyzowało się jego źródło. Przebiegł podwórze po przekątnej, kiedy po wtórnie wszystko ucichło.

W słabym świetle kilku reflektorów podświetlających gmach dojrzał szeroką drewnianą bramę. Uchylił ją i wśliznął się do środka, modląc się w duchu, by nie zaskrzypiała.

Poczuł, jakby nagle stracił wzrok, pomachał dłonią przed oczami, ale nic nie mógł dostrzec. Zaczął przesuwac się po omacku, starając się niczego nie potracić.

Wtedy potworny pisk dopadł jego uszy bez najmniejszego ostrzeżenia. Jego źródło było na lewo. Rzucił się tam i wymacał drzwi. Zaskrzypiały, ale dźwięk został zagłuszony całkowicie przez kolejny krzyk. Gdy je uchylił, jego oczom ukazały się oświetlone miękkim światłem schody.

Zaczął powoli schodzić, schody skręcały lekko, ale wbrew oczekiwaniom nie czuł charakterystycznej stęchłej woni piwnicy. Wręcz przeciwnie, do jego nosa docierał zapach świeżego drewna, oleju do lamp i ziół.

I wtedy zobaczył.

W obszernym pomieszczeniu stały dość bezładnie rozmaite sprzęty nieznanego mu przeznaczenia. Łoże nabite drewnianymi kołkami, koło od wozu umieszczone poziomo na palu, drewniane zębatki, przedziwne stelaże, metalowe maski, obcegi. Większa część pomieszczenia tkwiła w mroku. Nagle Mikołaj usłyszał pisk i skierował głowę w stronę dźwięku. Tam było najjaśniejsze, oprócz lampy paliła się też duża pochodnia, jednak widok zasłaniał gruby filar.

Mikołaj przemknął jak duch między sprzętami.

Na dużym drewnianym łożu leżała Iza. Jej nogi uwięzione były w metalowych opaskach przytwierdzonych do łoża. Była całkowicie naga, jej szczupłe ręce, uniesione nad głową przyciskał do łoża drewniany wałek z kolcami. Nad nią stała Gudrun, w szarej, półprzezroczystej sukni i metalowej masce. Na szyi miała metalową obrozę z ostrymi, połyskującymi kolcami, które wrzynały się w delikatną skórę, w rękę trzymała starodawną lampę oliwną

z dziubkiem. Mikołaj przypomniał sobie jej pulsującą, błękitną żyłkę i aż się skulił. Do obroży przytwierdzony był łańcuch, którego koniec trzymał mężczyzna, ubrany w skórzaną maskę zasłaniającą twarz i obcisłe, skórzane portki. Mężczyzna stał przy wezglowiu Izy. Jego penis tkwił w jej ustach, zanurzony do samej nasady.

Mężczyzna zaczął wysuwać członka. Mikołaj patrzył jak zahipnotyzowany, gdyż penis był bardzo gruby i zdawał się nie mieć końca. Dotarło do niego, że to Paul!

Iza wycharczała coś i zwymiotowała mieszaniną śliny i żółci. Wtedy Paul pociągnął łańcuch. Gudrun krzyknęła głośno, a na jej szyi pojawiła się strużka krwi, która spłynęła powoli na piersi, już nie dziecka, jeszcze nie kobiety. Za sekundę drugi kolec zadrasnął skórę. Gudrun przechyliła lampę, z której wyciekła zapalona strużka rozgrzanej oliwy. Spadając, zgasła, ale kiedy dotarła do brzucha Izy, ta zaczęła przeraźliwie piszczeć.

Mikołaj rzucił się do przodu ratować Izę. Paul ponownie zanurzył penisa w jej gardle i wtedy go zobaczyła.

- Nie psuj tego, Nicholas - odezwała się nieoczekiwanie Gudrun. - Iza jest tu z własnej woli i w każdej chwili ma prawo wszystko przerwać.

Mikołaj popatrzył na Izę, która usiłowała umieścić sobie wygodniej grubego penisa Paula w policzku. Popatrzyła na niego nieprzytomnie i skinęła przepaszająco głową, że wszystko jest w porządku.

- Chryste - wyjąkał tylko. Wybiegł z wozowni przerażony. Dobiegł do domu, wyciągnął z barku Paula butelkę whisky. Wypił duszkiem niemal całą, co spowodowało chwilową zapaść. Upadł na podłogę.

Obudziło go szarpanie za kołnierz. Paul patrzył zatroskany i coś do niego mówił.

- Nicholas, Nicholas, obudź się!

Zrozumiał, że praktycznie umarł. A przynajmniej tak czuła się jego głowa i żołądek. Rozejrzał się powoli. Leżał w kałuży własnych rzygowin w kuchni Paula.

- Co się stało? - wyszeptał.
- Chyba pomieszczę wczoraj alkohole - powiedział Paul z troską. Znalazłem cię przed chwilą. Obudzę Izę, bo muszę już wychodzić na posiedzenie senatu.

- Paul?

- Tak?

- Wczoraj... Co wczoraj stało się w muzeum?

- W muzeum? Nie wiem. Wczoraj była niedziela, nie byłem w muzeum, i o ile mi wiadomo, wy też nie - zaśmiał się. - Pewnie coś ci się śniło. Idę po Izę.

Pomógł mu jeszcze podnieść się i stał z grubsza rzygowiny. Pionizacja nie podziałała na Mikołaja zbyt dobrze. Rzucił się do toalety, by rzygnąć kolejną porcją żółtej cieczy. Kiedy wracał, wstrząsany echem torsji, Iza patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Mikołaj, co się stało?

- Ty mi powiedz - warknął.

- Ale co?

- Też mi chcesz sprzedać bajeczkę, że coś mi się śniło?

- Może wytłumaczysz mi, o co ci chodzi?

- Pokaż brzuch! - Mikołaj podciągnął podkoszulkę Izy. Spodziewał się bodaj zaczerwienienia po gorącej oliwie, jeśli nie oparzeń. Skóra Izy była jednak bladoróżowa.

- Przepraszam, coś mi się śniło.

- Ale aż tak? - Iza patrzyła zdziwiona, nic nie rozumiejąc.

- Śniło mi się, że razem z Gudrun i Paulem urządźliście sobie orgię.

Iza zaczęła się śmiać.

- To pewnie dlatego, że zastanawiałam się, jak to jest z dużym penisem, biedaku. Muszę cię na przyszłość lepiej pilnować, bo schlałeś się do nieprzytomności. Co ci odbiło?

- Sam nie wiem, przepraszam.

Paul wrócił parę minut po pierwszej. Z jego miny widać było, że coś jest nie tak.

- Odrzucili abstrakt - rzucił na nieme pytanie. - Jak się czujesz, Mikołaj?

- Cholera, tak nam przykro. Wiesz chociaż dlaczego?

- Nie uwierzyli mi. Nie uwierzyli!

- Jak to? Przecież miałeś solidne przesłanki. Tak po prostu, na podstawie samego abstraktu?

- Sam nie rozumiem, dlaczego nawet nie dali mi zaprezentować całej pracy. Nie wypowiedział się żaden recenzent, rektor powiedział oficjalnie, że na uniwersytecie katolickim nie ma miejsca na zajmowanie się magią i zasugerował zejście na ziemię.

- Przecież zajmowałeś się zagadnieniem historycznym. Bractwo istniało, a jak zrozumiałam, twoja praca miała właśnie odrzec malarstwo Boscha z magii - Iza nie rozumiała.

- Kochani - Paul załamał się - muszę wam coś powiedzieć. - Oszukałem was.

- Jak to?

- Trudno mi to mówić, szczególnie wam. Bo to... dzięki Mikołajowi zrozumiałem przesłanie Boscha, a przynajmniej tak mi się wydaje.

- W czym problem? - zapytał nad wyraz trzeźwo Mikołaj.

- Moja praca wcale nie dotyczyła Bractwa Wolnego Ducha.

- Ale była o Boschu?

- Tak. Postawiłem tezę, że Bosch miał do czynienia w ten czy inny sposób z maszyną do podróżowania w czasie. Oni to wyśmiali, a dziekan zasugerował zmianę pracy - Hardenne spuścił głowę.

- Wiesz, gdybym był członkiem senatu uczelni, i przyszedł do mnie ktoś, kto twierdziłby, że ma dowody na istnienie wehikułu czasu, to też bym się uśmiechnął - Mikołaj patrzył trzeźwo, choć widać było, że słowa z trudem wydostają się z wyschniętego na pieprz gardła.

- Paul, usiądź - Iza wzięła od niego marynarkę. - I opowiedz nam wszystko od początku.

* * *

- Nie możesz prowadzić w takim stanie - Paul, mimo kiepskiego humoru jasno ocenił sytuację. - Zostańcie jeszcze do jutra. Proszę - dodał, widząc niezdecydowaną minę Mikołaja.

- Zostaniemy. Mikołaj pewnie ma jeszcze kilka promili we krwi - powiedziała Iza. - Może nam opowiesz, co się wydarzyło na posiedzeniu senatu?

- Dziś rano przyniosłem abstrakt, nad którym pracowałem od kilku dni. Nic nie zapowiadało kłopotów. Zasadą na naszym uniwersytecie jest, by habilitant prezentował abstrakt przed komisją. Właściwie przyjęcie pracy jest formalnością, nie przypominam sobie, aby komuś odrzucili habilitację na tym etapie.

- Skoro tak, to musieli podać uzasadnienie, prawda?

- Niczego nie podali. Rektor Van Zoon przerwał mi pod koniec odczytu i nie dał nawet dojść do słowa kolegom. Po prostu wyśmiał. Na odchodne dziekan, jego przydupas, rzucił propozycję, bym zaczął rozglądać się za jakimś zajęciem.

- Masz przecież muzeum.

- Daj spokój - zachnął się Paul. - Tam nie ma co robić. Mój umysł nie znosi próżni, muszę go wciąż czymś zajmować. Bosch był moją pasją przez ostatnie dwadzieścia lat - ukrył twarz w dłoniach. - Teraz, kiedy dzięki tobie, Nicholas - podniósł wzrok - chciałem zwieńczyć moje dzieło, trafiłem na rafę w miejscu, gdzie nie spodziewałem się jej zupełnie.

- Czy to znaczy, że masz słaby materiał naukowy? - spytała podejrzliwie Iza.

- Nie jest rewelacyjny. A raczej nie jest rewelacyjny na tyle, by udowodnić tak - chwilę szukał właściwego słowa - tak niewiarygodną tezę.

- Czy sądzisz, że odmowa miała charakter merytoryczny? - Mikołaj zaczął intensywnie myśleć.

- Nikt nie zadał mi żadnego pytania, nikt nie podjął dyskusji - Hardenne był zbyt zdruzgotany, by myśleć logicznie. Widać było, że miotają nim emocje.

- Skoro to rektor zdecydował o odrzuceniu, to co mogło nim kierować? Może zazdrość?

- Wykluczone. Rektor zajmuje się zupełnie inną dziedziną. W wyborach do senatu jest niezagrożony, bo ma silne poparcie tutejszej parafii. Nie zapominajcie, że to katolicki uniwersytet, finansowany całkowicie przez Kościół.

- Więc może to oznaczać, że Van Zoon bronił interesów Kościoła - Mikołaj podniósł triumfalnie głowę.

Patrzyli na siebie. Tak, ten wniosek był całkiem logiczny.

- Ale, do cholery, jakim problemem dla Kościoła mogłaby być moja praca? - Hardenne zmitygował się nagle.

- Nie wiemy tego, dopóki nie przedstawisz nam abstraktu - odparła Iza.

- Nie będziemy wymagać togi ani biretu, doktorze Hardenne - zaśmiała się.

- Może po prostu opowiem wam w skrócie istotę mojego wyводу, ponieważ trzy czwarte abstraktu to obowiązkowe nawiązania do literatury, malarstwa i historii sztuki - zaproponował Hardenne.

- Zamieniamy się w słuch.

- Moja fascynacja Boschem zaczęła się od tego, że zastanowiły mnie fantastyczne - tu zamyślił się na moment, szukając w myślach właściwego określenia - stwory. Zacząłem je spisywać i zrozumieć ich znaczenie - wyjął z teczki poźółkły zeszyt. - W tym notatniku, który poleciłem Marii wyjąć z udostępnionych wam materiałów, mam spisane praktycznie wszystkie stwory wraz z prawdopodobną interpretacją.

- Można? - Mikołaj wyciągnął dłoń.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że się nie gniewacie. Nie chciałem, by ktoś mnie ubiegł, to dzieło mojego życia - tłumaczył się.

- Daj spokój, Paul. Nie mamy z tym żadnego problemu. My też nie powiedzieliśmy ci prawdy - przyznał się Mikołaj. - Boschem zajęliśmy się ledwie trzy tygodnie temu, jesteśmy amatorami.

- Nie wierzę wam - Hardenne był naprawdę zaskoczony. - Zresztą nieważne. - Wracając do Boscha... Kiedy po pytaniu, które Mikołaj zadał mi w mejlu, chwyciłem za notatnik, doznałem olśnienia. Wszystko nagle ułożyło się w logiczny ciąg!

- Chodzi ci o pytanie dotyczące czasu?
- Właśnie. Jakkolwiek fantastycznie brzmi taka teza, to jest najprostszym i najbardziej oczywistym wytłumaczeniem anomalii na obrazach Boscha.
- Sądzisz, że podróżował w czasie?
- Raczej nie. Żeby namalować coś, nie trzeba być uczestnikiem wydarzeń, wystarczy je obserwować.
- A nie przyszło ci do głowy, że Bosch miał po prostu bujną wyobraźnię?
- Przyszło. Ale - z punktu widzenia historyka sztuki - jest to bardzo ryzykowne stwierdzenie. Ludzie tamtej epoki byli bardzo pragmatyczni. Trzeba spróbować wczuć się w ducha czasów. Oni dążyli do odwzorowania rzeczywistości i co najwyżej ją upiększali.
- A co wspólnego z tym wszystkim miało Bractwo Wolnego Ducha? - spytała nagle Iza.
- Nic. To kolejny ślepy trop, który wam podrzuciłem. Zanim Mikołaj wywołał rewolucję w moich badaniach, to była najbardziej prawdopodobna hipoteza. Nie była zbyt pociągająca, ponieważ przedstawił ją i dość dobrze udokumentował Fraenger. Chociaż i tu znalazłoby się coś ciekawego - dodał tajemniczo.
- Nie daj się prosić - Izę zaciekawił ten wątek.
- Istnieją silne przesłanki, by przypuszczać, że Bractwo działa do dzisiaj.
- Żartujesz?!
- Nie, historycznie jeszcze w 1975 roku jakieś stowarzyszenie używało tej nazwy, chociaż nie miało z Bractwem nic wspólnego. Natomiast istnieje sporo śladów w bardziej odległej historii wskazujących, że Bractwo zakonspirowało się i trwało jeszcze przynajmniej przez dwa wieki.
- Ciekawe. A jak się ma do tego Filip II?
- Co macie na myśli? - zdziwił się Hardenne.
- Wyszliśmy z Mikołajem hipotezę - Iza przejęła inicjatywę - że Filip II, skupując obrazy Boscha, potajemnie finansował Bractwo.

- Chcecie powiedzieć, że Filip był członkiem lub fundatorem tej organizacji?

- Tak. Obrazy Boscha mogły być po prostu reklamą nowego ruchu. Z tego, co czytaliśmy, to początki renesansu pełne były tego typu stowarzyszeń, a poza tym do grona ludzi niezadowolonych z dominacji Watykanu i Inkwizycji dołączali coraz częściej możni oraz władcy.

Paul zamyślił się na chwilę, jakby coś ważył.

- Oryginalna hipoteza - rzekł po chwili. - Bardzo oryginalna, ale nie widzę w niej oczywistych sprzeczności. Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł, ale może najpierw przedstawię wam przynajmniej zarys mojej nie mniej oryginalnej, jak sądzę.

Włączył ekspres i milczał, przygotowując kawę, jakby planował w najdrobniejszych szczegółach swoją wypowiedź. Usiadł w fotelu i kontynuował:

- Moja hipoteza ma jakby trzy nogi, na których się wspiera. Jedna - to wizje Boscha, przedmioty i wydarzenia, które nie pasują do epoki, w której żył. Druga - to znane dziś zjawiska fizyczne, które nie tylko nie wykluczają istnienia wehikułu czasu, ale wręcz podpowiadają jego konstrukcję. Nie, nie jestem fizykiem - zaśmiał się, widząc zdumione twarze - ale zapewniam was, że pewien profesor z politechniki w Hajfie zajmuje się tym zagadnieniem jak najbardziej poważnie.

- A trzecia noga?

- Trzecia noga to tak zwany Kodeks Nuttall.

- A co to takiego? - oboje patrzyli na Paula szeroko otwartymi oczami.

- Istnieje interpretacja *Ogrodu rozkoszy*, która wskazuje wprost, że w skomplikowanej symbolice tego obrazu zakodowane są daty pochodzące z tego południowoamerykańskiego kodeksu. Problem polega na tym, że...

- ... że Amerykę odkryto w 1492! - dokończył Mikołaj.

Paul skinął głową. Nie bez zrozumiałości napawał się uznaniem młodych ludzi. „Gdyby senat miał choć połowę ich entuzjazmu, to już byłoby po wszystkim”, pomyślał.

- Wspomniałeś o podstawach fizycznych.

- W zeszłym tygodniu polecałem do Hajfy, by spotkać się z profesorem - poszukał chwilę w pamięci - Ori, który zupełnie na poważnie konstruuje model maszyny do przenoszenia się w czasie.

- Prawdziwy profesor z normalnej uczelni?

- Tak. Poszukajcie sobie w Internecie zresztą, jego badania nie są żadną tajemnicą.

- A przedmioty z innych epok? Co odnalazłeś oprócz butów? - Mikołaj wrócił do nurtującego go pytania.

- Całe mnóstwo. Jak przejrzyście moje notatki, to znajdziecie tego całe mnóstwo - buty, łyżwy, bobsleje, szklane rury, hełm wojskowy, lilijka... Są też bardziej złożone artefakty, jak choćby autoportrety Boscha w podeszłym wieku na obrazach datowanych na czasy jego młodości.

- A nie mówiłam - Iza przerwała gwałtownie.

W głowach całej trójki kotłowały się myśli, niemal było słyhać intensywną pracę trzech mózgów.

- Powiem wam jeszcze coś - Hardenne nieoczekiwanie przerwał ciszę. - Moja pasja wzięła się z wnioskowania *a contrario*. Usiłowałem wyobrazić sobie, jak wielkim umysłem musiałby dysponować Bosch, by w czterdziestu obrazach odwołać się do setek, jeśli nie tysięcy utworów stworzonych przez ludzkość.

- Mniej więcej do tego samego doszliśmy, czytając Fraengera.

- Właśnie. Jeśli odrzucimy tezy Fraengera - co nie jest wcale trudne, ba! dziś już mało kto traktuje jego wyjaśnienia poważnie. No więc, jeśli je odrzucimy oraz damy spokój pokrętnym spekulacjom innych interpretatorów, to zostajemy tak naprawdę z niczym. Co prawda, wasza, hm, nie wahajmy się użyć tego terminu, teoria, rzuca nowe światło na wątek Bractwa poruszony przez Fraengera - Hardenne zakończył wywód, patrząc pytająco na Izę i Mikołaja.

- Nie traktujemy naszych hipotez zbyt poważnie - Mikołaj był szczerzy do bólu. - Ale wspominałeś o jakimś pomysle.

- A, właśnie. Chcę zaproponować wam spółkę. Po tym, jak odrzucono mój abstrakt, mam pracę habilitacyjną z głowy na kilka lat. Cały mój dotychczasowy dorobek nie nadaje się zbytnio do innej pracy. Będzie dobrze, jeśli nie stracę stanowiska - popatrzył żałośnie.

- U nas panuje zasada „publikuj lub giń”, a ze mnie pożytek będzie żaden przez najbliższe dwa lata.

- Co mielibyśmy robić?

- Widzę, że interesuje was wątek Boscha. Dla mnie to z kolei pasja. Udowodniliście, że umiecie szukać i wnioskować w sposób dla mnie nieosiągalny.

- Nie przesadzaj - powiedziała skromnie Iza.

- Nie przesadzam wcale. Chciałbym wspólnie z wami prowadzić systematyczne badania nad tezą postawioną w istocie przez Mikołaja.

- Brzmi niezłe. Tylko widzisz... - Mikołaj posmutniał. Muszę wracać do pracy, już i tak przedłużyłem sobie urlop. Iza, co prawda...

- Iza musi towarzyszyć swojemu mężczyźnie - weszła mu w słowo.

- Ale sądzę, że moglibyśmy działać przez Internet.

- Właśnie to chciałem zaproponować - odparł Paul.

- Pod jednym warunkiem - głos Mikołaja zabrzmiał stanowczo.

- Od tej pory żadnych tajemnic.

- Stoi - Paul wstał i uroczyście wyciągnął dłoń.

- Zaraz - Mikołaj przypomniał sobie coś. - A co z de Molayem?

- Zamordujecie mnie - zaśmiał się Hardenne - ale to czysty zbieg okoliczności. Podsunał mi to kiedyś jakiś student. Pamiętam, jak sam się podnieciłem tym tropem. Niestety, to był humbug - rozłożył ręce i popatrzył żałośnie.

- Ty draniu - Iza pozwoliła sobie na małą poufalość. - A Bafomet na katedrze to co? - spoważniała nagle.

- Jaki Bafomet? Na jakiej katedrze? - zdumiał się Paul.

- Myśleliśmy, że wiesz. Na katedrze w 'sHertogenbosch, na niewidocznej z dołu skarpie jest obcięta głowa. Usiłując znaleźć trop prowadzący do

templariuszy, założyliśmy, że to wyobrażenie bożka zakonu.

- Więc jednak wasza wizyta w 'sHertogenbosch coś dała. Macie więcej takich rewelacji?

- Myślisz, że to ma znaczenie? - spytała Iza.

- Nie wiem - odparł Paul - ale znowu rzucacie nowe światło na odrzuconą przeze mnie hipotezę. Może przyjrzymy się temu na spokojnie, dobrze?

- Pewnie - zgodzili się oboje. - Tymczasem będziemy się zbierać, w biurze zgodzili się na przedłużenie urlopu tylko na dzisiaj.

- Będziecie jechać w nocy? - zdumiał się Hardenne.

- Nie mam wyjścia - Mikołaj rozłożył ręce - Iza nie pracuje, a ja nie chciałbym nadużywać cierpliwości szefa.

- W takim razie nie ma co przedłużać. Pakujcie się, a ja zaproszę was na kolację.

- Paul, nie trzeba.

- Bzdura - zachnął się - uczymy naszą spółkę, a wy musicie posilić się przed podróżą. Mam coś dla was - wyciągnął zwykłą, szarą teczkę na akta. - Poprosiłem Marię, żeby skopiowała dla was moje notatki z czasów studiów. Macie tam też projekt mojej dysertacji. Nie mam nic do ukrycia - pokręcił głową. - A wy może coś z tego wyciągniecie.

Zapakowali bagaże do Citroëna i pojechali razem do restauracji. Po sytej kolacji wypili podwójne espresso i podzucili Paula do domu. Hardenne wysiadł i zaczął się żegnać, wtedy z mroku wypłynęła drobna postać.

- Hej, Gudrun - Paul rozpoznał ją pierwszy. - Moi przyjaciele właśnie wyjeżdżają.

- Cześć - Gudrun uśmiechnęła się leciutko. - Do zobaczenia.

Kiedy nachyliła się przez otwartą szybę, by dać zwyczajowego buziaka, Mikołaj zmartwiał. Na odsłoniętej szyi, po obu stronach błękitnej pulsującej żyłki widniały dwa okrągłe strupki. Skamieniały oddał mechanicznie buziaka i w tym samym ruchu złapał niczego niespodziewającą się Izę za nogawkę i podniósł do góry.

Dookoła łydki biegły dwa równoległe krwawe ślady. Bez słowa wrzucił jedynkę i ruszył z piskiem, zostawiając oniemiałych Gudrun i Paula bez słowa wyjaśnienia.

* * *

Wielce Szanowny Mistrzu Jeroen!

Piszę do Ciebie w przerwie między porannym nabożeństwem a wizytą u biskupa, któremu zapewne zalecono kontrolować moje postępy w katolickiej wierze, dlatego często zaprasza mnie do siebie. Kazalem już służbie przygotować powóz, stajenny właśnie zaprzęga konie, kamerdyner oporządza moje najwystawniejsze szaty, a mi aż pióro w prawej dłoni trzęsie się z pospiechu, bo nie chcę, by dostojnik kościelny czekał na spóźnionego neofitę. Dlatego, drogi Jeroenie, nie obraż się za moje nie dość czytelne pismo.

A teraz do rzeczy. Pytales mnie, jak ma wyglądać nasz Raj, więc Ci odpowiadam. Przede wszystkim, o czym już wiesz, musi znajdować się w lewym skrzydle obrazu. To bardzo ważny szczegół, Mistrzu, w tej materii nie pozwalaj sobie na żadne odstępstwa ani własne fanaberie. W centrum Raju niech leży staw, z którego ma wylaniać się fontanna. Potrafisz, drogi Jeroenie, tworzyć różne niezwykle przedmioty, jakich na tej ziemi ludzkie oko nie oglądało. Zatem i przy fontannie użyj całej swojej fantazji. Im bardziej niesamowicie będzie ona wyglądać - tym lepiej. Na północ od stawu niech wznoszą się skaliste szczyty, owiane gęstą mgłą. Oczywiście nie może zabraknąć wszelkich zwierząt, jakie tylko przyjdą ci do głowy: słonie, żyrafy, małpy, różnego gatunku ptactwo i stwory wodne, rzeczywiście lub powstałe w Twojej wyobraźni.

A teraz sprawa najważniejsza - scena rodzajowa. W otoczeniu bujnej roślinności niech stoi Chrystus, mając po prawicy jedną obnażoną niewiastę, a po lewicy drugą, przy czym ta z prawej musi mieć długie włosy rozpuszczone, tę z lewej strony zaś ufryzuj tak, jak cheszą się dzisiejsze damy podług najnowszej mody. Niewiasta po prawicy ma klęczeć, a niewiasta po lewicy - siedzieć. Powtarzam jeszcze raz: obie mają być całkowicie nagie. Co do Chrystusa, to jego trzeba będzie ubrać. Nawet w Królestwie

Tysiącletnim Boskiej Istocie nie wypada nago się pokazywać. Wystarczy, że wszyscy wokół świecą golizną. A więc przystój Zbawiciela w powłóczyście dostojne szaty, by towarzyszące mu niewiasty nie oglądały go takim, jakimi on je ogląda. Nie oznacza to bynajmniej, iż Chrystusa gorszy widok nieodzianych dam. Przeciwnie. Jeroenie, postaraj się tak Go przedstawić, by patrzący na niego wiedzieli, że bliska obecność obu towarzyszek bardzo go cieszy. Tę po prawej stronie z rozpuszczonymi włosami umownie nazwiemy Ewą. Niech widzowie sądzą, że mężczyzna w powłóczyściej sukni chciałby zastąpić jej Adama. Powstrzymaj się jednak od rozpustnych scen, takich jak choćby owa scena z wszeteczną świnią w welonie i jej cudzołóżnym kochankiem - sodomitą. W raju wszystko ma wyglądać niewinnie. Pamiętaj, Mistrzu Jeroen, grzech pierworodny nigdy się nie zdarzył, toteż dzieci Adama zachowały całą nieskażoną niewinność. Domyślam się, że postać Chrystusa sprawi Ci najwięcej kłopotu. Wielokrotnie wspominałeś, iż bogów malować nie lubisz i nie umiesz. Zatem niech Chrystus nie wyróżnia się nadmiernie spośród innych mieszkańców Królestwa Tysiącletniego. Niech przeważają w nim rysy ludzkie nad Boskimi. Niech - tak jak pozostali - ma na twarzy wyraz spokojnego, radosnego szczęścia. Takiego, jakie zagościłoby, drogi Jeroenie, również na naszych obliczach, gdybyśmy trafili do rajskiego ogrodu, w licznej kompanii nadobnych cór Ewy, wyzbytych z fałszywego wstydu i ochoczo prezentujących cielesne atuty, jakimi Stwórca hojnie je obdarzył.

Kończę już, bo właśnie moja Szanowna Małżonka przyszła mi oznajmić, że do drogi wszystko gotowe. Biskup czekać nie może, więc Królestwo Tysiącletnie poczekać musi.

Mistrzu Jeroen, nie zapomnij spalić mojego listu, jeśli nie chcesz, aby to Ciebie spalono na stosie. I przy okazji mnie również.

*Twój oddany przyjaciel i mecenas
Jacob Almaengien, Philips van Sint Jaan*

* * *

Mikołaj prowadził samochód jak szalenię. Nie zważał na błyskające co rusz fotoradary umieszczone nad głową, w głowie kotłowały mu się myśli,

jedna po drugiej. Przypominał sobie sen, który już zdążył zakwalifikować do pijackich koszmarów. A jednak... Iza wcisnęła się w kąt siedzenia, w lampach latarni można było dostrzec, że niewidzącym wzrokiem patrzy przez okno, na którym rozbijały się krople deszczu.

Przejechali tak kilkaset kilometrów i dojeżdżali właśnie do granicy. Nagle we wstecznym lusterku oboje dostrzegli niebieskie światła koguta. Mikołaj zdjął nogę z gazu i przytulił się do prawego pasa autostrady. Samochód zrównał się z nimi, pasażer w czapce policjanta popatrzył przez chwilę na Mikołaja. Radiowóz przyspieszył, a na jego tylnej szybie zapalił się napis „volg me”. Mikołaj zrozumiał, że ma jechać za radiowozem.

- Nie trzeba było tak pędzić - Iza nieoczekiwanie odezwała się w ciemnościach. - Myślisz, że stać cię na mandat?

- Zamknij się.

Kolejne dwadzieścia kilometrów pokonali w ciszy. Dojechali do oświetlonego przejścia granicznego, na którym nie było widać żadnych ludzi, jedynie w odległej budce świeciło się słabe światło. Jechali bardzo powoli. Wtedy z radiowozu wysunęła się dłoń ze świecą latarką i wezwała ich do zatrzymania się. Radiowóz, zrobił koło i stanął za nimi. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i Mikołaj zastanawiał się, czy nie wysiąść - jednak rozsądek wziął górę.

Z radiowozu wysiadło dwóch policjantów. Jeden został przy samochodzie, drugi powoli podszedł do Mikołaja. Zasalutował i gestem polecił otworzyć szybę.

- Ja? - zapytał Mikołaj po niemiecku, już porządnie wystraszony.

- Herr Nicholas?

- Ja.

- Gehen Sie mit mir, bitte. Sie müssen hier warten - pokręcił głową na nieme pytanie Izy.

Mikołaj wysiadł z samochodu i przeszedł do tyłu eskortowany przez policjanta.

- Dokumenten, bitte - polecił policjant w radiowozie.

- Was habe ich gemacht? - Mikołaj spytał cicho - wir hatten einen Streit mit mein Mädchen so das Geschwindigkeit... - usiłował tłumaczyć zbyt dużą prędkość kłótnią z Izą.

- Geschwindigkeit? - zdziwił się policjant.

Nagle na parkingu pojawiło się kilka innych radiowozów oraz duży cywilny mercedes, z którego wysiadł niepozorny, lekko grubawy mężczyzna o powierzchowności urzędnika.

- Dobry wieczór - odezwał się płynnie po angielsku. - Muszą państwo przerwać podróż - powiedział smutno.

- Ale co się stało? - Mikołaj po minie urzędnika poznał, że nie chodzi o przekroczenie prędkości.

- Są państwo zatrzymani pod zarzutem zabójstwa - urzędnik wypowiedział formułkę mechanicznie, ale bacznie obserwował Mikołaja, który pobladł. - Jestem zmuszony przekazać państwa do aresztu w 'sHertogenbosch. Samochód zostanie odholowany na policyjny parking. Jeśli chciałby pan zabrać coś osobistego, to proszę zgłosić to do Hansa - skinął głową w stronę stojącego opodal funkcjonariusza. - Niestety, od tej pory nie mogą się państwo ze sobą kontaktować.

- Jak to... Pan żartuje?

- Bynajmniej. Ma pan prawo zawiadomić konsulat. Jak tylko dojedziemy do komisariatu, otrzyma pan wszelkie dane oraz aparat telefoniczny. Jednak proponowałbym się wstrzymać, aż pan konsul się obudzi. Przykro mi - powiedział, kiedy stojący obok policjant zacisnął na przegubach rąk Mikołaja plastikowe opaski w charakterze kajdanek.

- Ale kogo miałbym zabić? - Mikołaj przebił się wreszcie przez potok słów urzędnika.

Policjant podniósł zdziwiony brwi.

- Godzinę temu Gudrun Ettinger, pasierbica Paula Hardenne, znalazła zwłoki swojego ojczyma.

- Pasierbica?! - Mikołaj poczuł, jakby dostał obuchem w łeb. - Pasierbica? Pasierbica? - powtarzał.

Kątem oka dostrzegł, jak Izę odprowadzają do drugiego radiowozu.

Podróż powrotna do 'sHertogenbosch minęła niepostrzeżenie. Mikołaj popadł w otepienie. Nie rozumiał nic z ostatnich wydarzeń. Radiowóz zatrzymał się pod komisariatem. Wprowadzono go do pomieszczenia, w którym znajdowało się kilku mężczyzn. Ktoś rozciął nożyczkami plastikowe trytytki, które miał na przegubach dłoni. „Aha, okazanie”, pomyślał. „Pewnie po drugiej stronie stoi Gudrun”.

Po chwili policjanci wyprowadzili Mikołaja do aresztu, który mieścił się w budynku komisariatu. Przeszukanie, odciski palców, jakiś dokument do podpisania, portfel i zegarek do depozytu. Wszystko odbywało się jak w koszmarnym śnie.

Położył się na pryczy i szybko zasnął.

* * *

Gdy ludzie zaczynają czuć się zbyt pewnie, popełniają fatalne błędy. Marianna, rozochocona zabawą w słoneczko, zaprosiła księdza Gabriela do zakonu nad Wisłą na warsztaty modlitewne. Szybko okazało się jednak, że wiele kobiet w jej zakonie nie akceptuje mężczyzn w swoim otoczeniu. Papistki od razu stwierdziły, że papież jest przystojniejszy od księdza Gabriela, a nawet ten stary, nieapetyczny arcybiskup jest lepszy, bo na pewno skoro jest dostojnikiem takiej rangi, to po ejakulacji (w którą wierzyły gorąco) zapewne dalej stoi w gotowości do kolejnych Boskich poświęceń. A u Gabriela? Rozkoszy żar i gorliwość gaśnie, a podniecenie i gotowość szybko wiotczeje. Wobec tak rzeczowych argumentów Marianna postanowiła nie eksperymentować więcej z młodym księdzem, gdyż zrozumiała dosadnie, że celem orgii modlitewnej nie było chwalenie Pana, medytacja o zbawieniu i wiecznym szczęściu, a zwykły, obrzydliwy spust białego nektaru, który nie przywodził na myśl Boskiej woni zbawienia tak, jak ten wyimaginowany od Jezusa.

Sfrustrowana liderka udała się więc w głęboki las, by w ustronnym miejscu oddać się pokornej modlitwie o przebaczenie w intencji swojej, innych

siostr oraz - jak miłosierdzie nakazuje - księdza Gabriela. Gdy tak oddawała się refleksjom modlitewnym na jednej z polan, znowu nawiedził ją Duch Święty. Tym razem pod postacią niezbyt atrakcyjnego leśniczego w zielonym mundurze, który seksualnie wygłodniały, jak na wdowca z dziesięcioletnim stażem przystało, rzucił się na Mariannę, nie zwracając w ogóle uwagi na urodę jej młodych intymnych miejsc. Podniecił zakonnice do granic wytrzymałości, otwierając przed nią nowy rozdział, bowiem jak nikt do tej pory przesunął się do jej najbardziej wrażliwych miejsc, poczynając od smakowania ust i nabrzmiałych z rozkoszy piersi, a kończąc w najintymniejszym miejscu jej ciała. Doprowadził Mariannę do spazmów, potem szał i serii sześciu orgazmów. W amoku erotycznym opuścił ją należyty szacunek do obcowania z Duchem Świętym. Energicznie usiadła leśniczemu na wąsach pysk i ujeżdżała jak konia na biegunach, podczas gdy ten sapał, siorpał z podniecenia, acz również co rusz z braku powietrza. Po powrocie do kaplicy nasza zdolna bohaterka bez końca opowiadała siostronom o szóstych wrotach wtajemniczenia i o genialności Stwórcy: o zaletach zjawienia się Ducha Świętego w ciele spragnionego miłości Bożej nieokrzesanego leśniczego.

* * *

- Dzień dobry! - Mikołaj usłyszał wyraźnie po polsku i przez moment wydawało mu się, że nocny koszmar był tylko snem. - Nazywam się Dagmara Jasińska i jestem konsulem do spraw prawnych w konsulacie w Brukseli.

- Dzień dobry. Skąd...

- Z samego rana zadzwonił do nas policjant z miejscowej komendy. W takich sytuacjach pomoc konsulatu następuje z mocy prawa.

Mikołaj rozejrzał się po małej celi. W drzwiach zauważył policjanta, na stoliku stał plastikowy talerzyk z dwiema kromkami chleba i kawałkiem wędliny, a z papierowego kubka parowała kawa.

- Rozumiem. Może pani jest w stanie wytłumaczyć mi, co się stało?

Konsul odwróciła się do policjanta i zagulgotała coś po holendersku. Policjant odgulgotał, zasalutował i odszedł.

- Zostaliście państwo zatrzymani pod zarzutem zabójstwa Paula Hardenne, dyrektora tutejszego muzeum.

- Tyle wiem - wymamrotał Mikołaj. - A jakieś szczegóły?

- Z informacji, których mi udzielono, wynika, że nie mają żadnych dowodów.

- Trudno, żeby mieli - powiedział rozgoryczony. - Przecież my tego nie zrobiliśmy.

- Nie mnie to oceniać - konsul była rzeczowa. - Musi pan jednak wiedzieć, że stykam się wyłącznie z niewiniątkami - zaśmiała się ponuro. - Natomiast moim obowiązkiem jest zapewnić państwu pomoc prawną.

- To do widzenia - Mikołaj usiadł przy stole i zabrał się za śniadanie.

- Niech pan się nie unosi, jesteśmy życzliwi wszystkim. Co nieco udało się już zdziałać w państwa sprawie - uśmiechnęła się.

- Tak?

- Mają czas na przedstawienie zarzutów do jutra, do drugiej rano. Jeśli tego nie zrobią, muszą was wypuścić.

- A jeśli przedstawią?

- Cóż, szanse są niewielkie, by to się stało, o ile rzeczywiście jesteście niewinni. W Belgii nie można aresztować nikogo na podstawie poszlak.

- A jakie to poszlaki?

- Mogę wypowiadać się tylko odnośnie tego, co przekazano mi oficjalnie w zawiadomieniu - zastrzegła się. - Według policji jesteście ostatnimi osobami, które widziały Paula żywego. Mieszkaliście u niego kilka dni, a wczoraj w wielkim pośpiechu wyjechaliście z miasta.

- W pośpiechu? - Mikołaj zdziwił się.

- Na odcinku dwustu czterdziestu kilometrów wasz samochód zarejestrowały wszystkie policyjne fotoradary na tej trasie, łącznie dwadzieścia sześć. Także jakiś świadek zeznał, że wyruszyliście spod domu Paula z

piskiem opon - konsul rozłożyła ręce. - Mnie nie interesuje, jak było.

- A co zeznała Gudrun?

- Nie wiem, kim jest Gudrun. Nie mam dostępu do szczegółów śledztwa, a gdybym nawet miała, to nie mogłabym ich panu przekazywać.

- Rozumiem - Mikołaj był zawiedziony. - Co teraz mnie czeka?

- O ile wiem, ma się u pana zjawić sędzia śledczy, być może odbędzie się też wizja lokalna.

- A co z Izą?

- Ma się dobrze i znajduje się w tym samym areszcie. Niestety, państwa kontakty są wykluczone, nie wolno mi przekazywać żadnych informacji.

- Jak zginął? - zapytał Mikołaj po chwili milczenia.

- Nie mam takich informacji, ale słyszałam, że chodzi o morderstwo na tle seksualnym. Ode mnie pan tego nie słyszał - zastrzegła się szybko.

- Co dalej mnie czeka?

- Zobaczmy. Jeśli nie zostaną przedstawione zarzuty, to będą musieli pana wypuścić. Przysługuje wtedy panu prawo do odszkodowania. Jeżeli jednak prokurator zadecyduje o przedłużeniu aresztu, wtedy otrzyma pan adwokata z urzędu, a nasz konsulat zapewni tłumacza oraz wsparcie w kontaktach z Polską. Niezależnie od tego ma pan prawo dzwonić do konsulatu - wyjęła wizytówkę - a w każdym miejscu Belgowie mają obowiązek zapewnić panu dostęp do aparatu telefonicznego. Sugeruję niczego nie podpisywać bez obecności tłumacza lub mnie, chyba że będzie to kwit z depozytu.

- Proszę pani...

- Tak?

- Ja tego nie zrobiłem. Ani Iza. To jakieś koszmarnie nieporozumienie.

- Chciałabym państwu wierzyć - spojrzała łagodnie. - Czy coś mogę dla pana jeszcze zrobić - dała do zrozumienia, że zakończyła rozmowę. - Może kogoś powiadomić?

- Gdyby pani mogła zadzwonić do mojego biura - podał jej wizytówkę. - Tylko proszę nie mówić nic o aresztowaniu - poprosił.

- W takich wypadkach informujemy, że nieprzewidziane okoliczności zatrzymały pana za granicą. Zwykle pracodawcy nie dopytują o szczegóły, kiedy słyszą, że to konsulat. Do czasu powrotu musi pan coś wymyślić - uśmiechnęła się nieoczekiwanie. - Do widzenia.

* * *

Około południa do celi różnym krokiem wszedł sędzia śledczy w towarzystwie tłumacza.

- Dzień dobry - odezwał się tłumacz. - Jestem tłumaczem przydzielonym panu przez konsulat. Mam także pośredniczyć w wymianie informacji między panem a konsulem RP - podkreślił głoskę „r”. - Jeśli ma pan jakieś życzenia, to w każdej chwili może pan mnie wezwać. Mam na imię Peter.

- Dzień dobry. Kim jest ten pan?

- To sędzia śledczy, chce pana przesłuchać.

- Dobrze, możemy zaczynać.

Tłumacz skinął głową w stronę śledczego. Ten podjął wątek.

- Panie Mikołaju - Peter symultanicznie tłumaczył słowa śledczego - gdzie był pan wczoraj około dwudziestej drugiej.

- W mieszkaniu Paula Hardenne - odpowiedział Mikołaj.

- Co pan tam robił?

- Siedzieliśmy wraz z Izą u Paula i rozmawialiśmy.

- O czym?

- Różnie. Głównie o odrzuconej przez senat uczelni dysertacji Paula - powiedział niepewnie.

- Kto był tam wtedy oprócz pana i Paula?

- Iza, moja - zastanowił się chwilę - narzeczona.

- Jakie były państwa powody wizyty u Paula Hardenne?

- Poznaliśmy się przez Internet. Kilka tygodni temu, badając dzieła Hieronima Boscha, zwróciłem się do Paula z prośbą o pomoc w zrozumieniu kontekstu...

- Kiedy państwo przyjechali do Antwerpii? - śledczy pytał beznamiętnie, notując odpowiedzi w podręcznym notebooku.

- W czwartek... Nie, w piątek. Przyjechaliśmy z 'sHertogenbosch, gdzie spędzaliśmy urlop.

- Proszę opowiedzieć przebieg państwa wizyty. Interesują mnie szczególnie wspólne i samotne wyjścia, spotkania z innymi osobami.

- Jak szczegółowo mam opowiadać? - Mikołaj patrzył zdziwiony.

- Jak najlepiej pan potrafi, mamy trochę czasu.

Mikołaj streścił śledczemu ostatnie kilka dni, jednak uznał, że nie będzie opowiadał ani o nocnej eskapadzie do muzeum, ani o tym, jak podpatrzył igraszki Paula i Gudrun. Śledczy stuknął co chwilę w klawisze, wykazując w tym wielką biegłość. Twarz miał beznamiętną, tylko od czasu do czasu wtrącał swoje „ja, natuurlijk”.

- Czy to wszystko? - spytał śledczy, kiedy Mikołaj opowiedział, jak przed odjazdem przysłała do Paula Gudrun i się z nimi pozegnała.

- Chyba tak - Mikołaj nie był pewny.

- To proszę się zastanowić - śledczy wwiercił weń bazylijskowe spojrzenie.

Mikołaj wystraszył się. „Co on może wiedzieć?”, myślał gorączkowo. „Co mu powiedziała Iza?”.

„Zastanówmy się. Nie zrobiłem nic złego, ani ja, ani Iza. Może trzeba powiedzieć wszystko, jak na spowiedzi?”.

„Dowody, nie mają dowodów”, olśniło go nagle. Zawsze może powiedzieć, że myślał, że to koszmar senny.

- Nic więcej nie pamiętam, proszę pana - powiedział pewnym głosem.

* * *

- Miki?

Obrócił się gwałtownie. W poczekalni komisariatu mimo późnej pory kręciło się sporo ludzi. Młodzi ludzie z rozbitymi głowami, pijane prostytutki, okradziony turysta z Zimbabwe pomstujący pod nosem. W grupie ludzi jakieś cztery kroki od niego stała Iza i spoglądała szeroko otwartymi oczami.

Podszedł do niej i objął.

- Nic nie mów, nic nie mów, proszę - łkała mu w rękaw.
- Kiedy cię wypuścili? - spytał.
- Dziś rano.
- Żartujesz? Czekasz od tamtej pory? - zdumiał się.
- Tak - spuściła wzrok. - Co robimy? Nie chcę być tutaj - kiwnęła głową, wskazując na odrapane ściany korytarza.
- Chodźmy do hotelu. Tłumacz powiedział, że policja za wszystko zwróci.

Kiedy wyszli z komisariatu, Iza wzięła Mikołaja pod rękę. Miasto było już uśpione, było ciepło i przyjemnie.

- Jakie mamy plany? - spytała.
- Jutro muszę uczestniczyć w wizji lokalnej. Ty nie? - zapytał zdziwiony.
- Nic takiego mi nie mówili - wzruszyła ramionami.
- To ma być koło trzynastej. Na piętnastą mają ściągnąć mój samochód. Pewnie spakujemy się i pojedziemy do domu.

- Nie powiedzieli ci, co się stało?
- Nie. Tylko tyle, że Paul został znaleziony martwy jakąś godzinę po naszym wyjeździe. Zaraz - konsul wspominała nieoficjalnie, że morderstwo było na tle seksualnym - popatrzył podejrzliwie na Izę - może wiesz coś o tym?

- Miki, proszę cię, dajmy już temu spokój. Paul od tego nie ożyje.
- Jadłaś coś?
- Nie bardzo, te pomyje na obiad były gorsze niż obiad na uczelnianej stołówce.

Kiedy dotarli do hotelu, było już pół do trzeciej nad ranem. Padli wyczerpani na łóżko, ale nie mogli zasnąć.

- Jak myślisz, kto mógł go zabić?
- Nie mam zielonego pojęcia. Nawet nie wiemy, gdzie to się stało.
- Ani jak.

Mikołaj postanowił zaatakować.

- Co się działo nad ranem w poniedziałek?

- Miki, proszę cię - Iza wyglądała na bezradną.

Mikołaj wpadł w furję.

- Wariatko! Zamordowano człowieka. Zapewne na tle seksualnym. Ty uczestniczysz wraz z nim w jakiejś chorej orgii dzień wcześniej! Boże, zastanów się nad sobą!

- Przepraszam - Iza spuściła skruszona oczy. - Już wszystko powiem.

- Co wie policja?

- Nic. Niczego im nie powiedziałam.

- Słucham więc.

- Trudno mi o tym mówić. Jak pewnie zauważyłeś, lubię trochę niekonwencjonalny seks.

- Zauważyłem - przerwał Mikołaj.

- Wtedy, gdy podglądałam Paula i Gudrun, Paul mnie zauważył. Nie spieszyło go to wcale, przesunął Gudrun na łóżku tak, żeby mnie nie zauważyła.

Podeszła do minibaru i wyjęła miniaturową buteleczkę bourbona. Wlała do szklanki, wrzuciła dwie kostki lodu i wypila jednym haustem.

- Nie chciałabym, żebyś mnie źle zrozumiał - tłumaczyła się. Następnego wieczoru, kiedy poszedłeś do łazienki, a ja robiłam kanapki, Paul podszedł do mnie i objął mnie od tyłu. Czulałam na tyłku tego jego wielkiego penisa. Powiedział mi szybko, że w nocy czeka mnie coś wyjątkowego.

- Mogliście mnie zaprosić - powiedział Mikołaj z przekąsem.

- Miki, nie gniewaj się. Wrzuciłam ci do kanapki dwa stilknoxy, popiłeś to winem.

- Chryste, jesteś walnięta.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło. W każdym razie po kolacji zasnęłam jak niemowlę. Poszliśmy do muzeum, w wozowni czekała już na nas Gudrun.

- Mówisz o tym pomieszczeniu, w którym was nakryłem?

- Tak. Nie spodziewaliśmy się ciebie. Resztę możesz sobie wyobrazić.

- Czy wiesz, że Gudrun to pasierbica Paula?
- Nie?! - krzyknęła z niedowierzaniem.
- Właśnie, że tak. Ma szesnaście lat. Oboje powinniście iść za to siedzieć.
- Boże, nie wiedziałam - Iza wpadła w szloch. - Nie wiedziałam.

* * *

Wielce Szanowny Mistrzu Jeroen!

Słusznie postąpiłeś, zasięgając mojej rady w kwestii barw, w jakich ma być ukazany Raj Królestwa Tysiącletniego. Chociaż jedna rzecz mnie dziwi. Nie wiesz, jakie kolory dać Rajowi, a jakimi ubarwić Piekło wiedziałeś, o nic mnie nie spytawszy. I nie pomyliłeś się w niczym, użyłeś dokładnie takich odcieni, o jakie mi chodziło. Wtedy umiałeś się domyślić, a teraz nie umiesz? W każdym razie powtarzam jeszcze raz - roztropnie uczyniłeś, nie działając w tej sprawie na własną rękę, tylko oczekując jasnych wskazówek. Oto one: na północy Raju wzniesione wzgórza muszą być szaroniebieskie, mgliste i nawet jakby posępne. Niżej niech dominuje tło żółtozielone. Z wody (o barwie naturalnej, bladobłękitnej) niech bije fontanna w odcieniu różu. W scenie rodzajowej powinien przeważać kolor wyblakłej, zgaszonej zieleni. Niewiasta zwana Ewą (ta z prawej strony) najlepiej niech ma jasne włosy i alabastrową karnację. Drugiej niewieście możesz dać taką powierzchowność, jaką uznasz za stosowne, pamiętając jednak, by przedstawić ją nagą i w nowomodnym uczesaniu. Chrystusa zaś ubierz w szatę czerwoną. Czerwień ta ma być dość żywa, ale nie nazbyt agresywna. I nie próbuj Chrystusowego odzienia malować na podobieństwo szaty monarszej, papieskiej, kardynalskiej ani biskupiej.

Skoro już o tym mowa, to znaczy o biskupie, drogi Jeroenie, przypomniałem sobie, jak to przed paroma dniami (pisałem Ci zresztą o tym) biskup podejmował mnie w swojej rezydencji. Przyznam, że udawałem się do niego z sercem cokolwiek niespokojnym, nie będąc pewnym, czy z siedziby kościelnego dostojnika nie wyjdę zakuty w kajdany. Obawy płonne, jak się okazało-w przeciwnym razie teraz nie pisałbym do Ciebie, tylko Ty, mój miły Przyjacielu, pisałbyś dla mnie epitafium. Biskup ugościł mnie

wystawnym obiadem (na którym nie zaserwowano mi zatrutych dań) i gawędziliśmy razem prawie do wieczora. Nigdy nie zgadniesz o czym. O Tobie, Mistrzu Jeroen. Biskupa doszły wieści, że przyjaźnię się z wielkim, malarzem, Jeroenem Anthoniszoon van Aken. A on - jak mi powiedział - ogromnie interesuje się sztuką. „W naszych czasach - oświadczył - ludzie duchowni muszą umieć nie tylko pacierz odmawiać i msze celebrować, ale i o świeckich naukach winni mieć pojęcie „. Ja przeważnie słuchałem i milczałem, bojąc się, by jakieś niestosowne słowo mi się nie wymknęło. A biskup gadał za nas obu. Najpierw o tym, jak świetnie zna się na malarstwie i innych artystycznych kierunkach, potem zaś o tym, że ludziom Kościoła najlepszy przykład daje sam papież, który szczerą miłością wszelką sztukę otacza. Ledwie się w język ugryzłem, by nie odrzec, że papież miłością darzy nie tylko sztukę, zważywszy na to, jak dzięki niemu rodzaj ludzki się pomnaża.

Drogi Jeroenie, przeczytaj mój list bardzo skrupulatnie, a potem równie skrupulatnie zamień go w popiół. Tymczasem żegnaj Cię, nie na długo, mam nadzieję.

Twój mecenas i przyjaciel
Jacob Almaengien, Philips van Sint Jaan

* * *

Wizja lokalna odbyła się w obecności tłumacza. Mikołaj miał poważny problem z wejściem do mieszkania. Na podłodze w kuchni odrysowany kolorową kredką był kształt ciała. W zlewie tkwiły jeszcze naczynia, z których przed odjazdem pili kawę. Mikołaj wykonywał polecenia śledczych jak w transie.

- Jak zginął? - zapytał.

- Nie mogę panu powiedzieć - odparł śledczy. - Ale jego śmierć była dość gwałtowna.

- Skąd o tym wiadomo?

Śledczy wysunął z papierowej koperty kilka zdjęć. - Jest pan pewien, że chce to oglądać? - upewnił się.

- Tak.

- Proszę - podał mu plik zdjęć.

Na fotografiach, w miejscu, gdzie teraz widniał tylko obrys ciała, leżał Paul. Ubrany był tak, jak zapamiętał go przed odjazdem. Leżał na plecach, koszulę miał rozchełstaną pod szyją. W lewej dłoni ścisnął gazetę, Mikołaj ze zdumieniem odkrył, że było to *Słowo Polskie* - gazeta, którą Iza kupiła przed wyjazdem z Polski. Nigdzie nie było widać śladów krwi ani walki. W czasie, gdy Mikołaj oglądał zdjęcia, śledczy przyglądał mu się uważnie, jakby chciał upewnić się, że reakcje Mikołaja są poprawne.

- To polska gazeta - stwierdził raczej, niż zapytał, śledczy.
- Tak, przywieźliśmy ją ze sobą i najwyraźniej została.
- Zabezpieczyliśmy ją jako dowód, ale raczej bez znaczenia - śledczy uśmiechnął się. - Dobrze się pan czuje? - zapytał, widząc, że Mikołaj pobladł.

- Tak. Po prostu nie jestem przyzwyczajony. To straszne!

Kiedy wrócili z Izą pod komisariat, wyszedł do nich ten sam grubawy człowiek, który aresztował Mikołaja przed dwiema dobami. Miał na sobie bluzę od munduru, spod której wystawała kabura z bronią. Wyciągnął rękę do Mikołaja i powiedział:

- Przepraszamy za to aresztowanie. Wszystko wskazuje, że są państwo niewinni.

- Złapaliście sprawcę - Mikołaj odwzajemnił uścisk.

- To nasza tajemnica - wyciągnął z aktówki dwa formularze. - Jeśli wypełnią państwo te druki, zadbam, aby odszkodowanie za - tu rozłożył ręce - problemy, które państwa spotkały, zostało wypłacone jeszcze dziś. Oczywiście, mogą państwo wystąpić o odszkodowanie do sądu, ale mam nadzieję, że będziecie wyrozumiali.

- Nie ma sprawy - Mikołaj był uległy. - Cieszę się, że skończył się ten koszmar.

- No, dla nas się nie skończył. Proszę po wypełnieniu przekazać papiery funkcjonariuszowi w komisariacie. Na parkingu w tamtej uliczce - wskazał ręką - stoi wasz citroen, zatankowany do pełna. Parking też jest opłacony do końca dnia. Przepraszam jeszcze raz za niedogodności i do widzenia.

- Do widzenia.

Gdy śledczy odszedł, Mikołaj złapał Izę za mankiet.

- Co się stało?

- Gazeta...

- Jaka gazeta?

- Paul miał w ręku gazetę, którą kupiłaś przed wyjazdem do Holandii.

- Co w tym dziwnego? Może po prostu sprzątał po nas.

- Może. Ale jakoś dziwnie mi to wygląda.

* * *

- Gudrun, nie obawiasz się, że policja wpadnie na nasz ślad?

Gudrun popatrzyła na zatroskane twarze nieznanych jej z nazwiska mieszkańców 'sHertogenbosch. Siedzieli w dużym klimatyzowanym podziemiu willi na przedmieściach, wynajmowanej przez Bractwo rzekomo dla agencji świadczącej usługi szkoleniowe. „Sprytnie ktoś to wykombinował”, pomyślała z uznaniem. Stuletni dom o ambicjach pałacyku miał kilka dużych bawialni, kilkanaście pokoi oraz olbrzymie piwnice, kiedyś zapewne przeznaczone na wino i spiżarnie - a dziś zamienione na nowoczesną salę konferencyjną. W tej właśnie sali zebrało się blisko trzydzieścioro członków Bractwa, wszyscy ci, którzy mogli przybyć w trybie nadzwyczajnym.

Gudrun wstała i rozejrzała się niepewnie. Przytłaczała ją trochę atmosfera miejsca oraz to, że mimo jej szesnastu lat traktowana była na równi ze wszystkimi. „Właściwie, to jak miałoby mnie traktować - z każdym pieprzyłem się już po kilka razy, a pochwy wszystkich zebranych kobiet znam lepiej niż swoją własną”, myślała, chichocząc w duchu.

- Nie sędzę - powiedziała pewnym jasnym głosem. - Mój ojczym niczego nie wiedział o Bractwie, był dopiero w pierwszej fazie.

- Jak daleko zaszły sprawy między wami?

- Sprowokowałam go dopiero kilka razy. Chyba się we mnie zakochał, mam na myśli jako mężczyzna, a niejako ojczym. Dlatego nie zdecydowałam

się na przejście do drugiej fazy - wyrecytowała - mimo że jako adept był bardzo obiecujący.

- A ci młodzi Polacy, nie będą czegoś podejrzewać?

- To jest słaby punkt, dlatego poprosiłam o spotkanie w trybie pilnym.

Na sali zaszemrało. Na twarzach zebranych odmalował się niepokój.

- Słuchamy.

- Paul, jak wiecie, miał dostęp do starej wozowni w muzeum. Były tam zebrane stare narzędzia tortur, z wystawy sprzed dziesięciu lat - przerwała, widząc pytające i zaskoczone twarze. - Jak niektórzy z was wiedzą - zawahała się na moment - więc jak niektórzy z was wiedzą, lubię ból - spojrzała przed siebie, by upewnić się, że zrozumieli. - To nic złego, prawda?

- Nic - odezwała się jedna z najstarszych dam. - Jak pamiętamy, wszystko, co sprawia nam przyjemność, jest nie tylko dozwolone, ale i pożądane. Kontynuuj.

- Pewnego wieczoru zwabiliśmy z Paulem Izę. Bawiliśmy się w najlepsze, ale Nicholas - jej chłopak - nas odnalazł. Był zdruzgotany.

- Jak mogłaś być tak nieostrożna?! - zapytał najbliższy sąsiad Gudrun.

- Przepraszam, ale moim zdaniem zagrożenie jest marginalne. Polak po powrocie do mieszkania Paula upił się na umór i dał sobie wmówić, że wszystko mu się śniło. A Iza jest chyba ostatnią osobą, która opowiedziałaby komuś o wydarzeniach w wozowni. Ona jest niepokodzona tak do końca ze swoją seksualnością, a muszę przyznać, że w paru rzeczach jest bardziej otwarta ode mnie.

- Jesteś pewna?

- Nie jestem. Ale tak jak mówiłam kilku osobom przed spotkaniem, w razie wpadki wezmę wszystko na siebie - popatrzyła smutno. - Jedyne, co mi grozi, to kurator, z powodu utrzymywania stosunków seksualnych z dorosłym.

- Zabiliśmy człowieka - odezwał się nieoczekiwanie szczupły mężczyzna o pospolitej twarzy, siedzący daleko od Gudrun. - Nie takie cele stawia sobie Bractwo - zagrzmiał.

- Ryzyko było zbyt duże, nie było wyjścia - odezwał się wysoki blondyn o fizjonomii zdrowego, silnie zbudowanego Skandynawa. - Jeśli nie wszyscy jeszcze wiedzą, to wydelegowaliśmy Gudrun do obserwacji Paula ze względu na podejrzenia...

- A gdzie jest Maria?! - przerwał nagle jakiś głos.

- Stwierdziliśmy, że Maria będzie pod obserwacją policji, więc przez jakiś czas pod żadnym pozorem nie może zbliżyć się do nikogo z nas - wyjaśnił jasnowłosy olbrzym. - Jak wiemy dziś, podejrzenia Marii okazały się uzasadnione, i w całej sytuacji mieliśmy mnóstwo szczęścia - zakończył.

- Były uzasadnione - odezwał się dystyngowany starszy pan, z wyglądu typowy naukowiec. - Paul przedstawił spójny wywód, nie dochodząc co prawda do sedna, ale na tyle rewolucyjny, że mieliśmy spory problem w senacie, by go odrzucić.

- Wiemy coś o tym Polaku? - Gudrun zrozumiała, że pytanie było skierowane do niej.

- Niewiele - odezwała się. Mieszka we Wrocławiu, to ponemieckie miasto na zachodzie Polski. Nicholas pracuje dla biura konstruktorskiego. Podawali się z Izą za asystentów na akademii sztuk pięknych, ale policja tego nie potwierdza - tu ukloniła się w stronę Helgi, wysportowanej podkomisarz policji. - Paul, według mojej wiedzy, ukrywał przed nimi treść swojej dysertacji, uważając ich za konkurentów.

- A korespondencja elektroniczna?

Gudrun rozłożyła ręce i twarze obecnych skierowały się na Helgę.

- Nic nie wiemy na ten temat. Zabezpieczyliśmy komputer Paula, ale obawiam się, że niczego się nie dowiemy - powiedziała zrezygnowana. - Paul zaszyfrował dysk w sposób, który praktycznie uniemożliwia jego odczytanie. Tak przynajmniej twierdzi laboratorium kryminalistyki w Brukseli, gdzie przesłaliśmy notebooka - wąskie usta Helgi zacisnęły się, a na twarzy

pojawił się grymas źle skrywanej irytacji.

- Praktycznie?

- Niezbędna byłaby praca kilkudziesięciu tysięcy bardzo wydajnych maszyn przez trzydzieści, może czterdzieści lat - wyjaśniła.

- A co z serwerami?

- Paul korzystał ze skrzynki Yahoo. Dla tak błahej sprawy żadna amerykańska firma nie udostępni korespondencji swojego klienta. Jedyne, co wiemy, to, że ostatni mejl został wysłany do Nicholasa zaraz po wyjeździe jego i Izy - zakończyła komisarz.

- Czy podejrzenie o morderstwo jest błahym powodem, pani zdaniem? - zapytała Gudrun.

- Oni nie mogli tego zrobić. Koroner stwierdził godzinę zgonu Paula na dwudziestą trzecią trzydzieści. Wtedy nasza para była trzysta kilometrów od Antwerpii, co zarejestrowały bardzo wyraźnie fotoradary na autostradzie.

- Co mógł do niego napisać? - starsza pani popatrzyła pytająco na Gudrun.

- Nie wiem. Nicholas dość gwałtownie ruszył spod mieszkania Paula zaraz po pożegnaniu, ale nie mam pojęcia, co go do, tego skłoniło - rozłożyła bezradnie ręce.

- Pani komisarz - dystyngowana dama zwróciła się do Helgi - proszę to sprawdzić w miarę możliwości oraz monitorować śledztwo.

- Tak jest - Helga zaakceptowała odruchowo polecenie, zapominając na moment, że nie jest na policji, a starsza pani tak jak wszyscy członkowie Bractwa jest jej równa.

- Do czasu zamknięcia sprawy musimy zawiesić spotkania oraz inną działalność. Osoby zajmujące się wprowadzaniem adeptów proszone są o wstrzymanie się przed ujawnianiem jakichkolwiek szczegółów na nasz temat. Dziękuję wszystkim. Gdyby ktoś pytał, to dziś odbyło się tutaj szkolenie z asertywności. Przy wyjściu odbierzecie zaświadczenia o ukończeniu kursu.

* * *

Mikołaj prowadził tym razem rozważnie i spokojnie. Policja z 'sHertogenbosch unieważniła mu wprawdzie wszystkie mandaty, które otrzymałby za poprzedni rajd belgijskimi autostradami, ale wolał nie ryzykować.

Iza zaszyła się na tylnym siedzeniu samochodu, przykrywając kocem. Do Mikołaja docierały tylko od czasu do czasu jej ciężkie westchnienia. Był skrajnie otepiały, a dziwne wydarzenia ostatniego tygodnia nie dawały się w żaden sposób uszeregować. Nie potrafił jednoznacznie rozdzielić koszmaru od rzeczywistości. Wydarzenia w mieszkaniu Paula, odrzucona dysertacja, orgia w muzeum, śmierć Paula, aresztowanie, zdjęcie skrzyni w gazecie - wszystko wydawało mu się mało realne i nieprawdopodobne.

Gdy wjechali na gładkie autostrady północnych Niemiec, Mikołaj przyspieszył do stu osiemdziesięciu na godzinę i postanowił przerwać milczenie.

- Iza?

Podniosła głowę i popatrzyła w odbicie jego pytającego wzroku we wsteczny lusterku. Nie zdobyła się jednak na odpowiedź. Pokiwała głową i zapatrzyła się w ciemność.

- Iza, proszę cię... Zginął człowiek. Czy wiesz może, kto to mógł zrobić?

- Pojęcia nie mam - popatrzyła na niego z ukosa. - Wszystko opowiedziałam na policji, wszystko z wyjątkiem wydarzeń w muzeum.

- Więc one były rzeczywiste - powiedział do siebie Mikołaj.

- Przecież ci mówiłam.

- Co z tym wszystkim zrobimy?

- Co masz na myśli? - Iza uniosła brwi.

- No wiesz, tak w ogóle. Myślałem, że jesteśmy ze sobą - płatał się Mikołaj.

- Miki - Iza najwyraźniej była przygotowana na tę rozmowę - lubię cię i jest mi z tobą dobrze. Ale nie mogę dla ciebie zrezygnować z moich potrzeb.

- Co to dla mnie znaczy?
- Musisz zaakceptować mnie taką, jaką jestem. Proszę - zakończyła błagalnym tonem.
- Aha, ty się będziesz pieprzyła na lewo i prawo, a ja mam to akceptować. Marzę o tym - zaśmiał się sarkastycznie.
- Miki, daj spokój. To było bardzo głupie, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nie chcę obcych facetów w łóżku. Ani kobiet - zaśmiała się.
- Co więc mam zaakceptować?
- No wiesz, w łóżku lubię ból. Dopiero Paul i Gudrun mi to uświadomili z całą wyrazistością.
- Ja nie lubię bólu w łóżku.
- Zauważyłam. Ale myślę, że możemy wypracować jakiś kompromis.
- Pod warunkiem że do szczytowania nie potrzebujesz zakuwać mnie w dyby - zaśmiał się Mikołaj.
- Daj spokój, to nie tak.
- Zrobisz badania - Mikołaj stał się nagle stanowczy. - HIV, żółtaczka, WR, rzeżączka i co tam tylko.
- Dobrze - Iza zrozumiała, że Mikołaj zaczyna dyktować warunki zawieszenia broni.
- Jak zobaczę zaświadczenie, to wrócimy do negocjacji.

* * *

Od podróży służbowej do Berlina i wizyty w Pergamonmuseum minęło już trochę czasu. Marcin powoli odsuwał w niepamięć elegancką kremową kopertę i nie czekając na dalszy ciąg wydarzeń, rzucił się w wir pracy i miłości. Gdy nagle w pewien sobotni poranek, koperty znowu dały znać o sobie. Przed drzwi jego londyńskiego domu zawsze w sobotę rano dostarczano mleko i gazety. Tej soboty dostarczono jeszcze jedną przesyłkę. Była to elegancka kremowa koperta. A w kopercie kolejny bilecik z lakoniczną informacją: Wieża Wiatrów, Euros, forum rzymskie, Ateny. Informacja ta brzmiała dla Marcina co najmniej absurdalnie. Kompletnie nie kojarzył, co

to Wieża Wiatrów i Euros. Na dodatek w najbliższym czasie nie wybierał się do Aten. Wrócił do sypialni z mlekiem i gazetami, zapomniawszy o tostach w kuchni i szybko zaczął szukać w Internecie. Intryga zaczęła go wciągać. Przeczytał, że owa Wieża Wiatrów to jeden z najlepiej zachowanych budynków starożytnych Aten używana do wskazywania kierunku wiatru, a także jako zegar. Na wieży znajdowało się też dziewięć zegarów słonecznych. Marcin nie umiał połączyć w całość tego, czego był świadkiem, ale zaczął szybko kombinować, co zrobić, żeby jakoś znaleźć się w Atenach. Z pomocą przyszła mu budząca się właśnie ze snu ukochana. „A jakby zabrać ją na romantyczny weekend do Aten?” Niewiele myśląc, postanowił zrealizować swój pomysł. I tak oto dwa tygodnie później Marcin i Iza spacerowali uliczkami Aten. Kiedy tylko Izę wciągnęły zakupy, Marcin niepostrzeżenie zniknął. Oczywiście w pośpiechu udał się do rzymskiego forum, które nie było trudne do odnalezienia. Jego oczom ukazała się też budowla, gdzie rzekomo miała czekać na niego koperta. Bez trudu rozszyfrował, co znaczy Euros, a także odczytał godzinę na jednym z zegarów słonecznych. Gdy tak się bawił w odkrywanie tajemnic starożytności, dokonał jeszcze jednego odkrycia. Tajemnicza koperta leżała na kamieniu przy wschodniej ścianie wieży. I czekała na Marcina. Zaskakujące było to, że nie interesował się nią nikt oprócz Marcina. Rozdarł ją więc szybkimi ruchami, wyjął zapisaną kartkę i zaczął czytać:

„Utu codziennie odbywał tę samą wędrówkę. Od świtu do zmierzchu był obserwatorem na nieboskłonie. Wstawał w górach na wschodzie, zasypiał w górach na zachodzie. Podczas swej wędrówki Utu zwany też Szamaszem widział wszystko, co działo się na Ziemi. Co robili bogowie i co robili ludzie. Dlatego też zaczął być uważany za boga sprawiedliwości, za boga prawdy i prawa. To on stał się sędzią na Ziemi i w niebie. To jego przedstawiono na szczycie kodeksu Hammurabiego, jak wręcza prawa Mardukowi. Utu zwany Szattiaszem był sumeryjskim bogiem Słońca.

Już tysiące lat przed naszą erą tworzono rzeźby i rysunki wyrażające szacunek i uwielbienie dla słońca. Słońce wschodząc każdego ranka przynosi światło, ciepło i bezpieczeństwo, chroni człowieka od zimna i ataków drapieżników ukrytych w ciemności. Bez słońca zboże nie wyrośnie, a życie na ziemi nie przetrwa. Ta świadomość sprawiła, iż słońce stało się najbardziej adorowanym obiektem wszech czasów.

Słońce stało się podwaliną systemu wyznaniowego. Kult solarny, bo o nim mowa, uznawał słońce za prasiłę twórczą. Słońce było centralnym punktem wielu prehistorycznych i starożytnych religii. Słońce było też jedynym (oprócz ziemskiego żywiołu ognia) źródłem światła i ciepła, czyli źródłem życia (także niszczyciela życia). Słońce symbolizowało nieskończoność, energię i moc życiową męskiego stwórcy (słońce utożsamiano z pierwiastkiem męskim), prawdę i oświecenie. Kult solarny był szczególnie powszechny w starożytnym Egipcie i na Bliskim Wschodzie, wśród wielkich cywilizacji Azji (Chiny, Indie, Japonia) oraz w Cesarstwie Rzymskim i zdarzało się, iż zdobywał tam dominującą pozycję. Prawie wszędzie słońce występowało jako bóstwo bezpośrednio podporządkowane lub tożsame głównemu bogowi (też będące jego atrybutem). Często następowała personifikacja słońca w formie bóstwa solarnego. Bóstwa solarne łączyły zwykle w sobie cechy bóstw płodności i wegetacji oraz bóstw stanowiących ład kosmiczny. Słońce jako dawca światła, często było kojarzone z okiem i widzeniem. Bogowie solami więc byli utożsamiani z wszechwiedzą, prawem, a także przysięgą i kontraktem (słońce jako świadek składanej przysięgi i zawieranej umowy). Takie funkcje przypisywano m.in. Szamaszowi. Jednym z symboli solarnych był krzyż solarny. Był on od dawien dawna i równocześnie w wielu kulturach świętym znakiem solarnym, boskim symbolem słońca i ognia, często też symbolem płodności. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa próbowano skierować rzymski kult solarny na osobę Chrystusa, określając go jako *sol versus* - słońce prawdziwe”.

Nieco otumaniony słowami, które próbował zrozumieć i powiązać ze sobą, wyruszył na poszukiwania Izy. W głowie cały czas szumiały mu listy. Z jednej strony ciekawość gnała go do Londynu, gdzie być może czekały na niego kolejne eleganckie kremowe koperty, z drugiej strony ogarniała go wściekłość, bo nie podobało mu się to, co się dzieje i że daje się w to wciągać.

Rozdział III

Śmierć skąpca

Do Wrocławia dotarli późnym popołudniem następnego dnia, przepawszy się kilka godzin na tej samej stacji Agip, na której zatrzymali się, jadąc do 'sHertogenbosch - tyle że po drugiej stronie autostrady. W mieszkaniu Mikołaja przywitał ich lekko zatechły zapach niewietrzonych od dwu tygodni pomieszczeń. W lodówce na szczęście znaleźli dwie butelki piwa. Byli tak zmęczeni, że opróżnili je w łóżku i zasnęli po kilku sekundach.

Nazajutrz po śniadaniu Mikołaj wyszedł do pracy, stawić czoło szefowi po nieoczekiwanie przedłużonym urlopie. Spodziewał się kłopotów, tymczasem szef z prawdziwą troską spytał, czy wszystko w porządku i czy może mu jakoś pomóc.

Wrócił do mieszkania parę minut po szesnastej. Iza czekała już z obiadem.

- Proponuję, żebyśmy spróbowali usystematyzować naszą wiedzę - Mikołaj przeszedł gładko do konkretów.

- To znaczy? - zamrugła oczami Iza.

- To znaczy spróbujmy zebrać i przeanalizować na chłodno wyjaśnienia problemu poruszonego przez Paula w dysertacji.

- Masz projekt, który dał nam Paul?

- Mam, tu jest - Mikołaj wyjął szarą teczkę. - Czytałem to w tramwaju.

- Ciekawe?

- Nawet bardzo. Na początku Paul robi przegląd materiałów i teorii tłumaczących zawiłą symbolikę malarstwa Boscha, najwięcej uwagi poświęcając pracy Fraengera. Następnie przedstawia dość długą listę paradoksów, które odkrył w obrazach Boscha. No i na koniec wyciąga, jak asa z rękawa, prace profesora z Hajfy, o którym wspominał, i stawia tezę: wizje Boscha były rzeczywistymi obrazami, które docierały do artysty w ten czy inny sposób.

- Nie dziwię się więc, że mu tę pracę odrzucono - Iza zamyśliła się.

- Najlepszy jest tytuł: „Dowód na istnienie prekognicji w symbolice malarstwa Hieronima Boscha”.

- Brzmi jak tytuł ze szmatławca dla okultystów.

- Dokładnie tak. Ale z drugiej strony to ciekawe, dlaczego odrzucili go na etapie abstraktu. Jakbym siedział w takim senacie, to nie od rzeczy byłoby posłuchać takiego dowodu, nawet gdybym był nastawiony sceptycznie.

- Wiesz, jak to jest na uczelniach - Iza uśmiechnęła się z wyższością osoby świadomej mechanizmów. - Jak już przepuszcza się abstrakt, to reszta jest formalnością. Bo to kompromitacja dla promotora, że dopuszcza habilitanta, który później nie broni przewodu.

- Mimo wszystko... Pomijając tytuł pracy, mogli z nim przynajmniej podyskutować.

- Co ty knujesz? - Iza zmarszczyła czoło.

- Nie wiem. Nie jestem naukowcem, ale ten abstrakt trzyma się kupy i wart jest przynajmniej dyskusji.

- Ale co miałby do tego rektor?

- Może w Internecie coś wygrzebiemy?

Wstukali „Van Zoon” w wyszukiwarkę. Strony uczelni, projekty z dziedziny prawa pracy. W końcu spojrzeli na siebie z zawodem.

- Pamiętasz - Iza przypomniała coś sobie - Paul wspominał, że rektor reprezentuje interesy Kościoła, co zresztą jest logiczne.

- Ale co Kościołowi do tego?

- Przejrzyjmy możliwości: albo kłóci się to z doktryną, albo grozi utratą wiernych czy spadkiem dochodów, albo grozi ujawnieniem jakiejś niewygodnej prawdy.

- Z doktryną się nie kłóci. Chyba... - Mikołaj myślał na głos. - Nie sądzę też, aby problem czasu groził schizmą.

- Czyli najbardziej prawdopodobne jest, że Kościół usiłuje coś ukryć - Iza popatrzyła z triumfem.

- Ale co? O problemach z Inkwizycją wszyscy wiedzą. O Bractwie Wolnego Ducha Hardenne nie wspomina ani słowem, zresztą, kto by sobie zwracał głowę średniowieczną sektą.

- Jedyne, co kojarzę, to skandal z templariuszami, który jest oczywisty. Nie jest raczej postrzegany jako współczesny problem Kościoła. Inkwizycja była dużo większą plamą w historii tej instytucji, że o pomocy hitlerowcom po wojnie nie wspomnę - Iza podniosła wzrok.

- Więc co?

- W ogóle trudno sobie wyobrazić problem z tamtych czasów, który może mieć znaczenie do dziś, nie sądzisz?

- Im dalej brniemy, tym mniej z tego rozumiem.

- Może wydrukujesz korespondencję z Paulem, będzie nam łatwiej analizować materiał - zaproponowała Iza.

- Świetny pomysł - Mikołaj sięgnął po laptopa. Zalogował się i wtedy Iza dostrzegła, że w oświetlonej światłem ekranu twarzy Mikołaja zachodzą przedziwne zmiany - od zgrozy po zdumienie.

- O rany... - wyszeptał.

Iza wstała stanęła za plecami Mikołaja.

W poczcie znajdował się mejl od Paula, wysłany niecałą godzinę po ich wyjeździe z Antwerpii.

* * *

Kochani!

Dziękuję Wam za wizytę i całą resztę. Ja, niestety, muszę się wycofać z naszej spółki. Ktoś bardzo nie chce, żebyśmy kontynuował badania. Już wcześniej otrzymywałem pogróżki, ale je bagatelizowałem. Był to także

powód tego, że nie zawsze byłem z Wami szczerzy, co mam nadzieję, zostanie mi wybaczone. Sprawy jednak zaszły za daleko. Ktoś grozi Gudrun, a ja nawet nie mogę pójść na policję - sami rozumiecie dlaczego. Mam nadzieję, że uszanujecie moją decyzję. Aby Was w jakiś sposób zabezpieczyć przed ewentualnymi kłopotami, zaszzyfrowałem całą zawartość dysku mojego laptopa. Uważajcie na siebie, mam bowiem podstawy przypuszczać, że moi gnębiciele mogą wiele... zbyt wiele.

PS. Skąd, do cholery, w gazecie, którą przywieźliście, znalazła się fotografia takiej samej skrzyni jak na Śmierci skąpca Boscha? Nie rozumiem ani słowa po polsku.

PS2. Nie odpisujcie. To może być naprawdę niebezpieczne.

*Dziękuję Wam bardzo,
Paul*

* * *

- Spójrz - Iza rzuciła Mikołajowi wymiętą gazetę.

Popatrzył na nią z uznaniem.

- Skąd to masz?

- Znalazłam w czytelnicy na uczelni i rąbnęłam.

- Rąbnęłaś? - zdumiał się Mikołaj.

- Najpierw chciałam skserować, ale zdjęcie wyszło bardzo niewyraźnie.

A dla nas jest ono kluczowe.

- Jak to ci się udało?

- Kupiłam dzisiejsze *Słowo* i podmieniłam.

- No tak, mogłem się domyślić. Czytałaś? - puknął palcem w artykuł.

- Tak. W Żółtym Stoku, w starej kopalni, znaleziono skrzynię z jakimiś kłopotami.

- Jakież szczegóły?

- Nie bardzo, miałam raczej wrażenie, że to artykuł sponsorowany. Tyle tylko, że skrzynia jest dębowa i zachowała się w znakomitym stanie.

Mikołaj wstał i wziął album oraz pracę Fraengera z półki. Szybko odnalazł *Śmierć skąpca*.

- Wygląda tak samo - podczas gdy mówił, zdał sobie sprawę, jak absurdalne jest to stwierdzenie.

- Być może to typowa skrzynia z epoki - Iza była sceptyczna. - Zresztą...

- Co? - przerwał.

- Zresztą marne szanse, żeby skrzynia przetrwała tak długo. Musiałaby być regularnie konserwowana i przechowywana w odpowiednich warunkach.

- Może była. Nie wiadomo, jak długo leżała w kopalni.

- To w sumie dałoby się sprawdzić - rzuciła Iza. - Pamiętasz, co opowiadałam ci o datowaniu polon-radon?

- Piąte przez dziesiąte. Dużo materiału trzeba, by to sprawdzić?

- Gram, dwa. Jeśli to drewno, to powinno być to nawet łatwe.

- Jakie to ma znaczenie?

- Aby zbadać zawartość radonu i polonu, musimy próbkę wprowadzić w stan gazowy. W przypadku drewna nic prostszego. Po prostu je palimy w probówce.

- Dałabyś radę załatwić takie badanie?

- Myślę, że tak. Na wydziale zostało wielu znajomych.

- Czyli wybieramy się do Złotego Stoku?

- Na to wygląda.

- A wiemy, czy nam tę skrzynię ktoś pokaże?

- W artykule jest nazwisko właścicielki kopalni, możemy tam po prostu zadzwonić.

- Kim będziemy tym razem?

- Staniesz się archeologiem, który pasjonuje się starymi skrzyniami, a masz prawo przypuszczać, że ta pochodzi ze średniowiecza.

- No dobrze.

Iza wyciągnęła spod doniczki książkę telefoniczną. Odnalazła Złoty Stok.

- Spójrz tylko - powiedziała zaskoczona - tam mają jakiś chów wsobny, w tym Złotym Stoku!

- Co masz na myśli?

- W całej książce powtarza się może kilkadziesiąt nazwisk. - Jak nazywa się ta właścicielka kopalni? - zapytała.

- Aurelia Szyrska.

- Mam - złapała aparat telefoniczny i wystukała numer. Wyszła ze słuchawką do kuchni, podczas gdy Mikołaj pogrążył się w lekturze artykułu, starając się porównać niewyraźne zdjęcie na gazetowym papierze z reprodukcjami. Iza wróciła z kielichem oplukanych winogron.

- Pani Szyrska chętnie nas przyjmie i pokaże skrzynię, ale dopiero w weekend, bo dziś wyjeżdża na krótki urlop.

- Świetnie. Ten artykuł to faktycznie jakaś lipa, ale jeśli skrzynia jest autentyczna, to będziemy mieli niezłą zagwozdkę.

- Jak w ogóle zamierzasz porównać skrzynię z reprodukcjami? - zapytała nieoczekiwanie Iza.

- Cholera - Mikołaj zrozumiał - przecież nie mogę wyjąć przy Szyrskiej albumu i porównać.

- To może zrobimy zdjęcia dobrą cyfrówką?

- Świetny pomysł - Mikołaj popatrzył na Izę z uznaniem. - Ale weźmiemy raczej tradycyjny aparat na kliszę. Będzie można uzyskać lepsze powiększenia - wyjaśnił. - A jak zdobędziemy kawałek drewna do badań?

- Może oficjalnie? Skoro jesteś archeologiem, to potrzebujesz go, żeby określić wiek skrzyni. Zresztą potrzebna jest nam zwykła drzazga. Takie coś można odłupać niepostrzeżenie. Rany, nie wytrzymam do soboty - powiedziała Iza. - Co będziemy robić przez cały tydzień?

- Wynik badań masz? - zapytał niewinnie Mikołaj.

- Nie mam jeszcze, ty świntuchu! - roześmiała się.

* * *

Droga Siostró Aylet!

Mogę sobie wyobrazić, jakie ogarnęło Cię wzburzenie, gdy ujrzałaś to, o czym właśnie przeczytałem. Zaiste, Twój mąż jest najbardziej nieodgadzionym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Prosiłem Go, żeby Chrystusowi w Raju towarzyszyły dwie nagie niewiasty. Jedną z nich miał obdarzyć rozpuszczonymi jasnymi włosami i bladą cerą, o drugiej zaś tak Mu napisałem: „Możesz jej dać taką powierzchowność, jaką uznasz za stosowne”. Z twojego listu wynika, że Mistrz drugiej niewieście dał powierzchowność męską. Ale czy jesteś pewna, że postać z lewej strony Chrystusa rzeczywiście ma męskie kształty? Czy przyjrzałaś się jej wystarczająco dokładnie? Jeśli się nie pomyliłaś, Jeroen pozwolił sobie na daleko idącą samowolę. Napisałem Mu, iż klęcząca po prawej stronie Chrystusa złotowłosa bladolica osoba zwie się Ewą. Zapewne on stwierdził, że Ewie różniej będzie w obecności Adama. Cóż, droga Aylet, co się dokonało, to już jest dokonane i zmienić tego się nie da. Mógłbym wprawdzie polecić Jeroenowi, aby z nagiego mężczyzny uczynił nagą kobietę, ale jak wówczas bym mu wytłumaczył, skąd wiem, że namalował mężczyznę zamiast kobiety? Przecież nie mogę wyjawić, że to Ty mnie o tym powiadomiłaś. Gdybym tak postąpił, Jeroen zacząłby podejrzewać, co Cię ze mną łączy. Może domyśliłby się prawdy, a może mężowska wyobraźnia nasunęłaby mu pochopny wniosek, jakoby jego mecenas miał bezpiecznie nadużyć poufałych stosunków z jego domem i z jego żoną jak z własną sobie poczynać. Nie wiadomo, co byłoby gorsze: czy gdyby przedwcześnie odkrył, że jesteś jedną z nas, czy gdyby mi zarzucił wiarołomstwo, a Tobie cudzołóstwo.

Droga Siostró, póki Twój mąż sam do nas nie przystąpi, nie powinien nic wiedzieć o Bractwie Wolnego Ducha i jego członkach. Powtarzałem to wielokrotnie i powtórzę jeszcze - trzeba zachować ostrożność.

Wracając do obrazu, właściwie nie doszło do zbyt wielkiego odstępstwa. Przecież Adam i tak miał znaleźć się w Królestwie Tysiącletnim, chociaż nie w lewym skrzydle, tylko w centrum. Jeroen zdecydował inaczej, niech więc będzie tak, jak On chce. Zostawmy Adama z Ewą i Chrystusem, na jego miejscu zaś umieścimy niewiastę, której miejsce on zajął. Będzie ona tym, czym pierwotnie miał być Adam - jedną z nagich postaci,

tłumnie zażywających rajskiego szczęścia i na tle sielankowego krajobrazu współzyczących w idealnej harmonii z Naturą. W stosownym czasie wydam Twojemu mężowi w tej materii szczegółowe dyspozycje. Ponieważ centralną część obrazu zarówno mężczyźni, jak i kobiety wypełnią w niezliczonej liczbie, Jeroen może dowolnie wybierać, komu jaką płć nadać, byle tylko zachował mniej więcej równe proporcje.

Siostró Aylet, zapewne już nie zobaczymy się przed świętami Wielkanocy. Dzisiejszego poranka przybył do mnie posłaniec od Księcia Filipa z zaproszeniem na Jego dwór. Książę życzy sobie, abym świąteczny czas spędził w Jego pałacu. Nie wypadalo odmówić. Zresztą mam wobec Księcia niemały dług wdzięczności. Jeśli do tej pory ludzie cesarscy ani Inkwizycja nic na mnie nie znaleźli, to tylko dzięki Jego protekcji. Jak wiesz, kilku naszych współbraci to dworzanie Filipa. Może zdołamy wygospodarować w pałacu jakąś ustronną izdebkę, w której dałoby się w nielicznym gronie potajemnie odprawić nasze obrzędy. To wprawdzie ryzykowne, trzeba zatem dokładnie zbadać sytuację i z rozwągą wszystko zaplanować.

Tymczasem bądź zdrowa, droga Siostró. Uważaj na siebie i na swojego nieocenionego małżonka, który, nawet o tym nie wiedząc, wiekopomne dobrodziejstwo świadczy naszemu Bractwu.

Oby dane nam było wkrótce się spotkać.

Twój brat Jakub

* * *

Złoty Stok przywitał Mikołaja i Izę sennym porankiem. Przy malutkim rynku, gdzie zaparkowali samochód, nic się nie działo. Sprzedawczyni ze sklepu, która wyszła zainteresowana przybyszami, skierowała ich w stronę kopalni. Zgodnie ze wskazówkami przejechali kilkaset metrów i porzucili samochód na żwirowym placu przed wejściem do muzeum.

Weszli do biura, gdzie oczekiwała ich Szyrska.

- Dzień dobry - przywitani się
- Dzień dobry - Szyrska była zaskoczona młodym wiekiem przybyłych. - Zawsze archeolodzy kojarzyli mi się z osobami przynajmniej w moim wieku

- powiedziała. - Usiądźcie proszę. Chyba, że wyskoczmy na kawę - spojrzała na zegarek. - Już powinno być otwarte.

- Chętnie - Mikołaj nie dał się zbić z tropu.

- Więc przyjechaliście obejrzeć skrzynię - stwierdziła Szyrska. - Dlaczego was tak zainteresowała?

- Zajmuję się badaniem okresu średniowiecza - Iza przejęła inicjatywę i kiedy zobaczyłam zdjęcie w gazecie...

- Średniowiecza? - Szyrska zdziwiła się.

- No właśnie. Zwykle takie graty oglądam w postaci zlepionej, bezkształtnej masy wykopanej z piwnicy, w której przez kilkaset lat przechowywano ziemniaki.

- Wie pani, nie sędzę, żeby skrzynia była aż tak stara.

- Dlaczego?

- Kochanieńka, gdyby drewno leżało w kopalni tak długo, to rozsypałoby się. Była pani kiedyś w kopalni?

- Nie - Iza była zdziwiona pytaniem.

- To będzie miała pani okazję. Tam jest po prostu mokro. Co prawda, znaleźliśmy skrzynię w suchej kawernie.

- Co to jest kawerna? - zapytał Mikołaj.

- Coś w rodzaju bąbla. Jak gwarkowie kopali chodnik, to zapewne natrafili na gniazdo rudy. Wybrali ją i powstało coś na kształt jaskini.

- Będziemy mogli zobaczyć to miejsce?

- Oczywiście, chętnie się z państwem przejdę. Tylko musimy się wyrobić do południa, bo mam wycieczkę zagraniczną, którą muszę podjąć osobiście.

- Oczywiście.

- Kochanieńka, a skąd pani wnosi, że skrzynia może być średniowieczna?

- Jest dosyć charakterystyczna dla późnego średniowiecza. Podobny model występuje na rycinach z czternastego i piętnastego wieku.

- Ciekawe.

- Co było w skrzyni?

- Czy mogę państwu zaufać? - spytała Szyrska.
 - Oczywiście.
 - Skrzynia była pusta. Włożyliśmy tam różne eksponaty z muzeum, żeby w ogóle wydrukowano artykuł w gazecie. Nie będę tego przed państwem ukrywała, bo jako fachowcy i tak się domyślicie, że jedno do drugiego nie pasuje.
 - Dziękujemy za szczerość - Mikołaj postanowił się zrewanżować - w takim razie i my pani coś zdradzimy.
 - Tak?
 - Ta skrzynia nie pochodzi stąd, przyjechała prawdopodobnie z Niderlandów. Myślę, że jeśli nasze przypuszczenia co do jej wieku się potwierdzą, to będzie miała pani małą sensację.
 - Chcecie ją zobaczyć teraz, czy zostawić was ze skrzynią, kiedy będę podejmować wycieczkę? Będziecie mieli dość czasu, żeby się jej przyjrzeć. Bo jeśli mamy zdążyć, to właściwie już musimy iść.
 - To daleko?
 - Jakieś dwa kilometry. Zabraliście ciepłe kurtki?
 - Tak, dziękujemy za przypomnienie.
 - W kopalni jest dość zimno i wilgotno. Chodźmy, wybierzecie sobie kałosze i kaski.
- Weszli w chłodne chodniki, wyposażeni w latarki i lampy górnicze. W kopalni było pusto i cicho. Mrok rozświetlało wątłe światło z wiszących u stropu co kilka metrów lamp.
- Uważajcie, na podłodze wije się wąż od pompy. Ta część kopalni jest niedostępna dla turystów, więc nie musieliśmy dbać o bhp.
 - Wypompujecie wodę?
 - Bez przerwy. Każda kopalnia, z której przestano by wypompuywać wodę, zostałaby zalana.
 - Jak stara jest ta kopalnia?
 - Dokładnie nie wiadomo. W dziesiątym wieku prowadzono tu regularnie wydobywanie - Szyrska odpowiadała z pewnością właściwą przewodnikiem.
 - Tak dawno? - zdumiał się Mikołaj.

- Prawdopodobnie jeszcze dawniej. Od dziesiątego wieku pobliski klasztor cystersów udzielał praw górniczych gwarkom.

- A ta część kopalni, gdzie odkryto skrzynię? - spytała Iza.

- Trudno powiedzieć. Mapy kopalni zostały zabrane do archiwum państwowego, ale one sięgały, z tego, co wiem, ledwie dwustu lat wstecz.

- Co zdarzyło się dwieście lat temu?

- Kopalnię kupił niejaki Guttler, który dysponował nową technologią uzyskiwania złota czy też arsenu. Od tamtej pory kopalnia i zakład mają dość dokładną dokumentację - jak to u Niemców - westchnęła. - Ja jej niestety nie mam. Popytajcie o pana Ciechana, który pasjonuje się Złotym Stokiem i pewnie ma więcej informacji niż ja. Właśnie dochodzimy do kaweriny, spójrzcie! - wyciągnęła rękę z latarką do góry.

- Da się tam wejść?

- Tak - machnęła latarką w mroczny kawałek chodnika - kawałek dalej jest drabina.

Mikołaj przyniósł drabinę, przystawił ją do czerniejącego otworu i zaczął się wspinać. Po chwili zniknął w otworze. Do Szyrskiej i Izy zaczęły docierać błyski flesza. Po chwili Mikołaj pojawił się ponownie w otworze i zaczął pokracznie schodzić tyłem.

- Wchodzisz? - spytał Izę.

- A co tam jest?

- Nic - zaśmiał się. Zrobiłem kilka zdjęć wnętrza, ale raczej nic ciekawego. U góry widać wąski jakby komin, odchodzący prawie pionowo w górę.

- To zapewne szyb wentylacyjny - wtrąciła się Szyrska - albo wybrana wąska żyła rudy.

- Wchodził tam ktoś?

- Nie, to zbyt niebezpieczne. Komin jest wąski i prawdopodobnie ślepy.

- Skąd to wiadomo? - zdumiał się Mikołaj.

- Przy takiej konfiguracji chodników mielibyśmy przeciąg. Różnica ciśnienia jest zbyt duża - pośliniła palec - nawet tutaj lekko wieje, a chodnik jest niemal poziomy.

- Jak znaleźliście tę kawernę? - spytała Iza.

- Eksplorując chodniki pod kątem rozszerzenia muzeum, odkryliśmy kawałek muru - poświeciła latarką - cała ta dziura była zamurowana.

- Ma pani może zdjęcie tego muru?

- Nie - Szyrska zdziwiła się.

- Dokąd prowadzi dalej ten chodnik? - Mikołaj odstawił drabinę na miejsce i wrócił.

- Jakies dwieście metrów dalej rozszerza się do dużej kawerny, która jest zalana wodą. Dalej najpewniej jest zawał.

- To co, wracamy? - Iza sprowadziła Mikołaja na ziemię. - Zimno mi.

- Wracamy.

Z ulgą wyszli z kopalni i przeszli do biura Szyrskiej.

- Poprosiłam, żeby przeniesiono skrzynię tutaj - otworzyła małe drzwi w gabinecie - bo normalnie jest na wystawie. Zostawię was samych. Dużo potrzebujecie czasu? - zapytała.

- Nie, sądzę, że dwie godziny powinny wystarczyć - odpowiedziała Iza. - Zrobimy dokumentację fotograficzną, pomierzmy skrzynię i jeśli pani pozwoli, pobierzemy próbki drewna.

- Jeśli tylko nie uszkodzicie, to proszę bardzo.

- To będzie pojedyncza drzazga. Proszę nam zaufać, wiemy, co robimy.

- Jest dość późno - popatrzyła na zegarek - więc możemy się już nie zobaczyć. Jak będziecie chcieli wyjść, to poproście panią z kasy, żeby zamknęła biuro. Do widzenia zatem - i mam nadzieję, że jeśli coś odkryjecie, to pierwsza się o tym dowiem? - uśmiechnęła się życzliwie.

- Oczywiście, proszę pani. Bardzo dziękujemy.

- Nie dziękujcie. Jeśli to odkrycie będzie coś warte, to może nie będę musiała związać interesu - popatrzyła smutno. - Ostatnio mam wrażenie, że pracuję wyłącznie z pasji. Dzięki kopalni przyjeżdża tutaj prawie sto tysięcy turystów rocznie, a ci krwio pijcy z magistratu ani myślą obniżyć mi czynsz za dzierżawę - powiedziała z goryczą.

Zadowoleni z takiego obrotu sprawy Iza i Mikołaj zabrali się do pracy. Najpierw przesunęli skrzynię pod okno, by mieć lepsze oświetlenie. Okazała się nadzwyczaj ciężka. Mikołaj ustawił statyw i zaczął robić zdjęcia, podczas gdy Iza wyjęła kserokopię obrazu Boscha i porównywała oba obrazy.

- Popatrz, są identyczne - szepnęła zdumiona.

- Nie mów hop - zgasił ją Mikołaj. Bierz się za pomiary.

Iza rada nie rada wyjęła miarkę i zaczęła mierzyć, zapisując wyniki w karcie. Mikołaj co chwilę zmieniał ustawienie aparatu. Następnie obrócili skrzynię na bok i przyjrzeni się dnu, ale nie odkryli niczego szczególnego. Bednarka tu i ówdzie była lekko pordzewiała, natomiast drewno okazało się idealnie zdrowe. Nie zauważyli dziur po kornikach, a drewno w każdym miejscu wydawało jednakowy, mocny dźwięk. Ze zdziwieniem zauważyli, że ani na skrzyni, ani na wieku nie było widać żadnych łączeń, tak jakby całość została wykonana z jednego kawałka drewna.

Nawet nie zorientowali się, kiedy minęły dwie godziny. Już zbierali się do wyjścia, kiedy weszła Szyrska. Odezwała się po angielsku do gości, którzy stali jeszcze niewidoczni w korytarzu:

- A tutaj mamy nasze ostatnie znalezisko, właśnie pracują nad nim młodzi archeolodzy z Wrocławia - do pomieszczenia weszło kilka osób.

W rozgardiaszu nikt nie zaważył konsternacji, która stała się udziałem trzech osób.

Iza z Mikołajem pożegnali się szybko z Szyrską i uciekli w popłochu z biura.

Trzecim uczestnikiem niezwyklej sceny była Gudrun Ettinger.

* * *

Siódma inicjacja szczytowania nie była ani łatwa, ani przyjemna. Marianna po przygodach z Duchem Świętym, który wcielił się w osobę leśniczego, zaczęła odczuwać natrętne swędzenie w obszarze łonowym. Spostrzegła brudnawe, podejrżane upławy oraz zaczęła odczuwać nieprzyjemny zapach podczas oddawania moczu. Siostra higienistka kazała moczyć intymne obszary w jakimś krochmalu, ale to nic nie pomagało. Doszło więc do wielkiego wydarzenia - pierwszej wizyty Marianny u ginekologa. Przyrządy, które młoda siostra zobaczyła w gabinecie przywiodły jej na myśl senne wizje. W mgnieniu oka wróciły emocje i rozkosze, których Marianna była bohaterką. Sama myśl o ponownym locie przybliżyła Mariannę do ekstazy i spazmów. A kiedy pani doktor rozpoczęła badanie, siostra właściwie odleciała do Boskiego raj. Zadbana pani doktor dotykając Mariannę zimnymi i śliskimi przedmiotami od razu doprawiła ją w błogi sen, w którym zobaczyła jak na jawie postać Jezusa, który trzyma ją za głowę, Matkę Boską, która pokazuje Mariannie, jak odbyć niepokalane poczęcie, i tłum rozkosznie niewinnych aniołków, które uciekają przed wielkim kolorowym orłem z zawadiacko zadartym i nabrzmiałym fallusem. Gdy pani doktor przypadkiem dotknęła jej punktu G, Marianna wybuchła jak wulkan, szczytując, siedmiokrotnie, raz za razem. Marianna była jednak tak skrępowana niecodzienną sytuacją, że zatrzymała eksplozję w środku. Tylko po jej błyszczących oczach i przyspieszonym oddechu można było coś poznać. Rozochocenie na więcej ostudziła prowadząca badanie precyzyjnym stwierdzeniem: no i złapała pani syfa. Tylko gdzie? Pewnie w publicznej toalecie. Proszę pamiętać, żeby nie siadać na klozecie pośladkami! A jeśli się kuca, to nie podczas spuszczenia wody! Wtedy właśnie może chlupnąć i zarazki wpadną nie tam, gdzie trzeba.

* * *

- Jesteś pewna, że to byli oni? - zapytała Helga.
- Najzupełniej - Gudrun nie miała najmniejszych wątpliwości.
- Poznali cię?

- Z pewnością. I byli zaskoczeni przynajmniej tak jak ja.
- Cholera.

Siedziały w podrzędnej kawiarni, pijąc lurowatą kawę. To było jedyne słowo, jakie zrozumiała po angielsku apatyczna kelnerka. W lokalu unosił się nieprzyjemny koktajl zestarzałego zapachu papierosów i płynu do mycia podłóg. Najwyraźniej poranek nie był najlepszą porą na espresso w Złotym Stoku.

Znudzona kelnerka czytająca wyświechtany tygodnik podniosła głowę, gdy do lokalu wtargnął dwumetrowy blondyn. Rozejrzał się i podszedł do Gudrun i Helgi.

- Coś działałeś, Jens? - spytała Gudrun.
- Tak - uśmiechnął się. - Mamy skrzynię.
- Jak tego dokonałeś?! - popatrzyły na niego zdumione.
- Kupiłem ją - kiwnął głową w stronę zaparkowanego przed kawiarnią mercedesa. - Jest na pace.
- Żartujesz chyba?
- Nie. Dałem jej do zrozumienia, że ten mebel nie ma więcej niż sto lat i że zrobi świetny interes, jeśli mi go sprzeda.
- I sprzedała? - Helga nie mogła się nadziwić. - Przecież to jest warte majątek!
- Nie zapominajcie, że nie jesteśmy w Holandii - uśmiechnął się Jens.
- Jak to wywieziemy? - spytała Helga.
- Na bezczelnego, tak myślę. Ta skrzynia nie wygląda na bardzo starą, a na granicy nie powinni nas zatrzymywać. Tyle że musimy wyjechać jak najszybciej, bo jak się nasi młodzi naukowcy dowiedzą, to mogą zawiadomić pograniczników i będzie problem.
- Jens, wiesz, co to znaczy? - spytała Gudrun niepewnie.
- Co masz na myśli? - Jens nie zrozumiał pytania.
- Skoro oni tam byli, to znaczy, że skojarzyli skrzynię z obrazem Boscha.
- No niestety. Ale zadbam, aby Nicholasowi odechciało się prowadzenia badań - znacząco potarł wielką piść.

- Zwariowałeś? A jak ktoś cię złapie? - Helga wciąż czuła się policjantem.

- Stawka jest zbyt wysoka. Mogą pokrzyżować nam plany, a wtedy wokół naszego Bractwa zaczną robić się gorąco.

- Kiedy zamierzasz to zrobić?

- Dziś wieczorem - Jens podniósł głowę. - Ale mamy pewien problem.

- Mianowicie? - Gudrun i Helga popatrzyły pytająco.

- Nie wiemy, gdzie oni mieszkają. Więc proponuję dopić kawę i wyruszyć szybko do Wrocławia.

- A jeśli się zorientują, że ktoś ich śledzi? Mogą skojarzyć holenderskie tablice rejestracyjne - zgłosiła swoje wątpliwości Helga.

- Trudno, nie mamy innego wyjścia - Jens przywołał wzrokiem kelnerkę. Bez słowa położył na tacy pięćdziesiąt złotych i dał ręką znak, że reszty nie trzeba, co wywołało spore zdziwienie na jej twarzy.

Wsiadli do samochodu i wyruszyli powoli w stronę Wrocławia.

- Myślicie, że to nasza skrzynia? - spytała nieoczekiwanie Gudrun.

- Nie znam się na tym, ale wygląda podobnie. Jakiś fachowiec będzie się musiał wypowiedzieć, akurat w tym przypadku niepodobna o falsyfikat czy pomyłkę. Mam tylko nadzieję, że w przypadku negatywnej weryfikacji Bractwo zwróci mi dziesięć tysięcy euro, które za nią zapłaciłem.

- Dziesięć tysięcy euro? - zapytały jednocześnie.

- Na początku chciała trzydzieści. Ktoś - uśmiechnął się ponuro - uświadomił ją, że to może być bardzo stare.

- Miejmy nadzieję, że to prawdziwa skrzynia. Na wieku nie ma róży. No i skąd mogła się tutaj wziąć?

- Myślałem o tym trochę - Jens wykazał się błyskotliwością. - I jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że skrzynia jest częścią hitlerowskiego skarbu, który został ukryty gdzieś na Dolnym Śląsku pod koniec wojny.

- Skąd o tym wiesz? - zdziwiła się Helga.

- Moja matka pochodzi z Wrocławia. To było drugie pod względem ważności miasto III Rzeszy. To tutaj zbudowano jedną z pierwszych autostrad z Berlina i to tutaj koncentrowały się niemieckie wojska ustępujące przed Sowietami i Polakami.

- A co wiadomo na temat skarbu, jak go nazywasz? - spytała Gudrun.

- Wiadomo, że nie odnaleziono do dziś wielu bardzo dobrze skatalogowanych dzieł sztuki oraz kosztowności. A sporo osób opowiadało o złotym pociągu, który opuścił Wrocław i wjechał w jakąś górę na południu. Podejrzewa się nawet, że wśród tych kosztowności miała być bursztynowa komnata.

- Miałoby to być tutaj? - zdziwiła się Helga. - Przecież dość łatwo przeszukać taką kopalnię?

- Wprost przeciwnie. Ta kopalnia ma ponad tysiąc lat. Mnóstwo niedokumentowanych chodników, sztolni, upadowych. To są setki kilometrów, dziś bardzo trudno dostępnych. Nie typuje się jej jako prawdopodobnego miejsca ukrycia - Jens powiedział to z miną człowieka, który wie więcej - ale...

- Co ale?

- Ale właśnie to miejsce było wprost idealne!

- Powiesz nam więcej, czy mamy każde słowo z ciebie wyciągać?

- Po pierwsze, przy kopalni od jakichś stu lat była niemiecka fabryka prochu.

- I co z tego?

- To, że jako zakład strategiczny, była pod ciągłym nadzorem służb bezpieczeństwa. Miejscowość była zamknięta dla przybyszów, dokumentacja utajniona i - co ważne - przez cały czas pozostawała w niemieckich rękach.

- O, to ciekawe. Myślisz, że już sto lat temu stosowano współczesne metody kontroli ludności?

- To jest ewidentne. Przed wyjazdem przegrzebałem Internet i dotarłem do przedwojennego spisu ludności. Żadnego Żyda, żadnego Polaka, żadnego Cygana. A pamiętajcie, że we wszystkich miejscowościach dookoła te trzy nacje mieszały się dość powszechnie.

- Brzmi wiarygodnie - oceniła Helga.
- A poza tym, była tu wygodna bocznicą kolejowa, gdzie bez żadnych podejrzeń mógł wjechać pociąg.
- Skoro to takie oczywiste dla obcokrajowca, to z jakiego powodu nikt dotąd nie doszedł do takich samych wniosków i nie rozpoczął eksploracji?
- Bo tu cały czas jest zakład o znaczeniu strategicznym - odpowiedział Jens.
- Wiesz, może to ma jakiś sens. Tylko, jak to możliwe, że znaleziono tylko skrzynię? I dlaczego była pusta?
- Nie wiemy, czy była pusta, to raz. I nie wiemy, czy czegoś jeszcze nie znaleziono, to dwa. Ale - proponuję zatrzymać się w tej zatoczce i zaczekać na naszą parę. Tu jest na tyle duży ruch, że nie powinni nas zauważyć.

* * *

Mikołaj i Iza wyszli w oślepiające słońce i wsiedli do samochodu. Na parkingu przed wejściem do kopalni przybyło sporo turystów, przywiezionych dwoma autokarami oraz kilkoma samochodami osobowymi. Nie zwrócili uwagi na mercedesa na holenderskich numerach rejestracyjnych.

- Co ona, do cholery, tu robi? - zaklął Mikołaj.
 - Sądzę, że wpadli na trop skrzyni - odpowiedziała Iza. - Może podjedziemy gdzieś na kawę?
 - Chętnie - Mikołaj wysiadł i zapytał znużonego strażnika, który stał opodal. - Gdzie tu można się napić kawy?
- Strażnik popatrzył na zegarek i odpowiedział:
- Tutaj jeszcze pół godziny przerwy będzie, ale o tej porze to pewnie tylko w Złotym Jarze.
 - A gdzie to jest?
 - Pojadą państwo do rynku, a tam już są drogowaskazy. Trzeba trochę gruntówką podjechać pod górę, ale niedaleko.
 - Dziękujemy.

W dziesięć minut dotarli na miejsce. Usiedli pod parasolkami na zewnątrz starego ponemieckiego schroniska, gdzie kelnerka przyniosła im parzoną po polsku kawę w szklankach. Popatrzyli zniesmaczeni, ale szybko doszli do wniosku, że widoki, świeże powietrze oraz szemrzący opodal potok rekompensują niedostatki gastronomiczne.

- Dzień dobry, państwu - nad stolikiem wyrósł wysoki, szczupły i trzymający się prosto mężczyzna. - Wiem, że przyjechali państwo oglądać skrzynię - powiedział wyjaśniająco.

- Skąd pan...

- Och, to małe miasteczko. Wszyscy się znają, wszyscy wszystko wiedzą. Można się przysiąść?

- Oczywiście - Mikołaj odsunął krzesło.

- I jak tam nasze odkrycie? Wiecie, starego człowieka wszystko interesuje, a mnie szczególnie, bo pasjonuje mnie wszystko, co związane z tym miasteczkiem.

- Dokonałiśmy oględzin skrzyni. Wygląda na bardzo starą, ale więcej będziemy wiedzieć po przeanalizowaniu zdjęć i porównaniu ich z zachowanymi rycinami i eksponatami z przeszłości.

- Jak stara? - spytał mężczyzna rzeczowo.

- Na pewno ma więcej niż sto lat - Mikołaj postanowił nie odkrywać wszystkich kart.

- Akurat przysyłałiby archeologów do stuletniej skrzyni. Mało takich powsiach?

„Szcwany lis, dałem mu się podejść”, pomyślał Mikołaj.

- Wolimy być ostrożni do czasu, kiedy nie będziemy pewni - Iza włączyła się do dyskusji.

- Byliście w kopalni z Aurelią?

- Aurelią? A, tak. Byliśmy.

„Jest zabójczo przystojny”, pomyślała Iza. Rzeczywiście, przybysz miał szczupłą, ogorzałą twarz oraz przenikliwe, żywe spojrzenie. „Clint Eastwood”, przezwała go w myślach.

- To może zaspokoicie moją ciekawość i powiecie, co może oznaczać sowa...

- Jaka sowa?! - wykrzyknęli oboje.
- Aurelia nie pokazała wam sowy?
- Nie.
- Obok wejścia do kawerny w skale wykuta była sowa.
- Żartuje pan? Niczego nie widzieliśmy. A Mikołaj nawet wchodził do kawerny, więc chyba...
- Niczego tam nie widziałem.
- Cholera - starzec zasępił się. - Może przy strzelaniu została odłupana.
- Przy jakim strzelaniu?
- Kawerna była zamurowana i Aurelka ją odstrzeliła. Nie powtarzajcie tego, proszę - popatrzył na dwoje młodych ludzi surowo.
- Niech pan zaczeka - Iza poderwała się z krzesła i pobiegła do samochodu. Sięgnęła do kserokopii obrazu i oddarła fragmenty umożliwiające identyfikację autora. Wróciła ze świstkiem i pokazała starcowi.
- Czy tak wyglądała?
- Mężczyzna odsunął kartkę od twarzy w wyciągniętej dłoni, zmrużył oczy.
- Tak. Co prawda bez okularów nie widzę zbyt wyraźnie, ale wyglądała bardzo podobnie. Co to jest?
- Najpewniej sygnatura stolarza, który wykonał skrzynię - skłamała Iza.
- Czas na nas.
- Już musicie jechać? Szkoda. Nawet nie zdążyliśmy się poznać, ale niech tam. Jeśli będziecie tu kiedy, to chętnie z wami porozmawiam. Pytajcie o Ciechana, każdy mnie tutaj zna.

* * *

Wielce Szanowny Mistrzu Jeroen!

Mam nadzieję, iż podczas mojego pobytu na dworze księżącym nasz Raj zaczął przybierać właściwą formę. Pisałeś mi ostatnio, że ukończyłeś scenę rodzajową i że kiedy zobaczę efekt, zaniemówię z wrażenia. Drogi Jeroenie, absolutnie w to nie wątpię. Nie powierzyłbym Ci tego dzieła, gdybym nie żywił niezachwianej pewności, że tak je wykonasz, by

patrzącym na nie mowę odbierało. Dziękuję za Twoje zaproszenie, oczywiście z największą chęcią przybędę odwiedzić Ciebie i Twoją Szanowną Małżonkę. Niecierpliwie oczekuję chwili, w której będę mógł zobaczyć kolejny fragment obrazu. Przyznam, że szczególnie ciekawi mnie osoba niewiasty, towarzyszącej Chrystusowi w Raju po jego lewej stronie. Coś mi mówi, że przy tej postaci Twoja artystyczna fantazja wzniosła się na szczyty możliwości.

Niedawno miałem osobliwy sen, może proroczy. Otóż śniło mi się, że wprowadziłeś mnie do swojej pracowni i odsłoniwszy zakryty obraz, tak do mnie rzekłeś: „Spójrz, mecenasie, jak będzie wyglądać raj, gdy na ziemi zapanuje Królestwo Tysiąclecie”. Spojrzałem - i pierwsze, co przykuło mój wzrok, to były trzy istoty ludzkie. Dwie namalowane tak, jak Ci zleciłem, a trzecia była nagim mężczyzną. Ty zaś tłumaczyłeś: „Człowiek w szkarłatnej tunice to Chrystus, długowłosa kłęcząca niewiasta to Ewa, a druga niewiasta jakoś nie komponowała się z całością, bo przecież w Raju, który wszyscy znają z Pisma Świętego, nie było więcej niewiast. Dlatego postanowiłem tę drugą uczynić mężczyzną”. Dziwny sen, nieprawdaż Jeroenie?

Skoro, jak mi pisałeś, fragment z rajem masz już prawie gotowy, podam Ci ogólne wskazówki co do centralnej części obrazu. Mają zajmować rozległy ogród, z licznymi wodnymi zbiornikami i wspaniałą roślinnością, równie piękną jak ta, którą umieściłeś w lewoskrzydłowym Raju. Tutaj także wprowadź przeróżną zwierzynę i ptactwo. Mogą to być istoty realne, ale mogą też być fantastyczne, jakie sam wymyślisz. I sprawa najważniejsza - dzieci Adama. Im więcej ich zgromadzisz, tym lepiej. Jak zapewne się domyślasz, znając pobieżnie idee naszego Bractwa, wszystkich mieszkańców ogrodu musisz stworzyć takimi, jakimi Bóg stworzył naszych praprzodków i jakimi do dziś wychodzimy na ten świat z łona naszych matek, zanim nas przyodzieją i zanim nam wmówią, że człowiek niezakryty kawałkiem tkaniny dopuszcza się bezceństwa. Resztę szczegółów wyjawię Ci w stosownej porze.

Tymczasem, drogi Przyjacielu, przekazuję Ci pozdrowienia od księcia Filipa, z którym w czasie mojej bytności w jego pałacu wiele o Tobie rozmawialiśmy. Książę ogromnie sobie ceni Twój malarski kunszt, o czym już nieraz Ci wspominałem. Ale - co mnie niebywale zaskoczyło i Ciebie

zapewne równie zaskoczy - pochlebnie o Twojej osobie wyrażała się także małżonka Filipa, księżna Joanna. To miła i urodziwa młoda dama, a przy tym całkiem rozsądna się wydaje, choć mawiają o niej, jakoby była niespełna rozumu albo i opętana przez siły nieczyste. Rzadko opuszczała swoje komnaty, toteż nie miałem sposobności zbyt dobrze jej poznać. Wszelako uczyniła na mnie wrażenie, a jedyna wada, jaką u niej dostrzegłem, polegała na tym, że gdziekolwiek się pojawiła, nie odstępował jej orszak hiszpańskich dworaków i katolickich mnichów, przysyłanych przez jej rodziców, chyba jako dodatek do ślubnego posagu. Dlatego w jej obecności zawsze trzeba było uważać na każde słowo, bo jakakolwiek nierozważna wypowiedź mogła zaprowadzić człowieka przed Trybunał Inkwizycji. Musiałem zachować zdwojoną ostrożność, co czasem bywało trudne, gdyż - jak to zwykle w siedzibie władcy, nawet należącego do ortodoksyjnej dynastii - niemal codziennie urządzano huczne biesiady, suto zakrapiane zacnymi trunkami. Staralem się nie przekraczać miary, lecz zarazem nie mogłem nadmierną wstrzeźliwością wyróżniać się spośród reszty uczujących, bo to by zwróciło na mnie uwagę i niektórym nasunęło podejrzenia, iż żydowski neofita gardzi chrześcijańskim niekoszernym poczęstunkiem. Nie uwierzyłbyś Jeroenie, jakimi zawołanymi opojami okazali się ascetyczni duchowni ze świty księżnej. Ale żaden nie dorównał w tej dziedzinie dworskiemu kapelanowi. Przysięgłbym, że zwykły śmiertelnik przez rok tyle wina nie zdoła wchłonąć, ile ów ksiądz podczas jednej uczyty. A trzeźwości nie tracił nigdy. Gdy inni kapłani już w pijackim zamroczeniu leżeli na stole i pod stołem, on jeden pozostawał przytomny. Widocznie tak go mszalne wino zahartowało.

Byłbym zapomniał, drogi Jeroenie, Księżę przysyła Ci w podarunku baryłkę najprzedniejszego trunku ze swoich piwnic. Stary, dobry rocznik. Z Hiszpanii. Dlatego wysłałem dwoje sług - jednego z listem, a drugiego z winem. Wino wypij i za moje zdrowie też choćby jeden toast spełnij. A list - kiedy tylko przeczytasz - rzuć w ogień. Inaczej żaden toast na wiele się nie zda, bo moim zdrowiem zajmą się inkwizyjni kaci. Twoim zresztą także. A takich medyków nie życzę ani sobie, ani Tobie.

Twój mecenas i przyjaciel
Jacob Almaengien, Philips van Sint Jaan

* * *

Mikołaj z Izą późnym popołudniem dotarli do mieszkania Mikołaja na Krzykach. Ich uwadze po raz kolejny umknął jadący za nimi ciemnograny mercedes kombi. Byli zbyt przytłoczeni wypadkami całego dnia, by zwracać uwagę na śledzący ich samochód.

- Jemy coś?
- Chce ci się robić? - spytał Mikołaj.
- Coś jeść musimy, skrzynia skrzynią, ale bez jedzenia daleko nie zajdziemy.
- Może w takim razie skoczę wywołać zdjęcia, a ty zajmij się jedzeniem, dobrze?
- Dobra, tylko wracaj szybko. I jakbyś mógł, kup zieloną pietruszkę.
- W sobotę o tej porze? - zdziwił się Mikołaj.
- Nie marudź, tylko spróbuj.

Nagle Mikołajowi strzeliło coś do głowy. Wpadł z aparatem do kuchni i zaczął fotografować zaskoczoną Izę.

- Zgłupiałeś?
- Nie, chcę tylko poprawić średni wiek obiektów na zdjęciach - roześmiał się.

Wyszedł i wsiadł do citroena, który nie zdążył jeszcze ostygnąć po podróży. Gdy wyruszył z ciemnej uliczki, w lusterku dostrzegł zapalające się światła samochodu. Auto ruszyło za nim i mimo że nie przywiązał do tego żadnej wagi, to przemknęła mu przez myśl absurdalna obawa, że jest śledzony. Bez przeszkód dojechał do centrum handlowego przy Hallera, gdzie zamówił odbitki 20x30. Miały być gotowe na drugi dzień.

Gdy wysiadł z samochodu pod domem, było już ciemno. Od pierwszego kroku czuł coś dziwnego w powietrzu. Miał wrażenie, że w bramie dostrzegł jakąś postać, więc przyspieszył kroku.

Nagle ktoś zarzucił mu na głowę worek i zacisnął sznurek na szyi. Poczul kilka ciosów w twarz. Przewrócił się i stracił przytomność.

Obudził się na noszach w karetce, ktoś świecił mu w oczy latarką i pytał o imię. Nie był w stanie odpowiedzieć, bo w ustach czuł zgęstniałą krew,

a każdy ruch, ba! każdy wybój na drodze wywoływał nowy spazm bólu. Spod zapuchniętych powiek dostrzegł tylko przerażoną Izę i już za chwilę ponownie stracił przytomność.

* * *

Jens gratulował sobie znakomitej kondycji. Mimo stu dwudziestu kilogramów wagi trzysta metrów dzielące go od Citroëna pokonane szybkim biegiem nie wywołało nawet zadyszki, tym bardziej nie mogło zmęczyć go te kilka ciosów i kopniaków wymierzonych Mikołajowi. Przeszukał kieszenie chłopaka, aby stworzyć pozory napadu, wyciągnął z jego portfela banknoty, a następnie wrzucił go do kosza na śmieci kilkanaście metrów dalej.

„Bez urazy, to nic osobistego” usprawiedliwił się w myślach i szybkim krokiem odszedł w stronę zaparkowanego w ciemnym miejscu mercedesa. Ruszył szybko i dopiero kilkaset metrów dalej zdecydował się włączyć światła. „Chyba niczego nie zaniedbałem”, pomyślał, wyrzucając przez okno zamszowe rękawiczki, które zdjął z dłoni.

- Co mu zrobiłeś? - spytała cicho Helga z tylnego siedzenia.
- Trochę obiliśmy mu głowę, no i może mieć kłopoty z oddychaniem na jakiś czas. Nie martwcie się, zęby ma całe i zdrowe. Nie jestem katem.
- O, z pewnością. A buty? - Helga najwyraźniej nie miała żadnych skrupułów.
- Co: buty? - burknął.
- Musisz się ich pozbyć. Policja zapewne zabezpieczy ślady z miejsca pobicia.
- W walizce mam tylko mokasyny, które niezbyt pasują do dwurzędowej marynarki i garniturowych spodni.
- To przebierz się w dżinsy - powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu Helga. - A buty trzeba wyrzucić, najlepiej na jakimś moście.
- Przestań, masz obsesję zawodową. Pamiętaj, że jesteśmy na terenie Unii Europejskiej, więc dopóki nie przekraczamy przepisów drogowych, dopóty kontrola jest prawie niemożliwa.

- Zapomniałeś, że chłopak albo dziewczyna mogli skojarzyć nasz samochód. A Polska nie jest jeszcze w Schengen, więc na granicy przynajmniej ktoś obejrzy nasze twarze.

- Okay, tylko się nie denerwuj, dobrze?

Dalej podróżowali w milczeniu. W jakiejś wsi zjechali w gruntową drogę przy moście, gdzie pozbyli się butów Jensa i uzgodnili wersję wydarzeń na wypadek kontroli na granicy. Wsiedli do samochodu i już po dwudziestu minutach dojechali do przejścia granicznego w Gubinie. Mimo że była czwarta rano, na przejściu stało kilka samochodów. Kontrola ograniczała się do spojrzenia do środka samochodu na pasażerów i od czasu do czasu porównaniu zdjęć w paszportach z twarzami podróżnych. Gdy zbliżyła się ich kolej, polski pogranicznik tylko kiwnął głową, żeby jechali dalej.

Gdy mijali opustoszałe niemieckie rogatki, Jens kątem oka zauważył, że w ciemnej budce zapaliła się czerwona lampka rozświetlając twarz drzemiącego najwyraźniej Niemca. Nie niepokojeni jednak sunęli powoli, omijając słabo oświetlone szlabany przy drodze.

Wtem, ni stąd, ni zowąd, z odległej o sto metrów budki po niemieckiej stronie wybiegło dwóch ubierających się w biegu żołnierzy. Po stronie polskiej dał się słyszeć pisk opon i już po chwili naprzeciwko mercedesa stanął landrover, świecąc długimi światłami na pasażerów. Niemieccy żołnierze dobiegli i odbezpieczyli broń automatyczną, dając do zrozumienia, że nie ma żartów. Helga popatrzyła zdumiona na Jensa, ale ten najwyraźniej był tak samo zaskoczony rozwojem wypadków. Już chciał wysiąść, ale Helga złapała go za rękaw:

- Zwariowałeś? Jak wyjdiesz, to cię zastrzelą. Takie są procedury - wyjaśniła. - Trzymaj ręce na kierownicy i czekaj.

Do mercedesa podjechały jeszcze dwa polskie landrovery oraz niemiecka terenówka, z której wysiadł wysoki, potężnie zbudowany żołnierz w berecie. Wyjął broń z kabury i podszedł do samochodu. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym żołnierz lufą pistoletu nakazał Jensowi wysiąść.

- Dobry wieczór - odezwał się po niemiecku.
- Dobry wieczór - odpowiedział Jens, wystraszony. - Co się dzieje? Dlaczego zostaliśmy zatrzymani w ten sposób?
- Co państwo wiozą w samochodzie? - spytał żołnierz.
- W samochodzie? Trochę rzeczy osobistych.
- Proszę powoli przejść na tył samochodu i otworzyć bagażnik.

Jens na trzęsących się nogach wykonał polecenie, kalkulując, co się mogło stać. „Cholera, przecież nie może im chodzić o zabytek, gdyby tak było, niepotrzebny byłby cyrk z trzymaniem nas pod lufą” - myślał.

- Co to jest? - żołnierz odsunął roletę i wskazał na skrzynię.
- To? Skrzynia, którą kupiliśmy na pamiątkę. Jest bardzo piękna.
- Proszę otworzyć wieko - polecił żołnierz, nie zmieniając tonu. Jens otworzył wieko. W skrzyni były torby Helgi i Gudrun oraz garnitur Jensa. Włożyli je tam, gdyż skrzynia była na tyle duża, że zajęła cały bagażnik. Żołnierz poświecił latarką i kazał otworzyć torby. Nie znalazłszy w środku niczego ciekawego, zadysponował:

- Przejdą się państwo z moimi kolegami do tego budynku - wskazał ręką. - Musimy szczegółowo sprawdzić państwa samochód.
- Ale co się stało? - zapytał Jens.
- Nie mogę panu udzielać informacji. Proszę o współpracę - jego ton nieco złagodniał.

Cała trójka została odprowadzona do strażnicy, gdzie zamknięto ich w małym pomieszczeniu bez okna. Po dwudziestu minutach zasuwa szcęknęła i do środka wszedł ten sam żołnierz, który ich zatrzymał.

- Musimy państwa zatrzymać.
- Z jakiego powodu? - Jens już był niemal pewien, że nie chodzi o zabytek.

- Napędzili nam państwo niezłego stracha. Wasz samochód świeci jak mała głowica jądrowa - zaśmiał się. - Zareagowała bramka, która monitoruje poziom promieniowania pojazdów przejeżdżających granicę. Nie znaleźliśmy prawdę mówiąc niczego, ale musimy poczekać na fachowców od tych spraw. Nasze liczniki są mało czułe.

- Kiedy będziemy mogli pojechać dalej? - spytała Helga.
- Na razie nie mają państwo czym. Dalsza jazda waszym samochodem jest niebezpieczna dla zdrowia. Poza tym musimy państwa zatrzymać do czasu ustalenia źródła tak silnego promieniowania.

* * *

Mikołaj powoli otworzył oczy. W szpitalnej sali było jasno, a do nozdrzy doszedł ostry zapach środków odkażających.

- Słyszysz mnie pan? - usłyszał.
- Tak. Co się stało? - wymamrotał.
- Został pan napadnięty i pobity. Jak się pan czuje?
- Boli mnie. Wszystko mnie boli - próba zmiany pozycji była ponad siły Mikołaja. - Najbardziej klatka piersiowa.

- Ma pan odbite płuca, złamane trzy żebra. Kilkadziesiąt siniaków, wstrząśnienie mózgu, parę nieciekawych wybroczyn po ciosach w twarz - wyrecytował lekarz. - Kto pana tak urządził?

- Nie pamiętam. Ktoś zarzucił mi coś na głowę i niczego nie widziałem.
- Jak pan nabierze sił, to chciałby się z panem zobaczyć ktoś z policji.
- Rozumiem. A gdzie Iza?
- Była już dzisiaj i ma przyjść około siedemnastej. Utrzymywaliśmy pana w stanie śpiączki fizjologicznej od wczoraj. To rutynowe postępowanie w takim przypadku - wyjaśnił. - Czy poza bólem w płucach i na twarzy coś panu dolega? Jakiś ból wewnętrzny? Może pan ruszać wszystkimi kończynami?
- Chyba wszystko w porządku. Rzygać mi się tylko chce.
- To normalne po narkozie, powinno przejść w ciągu pół godziny. Jeśli pan chce, tutaj jest nerka.
- Dam radę. Kiedy będę mógł wrócić do domu?
- W zasadzie już jutro. Musimy pana poobserwować, ponieważ stany po wstrząśnieniu mózgu mogą być groźne. Jeśli pan może, proszę się przespać.

Po wyjściu lekarza Mikołaj zapadł w płytki sen. Obudził się zupełnie rześki i wypoczęty. Dopiero po chwili zauważył zatroskaną twarz Izy.

- Cześć, Iza - uśmiechnął się słabo.

- Miki...

- Daj spokój - uniósł się bohatersko na łokciach - nie jest tak źle.

- Wiem. Jeszcze trochę i zrobię doktorat z ortopedii. Kto to był?

- Nie mam pojęcia. Zginęło mi coś?

- Chyba tylko portfel. Kluczyki od samochodu leżały obok, albo je ktoś wyrzucił, albo wypadły ci i napastnik ich nie zauważył. Dużo miałeś pieniędzy?

- Nie bardzo, jakieś dwieście pięćdziesiąt złotych. Coś tam było na kartach, ale niewiele. Nasze wakacje trochę wyczyściły limity kredytowe.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł policjant. Machnął legitymacją:

- Dzień dobry, aspirant Gąsiorowski. Możemy porozmawiać?

- Oczywiście - odpowiedział Mikołaj.

- Pani jest... - policjant zawiesił głos.

- Narzeczoną. Czy może zostać?

- Jeśli tylko nie ma pan nic przeciwko, to ja tym bardziej.

Policjant wyciągnął małe notesik i długopis. Otworzył go na pierwszej, niezapisanej stronie i zaczął wypytywać o zdarzenia sprzed dwóch dni. Mikołaj usiłował sobie coś przypomnieć, ale niewiele pamiętał.

- Aha - powiedział policjant na odchodne - znaleźliśmy pański portfel. - Wyciągnął z kieszeni portfel zapakowany w foliową torebkę. - Proszę sprawdzić, co zginęło.

Mikołaj wziął portfel i otworzył.

- W zasadzie tylko pieniądze, jakieś dwieście pięćdziesiąt złotych. Nawet karty są - zdziwił się.

- To się często zdarza, jeśli sprawcami pobić jest miejscowy element. Nie dotyczą kart, bo wiedzą, jak łatwo wpaść z takimi fantami. Na dodatek

to była niedziela wieczór, więc obiektywnie trudno byłoby nimi za coś zapłacić.

- Alkohol na stacji benzynowej?

- Odpada, wszyscy wiedzą, że tam jest monitoring. A nocne sklepy rzadko przyjmują karty.

- No tak.

- To ja sie, pożegnam. Niestety będę musiał pana jeszcze raz wezwać w celu sporządzenia oficjalnego protokołu.

- Oczywiście.

Gdy policjant wyszedł, Mikołaj przypomniał coś sobie i jeszcze raz sięgnął po portfel. Odetchnął z ulgą, kiedy znalazł kwitek z punktu fotograficznego.

- Jaki dziś dzień? - spytał Izę.

- Wtorek.

- Masz tutaj kwit z Kodaka. Dasz radę odebrać? To punkt z centrum handlowego przy Hallera, na parterze.

- Dziś już nie zdążę, ale jutro przyniosę je w godzinach odwiedzin. Kiedy cię wypiszą?

- Pewnie jutro, ale sądzę, że raczej nie rano.

Iza wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie miała odwagi. Mikołaj popatrzył na nią pytająco. Zaczerwieniła się tylko.

- O co chodzi?

- Nie będziesz się gniewał? Widziałam się z Marcinem.

- Po co? - Mikołaj nie miał najwyraźniej z tym problemu, co wyraźnie uspokoiło Izę.

- Dowiedziałam się, że jest w mieście i postanowiłam zwrócić mu klucze. I przy okazji odebrać kilka klamotów.

- I co, i co? - Mikołaj ożywił się.

- Już chyba ma kogoś, więc raczej nie ma do mnie żalu.

- Fiu, fiu, szybko się uwinął.

- Jak wiesz, natura nie znosi próżni.

- Powiedziałaś mu o mnie? - zapytał Mikołaj.

- Nie. Dajmy już temu spokój, powiedziałaś ci, żebyś wiedział.

- Dobra, a co z próbką?
- Wyniki będziemy mieli jutro.
- Super. Nie wiem, jak ci dziękować. Słuchaj - Mikołajowi nagle przyszło coś do głowy - czy wy z Marcinem... no, wiesz...
- Nie, nic z tych rzeczy. Marcin ma swoje lata, a ja moją nieco odmienną seksualność zaczęłam odkrywać po tym, jak zaciągnęłam cię do łóżka.
- Ty mnie?

Po raz pierwszy od tygodnia popatrzyli na siebie ze zrozumieniem i tęsknotą za czymś, co utracili w wirze nieprawdopodobnych wydarzeń.

- Przyniosłam ci laptopa - powiedziała Iza. - Przyda ci się.

* * *

Mikołajowi udało się uruchomić Internet i już po chwili dostał się do poczty elektronicznej. W szpitalnej sali siedział zupełnie sam, tylko przez uchylone drzwi widział pielęgniarki drepczące tam i z powrotem. Szpitalny zapach i blade sodowe lampy dopełniały całości. Czuł się nie najgorzej, chociaż każdy gwałtowny ruch powodował klucie pękniętych żeber.

W poczcie odnalazł mejl, który już miał usunąć, gdyż wyglądał jak klasyczny spam. Jego treść była bardzo krótka: „Keep away from the case. Next time you'll be not so lucky”.

Po plecach przeszły mu ciarki. Myśl o tym, że padł ofiarą nie pospolitego bandyty, ale kogoś, kto prawdopodobnie nie zawahał się zamordować Paula, przeraziła go. Co więcej, ten ktoś wie, gdzie Mikołaj mieszka. „O Boże, gdzie jest Iza?”, przemknęło mu przez myśl.

Popatrzył na zegarek. Było po drugiej w nocy. Po chwili wahania chwycił za telefon komórkowy i zadzwonił.

Iza odebrała i spytała śpiącym głosem:

- Co się dzieje?

Po drugiej stronie usłyszała wyraźne westchnienie ulgi.

- Miki?

- Tak. Przepraszam, że cię budzę.
- Co się stało? - głos Izy brzmiał już przytomnie.
- Grożą mi. To nie było przypadkowe pobicie.
- Żarty sobie ze mnie stroisz?
- Nie! - Mikołaj podniósł głos. - Ktoś zabił Paula, a teraz grozi mi. Do-

stałem mejla.

- Balesz się o mnie? - spytała zmienionym głosem.
- Tak.

Po obu stronach zapadło kłopotliwe milczenie, tak jakby wydało się coś, o czym żadne z nich nie chciało rozmawiać.

- Nie wychodź, proszę, z domu. Wróć sam taksówką - rzucił Mikołaj w słuchawkę.

- Nie wpadaj w paranoję. Co ci napisali? - zapytała zmartwiona.

- Żebym się trzymał z daleka od skrzyni i że następnym razem nie będzie taryfy ulgowej.

- Ktoś się podpisał?

- Nie. Adres z Yahoo, pewnie nie da się dojść do właściciela.

- Bądź spokojny. Jutro tylko pojedę do centrum handlowego i odbiorę zdjęcia. Informacje o dacie naszego pudła kolega ma mi przekazać telefonicznie.

- Dobrze. Uważaj na siebie. Oni, kimkolwiek są, wiedzą, gdzie mieszkamy.

- Okay. Do jutra.

- Pa.

Mikołaj nie mógł zasnąć. Wynikało to po trosze z tego, że wyspał się za wszystkie czasy, a po trosze z obawy przed nieznanym, którego nieopatrznie dotknął. Na szpitalnym korytarzu zapanowała cisza. Szumiały tylko urządzenia, pikały systemy monitorujące, hałasowała wentylacja. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie, a Mikołaj poczuł, jak serce wyskakuje mu z piersi. Pielęgniarka podeszła do niego, i zapisała coś w karcie. Mikołaj udał, że śpi. „Naprawdę wpadam w paranoję”, uświadomił sobie po chwili.

„*Kodeks Nuttall*”, przypomniał sobie Mikołaj „trzeci element podpierający dysertację Paula”. Uruchomił komputer i zaczął przeszukiwać pod tym kątem Internet. Bardzo szybko trafił na obszerny blog prowadzony przez Susan Fargo Gilchrist. Spojrzał z niechęcią na zdjęcie autorki, starszej siwej kobiety. Szybko wyłuskał ideę jej poszukiwań - dopatrzyła się w tryptyku *Ogród ziemskich rozkoszy* chronologii z prekolumbijskiego kodeksu. Nie-wiele mu wprawdzie mówiły obco brzmiące określenia: nauhatl, tecpatl. Dalej dopatrzył się jeszcze sugestii, że *Włóczęga* musiał powstać już po domniemanej śmierci Boscha, ponieważ wyraźnie odwołuje się do ogłoszenia dziewięćdziesięciu pięciu tez Lutra, co nastąpiło w 1517 roku. Wbrew pierwszemu wrażeniu blog nie szukał niczego tajemniczego, raczej skupiał się na wyjaśnieniu skomplikowanej symboliki.

„Ona chce rzetelnie wytłumaczyć tę symbolikę. Nie przyszło jej do głowy, że przecenia Boscha”, pomyślał. „Zapytam ją może, co by było, gdyby czas przestał być problemem”, postanowił. Wysłał mejla na adres podany na blogu, zamknął komputer i po chwili zasnął.

* * *

- Wszystkie zdjęcia są mocno prześwietlone - Iza weszła energicznie do pokoju Mikołaja.
- Niemożliwe!
- A jednak - rzuciła na łóżko koperty z punktu usługowego.
- Niemożliwe. To znaczy nie wiem, jak to się mogło stać. Aparat działał w trybie automatycznym. Dotąd nigdy mnie nie zawiódł.
- Może klisze były stare?
- Pokaż - sięgnął ręką po koperty. - Na filmie zwykle jest data produkcji - wyjaśnił. - Nie rozumiem. Filmy są świeże, od dwóch różnych producentów. Może w labie prześwietlili i teraz strugają wariata?
- Chyba mało prawdopodobne - Iza zamyśliła się. - Mam co prawda kilka zdjęć z cyfrowki, ale nie są rewelacyjne. W tym pomieszczeniu było dosyć ciemno - rozłożyła ręce.

- Trudno, jak wydobrzeję, to jeszcze raz pojedziemy do Złotego Stoku. A jak tam wieści od kolegów z wydziału?

- Mam dzwonić koło trzynastej - popatrzyła na zegarek. - To za godzinę.

Nagle drzwi lekko się uchyliły. Do sali wszedł młodziutki ksiądz, z brodą i wąsami do złudzenia przypominającymi Chrystusowe i spytał:

- Pochwalony, czy życzy pan sobie spowiedzi świętej?

- Nie, dziękuję - odpowiedział Mikołaj.

Dotarło do niego po chwili, że ksiądz nie wyszedł, tylko stoi i uporczywie się w niego wpatruje.

- Może jednak? - mrugnął porozumiewawczo do Mikołaja.

- Dobrze - powiedział wbrew sobie Mikołaj.

- Czy możemy panią prosić, żeby wyszła na chwilę - odezwał się ksiądz do Izy.

Iza poczuła, że dzieje się coś niepokojącego, co więcej poczuła coś w rodzaju *déjà vu* - tak jakby gdzieś słyszała ten głos, ale wspomnienia sięgały czegoś podświadomego. Spojrzała pytająco na Mikołaja. Ten uspokajająco skinął głową i odpowiedział:

- Iza, daj nam dwie minuty, proszę.

Gdy Iza opuściła salę, ksiądz przysunął do wezłowania Mikołaja biały szpitalny stołek i odezwał się:

- Słuchaj. Nie wiem, w co się wplątałeś i ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Mam ci tylko przekazać, że jesteś obserwowany i że masz być - rozejrział się z obawą - rozważny. Zapamiętaj - rozważny.

- Ale...

Ksiądz wstał, nie czekając na pytania Mikołaja i pożegnał się zdawkowo.

- Z Bogiem, synu.

- Kto to był? - Iza wpadła do sali jak burza. - Od kiedy jesteś wierzący?

- Nie jestem. Dawał mi znaki, więc...

- Jesteś nieostrożny. Ale trudno. Czego chciał?

- Powiedział mi, że jestem obserwowany i żebym był rozważny.
- Tylko tyle?
- Tylko tyle. Może odpuścimy?
- Żartujesz chyba! - zachnęła się Iza. - Teraz? Kiedy wiemy, że coś jest na rzeczy?
- Ten cholerny ksiądz mnie jakoś wystraszył.
- Przecież im o to chodziło, nie rozumiesz?
- Wiesz, tego mejla zignorowałem, bo co w końcu mogą mi zrobić jacyś maniacy z Holandii. Ale najwyraźniej wiedzą, gdzie mieszkam, wiedzą, jak wyglądasz. Znają mój adres mejlowy. I chyba zaangażowany jest w to Kościół.
- Pewnie chcieli dać ci to do zrozumienia. A może pójdziemy na policję? Tego księdza da się pewnie namierzyć.
- Nie wygłupiaj się. Co powiemy? Musielibyśmy opowiedzieć o śmierci Paula, a tego chciałbym uniknąć.
- Nie zgadzam się na przerwanie naszego śledztwa - powiedziała Iza stanowczo. - Wciągnęło mnie to. A ty pokaż, że nosisz portki, kurde.
- Kłopotliwą ciszę przerwał telefon Izy.
- To kumpel w wydziale - ożywiła się. - Najwyraźniej się pospieszyli.
- W trakcie rozmowy twarz jej stężała, a ciekawość ustąpiła strachowi. Iza machinalnie odłożyła słuchawkę i popatrzyła tępo na Mikołaja.
- Co się stało? Jest wynik?
- Tak, a właściwie nie. Nie dało się ustalić daty, bo skrzynia wydziela gigantyczne promieniowanie jonizujące.
- Drewno?
- To jest właśnie najdziwniejsze. Drewno samo z siebie nie będzie promieniować. W skrzyni musiało przez jakiś czas znajdować się bardzo silne źródło promieniowania.
- To dlatego zdjęcia nie wyszły - domyślił się Mikołaj.

- Jest gorzej. Jeśli zdjęcia nie wyszły, to i my otrzymaliśmy potężną dawkę promieniowania.

- Cholera, może ta kopalnia promieniuje? Gdzieś w Sudetach były złoża uranu.

- Albo w naszej skrzyni jednak coś było.

- Kto ją mógł tam schować? Jak myślisz? - drażył Mikołaj.

- Może to jednak Niemcy?

- Wszystko na to wskazuje. Oni przed końcem wojny pracowali nad bombą atomową. Może, uciekając przed Rosjanami, właśnie w tej skrzyni ukryli materiały rozszczepialne.

- Żartujesz? Przecież ta skrzynia jest mała?

- Wiesz, jaką wielkość miał rdzeń bomby, która spadła na Hiroszimę?

- A niby skąd mam wiedzieć? Mój mądrała wie to na pewno - roześmiała się - więc ja nie będę sobie zaprzętała głowy pierdołami!

- Miała wielkość pomarańczy.

- No co ty? - Iza otworzyła szeroko oczy. - Przecież na zdjęciach to wygląda jak spora bomba?

- Bomba miała detonatory, sterowanie i reflektor - pancierz z ładunkami, które miały za zadanie ścisnąć materiał rozszczepialny w małą kulę.

- Ale skoro kawerna była zamurowana, to gdzie podział się materiał rozszczepialny? Nie myślisz chyba, że Szyrska...

- Nie. Możliwe natomiast, że ktoś po wojnie go ukradł.

- Przecież ta kopalnia była ściśle strzeżona. To mało prawdopodobne.

- Chyba masz rację. Z drugiej strony taki kawałek plutonu czy uranu nawet dzisiaj jest wart dziesiątki milionów dolarów. Jeśli ktoś wiedział, gdzie jest schowany rdzeń, to mógł przekupić każdego, żeby się do tego dostać. Czy mamy jakąś szansę, aby dowiedzieć się, jak stara jest skrzynia?

- Pozostaje dendrochronologia. Ale do tego będziemy potrzebowali większego kawałka drewna.

- Na czym polega ta metoda? - zaciekawil się Mikołaj.
- Pobiera się wycinek drewna, na którym widać słoje. Każdy słoje oznacza przyrost roczny pnia drzewa, ma różną grubość w zależności od tego, jaki klimat panował danego lata. Porównuje się takie sekwencje ze skalami dendrochronologicznymi.

- Czyli jeśli mamy sekwencję na przykład ciepło, ciepło, zimno, ciepło, zimno - to wiadomo, że taki układ miał miejsce w określonym przedziale lat, tak?

- Mniej więcej. Problemem może być pobranie próbki, trzeba ją wyciąć szwidrem. Szyrska może się na to nie zgodzić, a z drugiej strony trudno będzie ukryć fakt wyrżnięcia dziury.

- Może się zgodzi - Mikołaj był optymistą.

- Zostawmy to może. Przyniosłam Fraengera - wyjęła grubą książkę z plecaka. - Zdjęcia są na tyle dobre, że możemy porównać skrzynię z obrazem.

Iza szybko odnalazła reprodukcję *Śmierci skąpca*. Pracowali w milczeniu, biorąc kolejne odbitki i porównując je z reprodukcją. Po chwili Iza wyjęła notatnik, w którym zapisała wymiary skrzyni, oraz linijkę, którą zaczęła mierzyć skrzynię na obrazie. Sprawdziła proporcje szerokości, wysokości i głębokości oraz wielkości elementów zamka i zdobień.

Popatrzyli na siebie bez słowa. Skrzynie były identyczne.

* * *

W drzwiach celi, w której siedział Jens, zazgrzytał klucz. Strażnik więzienny bez słowa wpuścił dwóch mężczyzn i wyszedł, zamykając celę od zewnątrz. Białe światło włączonej przez gościa okratowanej świetlówki rzucało nieostre cienie na podłogę, wyrывая Jensa z krótkiej drzemki.

- Dzień dobry, panu - odezwał się krepy mężczyzna w wyświechtanej marynarce. - Jestem prokuratorem.

Drugi mężczyzna, który okazał się tłumaczem, zagulgotał po holendersku do Jensa, który wyraźnie odetchnął z ulgą. Ostatnia doba, którą

spędził samotnie w celi bez słowa wyjaśnienia i bez możliwości skontaktowania się z konsulatem, bardzo go przygnębiła. Telefon komórkowy rozłądował się w czasie pierwszej rozmowy, w której zawiadomił swojego protektora o zatrzymaniu.

- Czy wie pan, dlaczego został zatrzymany?

- Wspominano mi na granicy, że skrzynia, którą przewoziłem samochodem, wzbudziła czujniki promieniowania ustawione na granicy, czy coś w tym rodzaju.

- Mniej więcej - grubas uśmiechnął się ponuro. - Nasi technicy przebadali tę skrzynię i nie stwierdzili niczego podejrzanego. Najprawdopodobniej przechowywany był w niej materiał promieniotwórczy, który spowodował wtórną jonizację metalowych okuć. Nie znam się na tym zbyt dokładnie, ale - zawiesił głos i poczekał na przetłumaczenie - muszę zadać panu kilka pytań.

- Oczywiście - Jens zaczął intensywnie myśleć, ale doszedł do wniosku, że ze względu na uwięzione osobno Helgę i Gudrun nie ma sensu kłamać.

- Skąd ma pan tę skrzynię?

- Kupiłem ją od administratorki kopalni złota w Złotym Stoku. Przedwczoraj - dodał.

- W jakim celu?

- Skrzynia mi się po prostu spodobała.

- Co pan robił w Złotym Stoku? - indagował śledczy.

- Zwiedzałem wasz kraj. To chyba nie jest zabronione?

- Oczywiście, że nie.

Śledczy nie zadał następnego pytania, ponieważ rozległo się pukanie, a po chwili zgrzyt zasuw. Strażnik wprowadził młodego, szczupłego mężczyznę i skinął głową, wskazując śledczego. Młody człowiek podszedł do niego i przez chwilę mówił mu coś do ucha. Następnie wyjął z wewnętrznej kieszeni legitymację i ukradkiem pokazał. Grubas skinął głową, po czym trzydziestolatek bez słowa wyszedł z celi.

- Mam dla pana dwie wiadomości: dobrą i złą.

- Tak? - Jens ożywił się.

- Dobra jest taka, że może pan kontynuować podróż, to znaczy pan razem z towarzyszkami. Jest pan wolny.

- Rozumiem, że nie będzie pan mnie już przesłuchiwał?

- Nie będę. Sprawę przejmuje Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ale oni nie wyrazili chęci na zebranie wyjaśnień. To już nie moja sprawa - rozłożył ręce.

- A zła wiadomość?

- Musimy zatrzymać skrzynię. Po pierwsze, emituje niebezpieczne promieniowanie, a po drugie, mamy informację, że może być zabytkowa.

- Zabytkowa? Chyba pan żartuje - zachnął się Jens.

- Proszę pana - powiedział surowo śledczy. - Zgodnie z polskim prawem za zabytek uznaje się praktycznie wszystko, co ma powyżej pięćdziesięciu lat. Nasz ekspert określił przypuszczalny wiek skrzyni na około sto!

- Czy mogę w takim razie wystąpić o pozwolenie na wywóz przedmiotu?

- Nie sądzę. W takim przypadku orzekany jest standardowo przepadek mienia na rzecz skarbu państwa lub zwrot do pierwotnego właściciela. W tym drugim przypadku będzie pan mógł dochodzić zwrotu zapłaconej ceny od sprzedawcy.

- Chryste, zapłaciłem za nią dobrych kilka tysięcy - jęknął Jens.

- Tym bardziej trudno uwierzyć, by miał pan dobre intencje - skrzywił się śledczy. - Do widzenia.

Po kilku minutach do celi przyszedł strażnik i skinieniem głowy polecił Jensowi udać się za sobą. Po załatwieniu formalności i zwrocie dokumentów wyszedł przed budynek, gdzie czekały na niego Helga i Gudrun.

- Kilka razy dzwonił Pere - powiedziała Helga. - Nie mógł się do ciebie dodzwonić.

- Domyślam się. Telefon mi się rozładował.

- W każdym razie to dzięki niemu zostaliśmy uwolnieni.

- Pere? Tutaj? - zdumiał się Jens. - Nigdy bym nie przypuszczał, że jego macki mogą sięgać aż do tak dzikiego kraju. Niestety, mam złe wiadomości - powiedział smutno. - Zabrali nam skrzynię. Raz z powodu promieniowania, dwa, że jakiś ichni ekspert dopatrzył się, że to jest zabytek.

- Żartujesz chyba?

- Niestety nie. Pocieszające jest jednak to, że określili wiek skrzyni na jakieś sto lat. Amatorzy - zaśmiał się bez satysfakcji.

- Co się z nią teraz stanie? - zapytała cicho Gudrun.

- Przepadła na rzecz skarbu państwa lub zwrócą ją tej administratorce kopalni.

- W tym drugim przypadku jest szansa na jej odzyskanie.

- Czy ja wiem? Drugi raz będzie bała się ją sprzedać. Teraz może zasłaniać się niewiedzą - Jens był sceptyczny.

- Już ja zadbam o to, żeby ją oddała - Helga popatrzyła znacząco. - Nie będą sobie z nas kpić.

* * *

Droga Siostró Aylet!

Witam Cię po czasie znacznie dłuższym, niż się spodziewałem. W gościnie u księcia Filipa miałem zabawić parę dni, a przeciągnęło to się do niemal dwóch tygodni. Oby wszelkie dobra ziemskie i doczesne stały się udziałem mojego chrzestnego patrona, który ostatnimi czasy nieocenione mi oddaje przysługi. Choćby teraz. Dzięki temu, że podarował Twojemu małżonkowi wino, zyskałem pretekst, by pchnąć do Was naraz dwóch gońców i jednemu z nich dać pismo dla Ciebie.

Bądź spokojna Siostró, Twój list w ubiegłym tygodniu dotarł do mnie bez przeszkód. Wprawdzie książęca rezydencja jest pilnie strzeżona, ale nasi współpracownicy, którzy pełnią dworską służbę, potrafią załatwiać różne sprawy. Wiedzą, gdzie są tajne przejścia, które ściany są grube, a które mają uszy jak u nietoperza, których wartowników da się przekupić jedną monetą, a którzy żądają całej szkatuły. Tak więc Twoją przesyłkę otrzymałem i powiem szczerze, iż ucieszyłem się, przeczytawszy to, co napisałaś mi o kolejnej części Raju. Zwłaszcza twój opis fontanny wielce mnie

zaciekawil. Jeśli to istotnie tak fantastyczny twór (a znając Twojego męża, nie wątpię, iż tak jest), to nasz Mistrz wywiązał się z zadania doskonale. Rajska fontanna musi wyglądać jak zjawisko pozaziemskie, jak przedmiot z innego świata, albo z innych czasów. Z dalekiej przyszłości, której ani my nie doczekamy, ani nasze wnuki.

Wróćmy jednak do dzisiejszych czasów. Siostró Aylet, być może wkrótce zdarzy się coś niesłychanego. Coś, co jeszcze nie nastąpiło w całej kilkunastowiecznej historii naszego Bractwa. W ciągu owych prawie czterestu stuleci bywali wśród nas i ubodzy, i bogaci, i wieśniacy, i mieszczenie, i szlachta, i magnaci, i nawet katolicycy duchowni. Ale jeszcze nigdy do naszego Bractwa nie wstąpił członek rodu panującego. A tym bardziej rodzony syn cesarza. Tymczasem, droga Siostró, właśnie taka możliwość zaistniała. Jak wiesz, Księżę Filip w nasze sprawy wtajemniczony jest od dawna i wielką nam zawsze okazywał życzliwość. Wszelako nawet w najśmielszych prognozach nie przypuszczałbym, aby zechciał kiedykolwiek stać się jednym z nas. Sprzyjać adamickiemu bractwu skrycie, to jedna rzecz, lecz być adamitą, to rzecz całkiem inna. Gdyby cesarz się dowiedział? Albo teściowie? Albo choćby żona, która wprawdzie zdawała mi się dobrą istotą, ale przecież w jej żyłach płynie krew hiszpańskiego króla Ferdynanda i hiszpańskiej królowej Izabeli, a raczej nie krew, tylko święconą wodą zabarwioną krwią innowierczych ofiar. A jednak księżę Filip, jakkolwiek jeszcze się waha, wydaje się już niemal całkiem przekonany. Nie odradzałem mu tego ani też go nie namawiałem. Niech sam zdecyduje.

Swoją drogą, w jego pałacu czas upłynął mi bardzo miło. Choć byłoby jeszcze milej, gdybym na każdym kroku nie musiał opędać się od hiszpańskich i rzymskich szpiegów w habitach. Zwłaszcza jeden osobliwie zawziął się na mnie i przy każdej okazji pytał, czy nadal chodzę do synagogi i czy świętuję w soboty, czy w niedziele. A sam w piątek zajadał się wołowiną, wieprzowiną, baraniną i najprzedniejszą dziczyzną, stale przy tym powtarzając: „Nie samym chlebem żyje człowiek „. Twierdził, że papież dał mu dyspensę i że na Sądzie Ostatecznym i tak Bóg będzie miał dość roboty z heretykami i innowiercami, więc tym, którzy w piątki nie poszczą, piekło nie grozi, bo tam dla nich miejsca nie starczy.

Skoro już mowa o Sądzie Ostatecznym, dowiedziałem się niedawno, że obraz o takim tytule książę Filip chciałby zamówić na prośbę księżnej, która - jak mi powiadano - w swoich komnatach lubi gromadzić różne dewocyjne dzieła. Taki zwyczaj ponoć wyniosła z rodzicielskiego dworu. O tym obrazie z księciem w ostatnich dniach wcale nie mówiliśmy, tylko niektórzy jego dworacy mnie na ten temat zagadywali, wiedząc, że bliską utrzymuję znajomość z Twoim mężem.

Jeroen zaprosił mnie do Waszego domu, toteż wkrótce się zobaczymy.

Tymczasem żegnam Cię, droga Siostrzo.

Twój brat Jakub

* * *

Mikołaj z Izą opuścili szpital jeszcze tego samego dnia wieczorem. Zopatrzony w rozpinany, plastikowy gorset oraz kulę, którą miał się podpierać, Mikołaj przed wejściem na klatkę schodową rozejrzał się z przestraszeniem. Nikogo jednak nie było. Z pomocą Izzy wszedł na trzecie piętro kamienicy. Z ulgą stwierdził, że zamek w mieszkaniu jest zamknięty, niemniej odnotował w myślach konieczność jego niezwłocznej wymiany.

- Susan Fargo się odezwała - powiedział do Izzy znad komputera.
- Kto to?
- To ta babcia od bloga, w którym udowadnia relacje między *Kodeksem Nuttall* a symboliką Boscha.
- A, pamiętam.
- Najwyraźniej zainteresowała się tematem. Proponuje telekonferencję na skype.
- Świetny pomysł. A wiemy, co chcemy osiągnąć?
- Dobre pytanie - Mikołaj przypomniał sobie, że Iza potrafi całkiem sprawnie myśleć. - Może powiemy jej, do czego doszliśmy, i zobaczymy.
- Warto byłoby jednak mieć jakiś konkretny temat - Iza była sceptyczna.
- Podala w mejlu nicka na skype - Mikołaj zdziwił się. - Do głowy by mi nie przyszło, że taka babcia może używać Internetu.

- Może jest pracownikiem naukowym - zauważyła Iza - nawet u nas w katedrze wszyscy używają przynajmniej poczty elektronicznej. Dziś' nie da się być naukowcem bez Internetu.

- Chyba masz rację. O, jest online - ucieszył się. - To co - zaczepiamy ją?
- Próbuj.

Mikołaj założył słuchawki z mikrofonem, jedną podał Izie. Nacisnął przycisk połączenia i już po chwili usłyszeli w słuchawkach głos starszej pani. Był cichy, spokojny, ale tak wyraźny, że wydawało im się, że Susan siedzi obok w fotelu.

- Hello, Nicholas - odezwała się.
- Susan? Jak miło cię słyszeć.

Wymienili uprzejmości. Bardzo szybko poczuli, jakby znali się od dłuższego czasu. Była to niewątpliwie zasługa Susan, która przedstawiła się im jako pracownik naukowy wydziału historii na uniwersytecie, którego nazwy nie zrozumieli mimo znakomitej, niemal oksfordzkiej dykcji starszej pani.

- Susan, przeczytaliśmy twój blog bardzo dokładnie - Mikołaj mówił w imieniu swoim i Izy, którą przedstawił jako współpracowniczkę - ale czy mogłabyś nam naświetlić na dużym poziomie ogólności, do czego zmierzasz?

- Oczywiście. To najczęstsza prośba, jaką dostaję z Internetu. A wystarczy uważnie czytać - zachichotała. - Traktuję ten blog jak notatnik, który czasem się odzywa i podpowiada mi drogi analizy.

- Czy to znaczy, że nie wiesz, czego szukasz?

- Otóż to, młody człowieku. Na samym początku zafascynował mnie *Ogród ziemskich rozkoszy*, oczarował mnie do tego stopnia, że postawiłam sobie za punkt honoru zrozumieć przesłanie tego dzieła. I tak się zaczęło.

- Doszłaś do czegoś? - spytał Mikołaj.

- Na pewno do tego, że teraz rozumiem mniej niż na początku. Oczywiście, udało mi się z dużą dozą prawdopodobieństwa dociec przesłania autora w szczegółach. Niestety, im więcej szczegółów rozumiałam, tym mniej ogarniałam całość.

- Co pani sądzi o Bractwie Wolnego Ducha? - zapytał Mikołaj.
 - Ta interpretacja jest nieco prymitywna. Nie zrozumcie mnie źle - nie chcę powiedzieć, że jest nieprawdopodobna, tylko, przykro by mi było, że moje badania to tylko fantazje.
 - To może powiedz nam w skrócie o swoich odkryciach.
 - Najważniejsze to konotacje między *Kodeksem Nuttall* a obrazem Boscha. Możecie się z tego śmiać, ale całościowa analiza tego prekolumbijskiego dokumentu daje znacznie silniejsze wrażenie niż proste porównywanie szczegółów.
 - Ale wiesz przecież, że nie byłoby to możliwe?
 - Znaczy co? - obruszyła się Susan.
 - Że Bosch miał dostęp do tego kodeksu - wyjaśnił Mikołaj.
 - Wiem. Dlatego tłumaczę to tym, że kodeks i Bosch zainspirowało to samo nieznane nam źródło.
 - To implikuje wprost, że ten źródłowy dokument musiał dostać się jakoś z Ameryki do Europy jeszcze przed Kolumbem.
 - To przecież nic dziwnego - Susan wpadła mu w słowo. - Jak wiadomo, w Ameryce byli z pewnością wikingowie.
 - Nie w południowej - przerwał Mikołaj.
 - Tego nie wiadomo. Ale na pewno były kontakty Ameryki z Azją przez cieśninę Beringa, a poza tym... poza tym, w mitologii Majów jest biały, brodaty człowiek, jak pewnie wiecie.
 - Niby tak - głos Mikołaja był jednak sceptyczny.
 - Zostawmy to - poprosiła Susan. - Drugą grupą moich spostrzeżeń są gwiazdozbiory umieszczone jawnie lub w przenośni na obrazach Boscha.
 - W jakim celu?
 - Nie wiem i doprowadza mnie to do szału - odpowiedziała Susan. - Ale są prawie na każdym obrazie. Może teraz wy opowiecie o swoich badaniach.
- Mikołaj streścił odkrycia ostatnich tygodni, nie ukrywając praktycznie niczego. Susan interesowały głównie podstawy przypuszczenia, że Bosch mógł mieć dostęp do obrazów z przyszłości.

- Rozumiecie - jeśli istnieją naukowe podstawy waszych hipotez, to wszystko staje się dla mnie jasne - podsumowała starsza pani.

- Gdzie można obejrzeć ten cały *Kodeks Nuttall*?

- Jest kilka wydawnictw, ale mam lepszy pomysł.

- Tak?

- Zdaje się, że na jakimś uniwersytecie w Polsce wyklada gościnnie mój kolega, który jest specjalistą od kultury prekolumbijskiej. Nazywa się Schleimkoch. Spróbujcie go odnaleźć i powołajcie się na mnie. Sądzę, że chętnie was zamęczy wyjaśnieniami zawilej symboliki tego kodeksu.

- Na jakiej uczelni wyklada?

- Pojęcia nie mam, ale to jakieś studia kulturoznawcze czy językowe. Niestety straciliśmy kontakt parę lat temu, więc nie pomogę. Kochani, muszę już kończyć. Studenci na mnie czekają. Odezwijcie się jeszcze, niezależnie od tego, co uda wam się ustalić.

- Dziękujemy - wybąkał Mikołaj.

- Nie ma sprawy. Miło mi bardzo, że moje hobby może się komuś przydać. Schleimkoch - zapamiętaliście?

* * *

- Nic z tego - Iza z wściekłością rzuciła słuchawkę na widelki - ta cipa powiedziała, że nie mamy po co przyjeżdżać.

- Jaka cipa? - zdziwił się Mikołaj.

- Szyrska - rzuciła Iza. - Zadzwońłam do niej zapytać, kiedy możemy przyjechać i wykonać dodatkowe badania.

- A co jej to szkodzi?

- Nie chciała powiedzieć. Nie, i koniec.

- No to klops - odpowiedział Mikołaj. Nie poznamy daty powstania skrzyni - powiedział rozgoryczony. - Nie znasz jakiegóż innej metody?

- Nie bardzo. Tylko porównawcze, ale one są niepewne.

- Na czym polegają?

- Na porównywaniu wyglądu czy też techniki wykonania z przedmiotami z różnych epok. Ale tutaj będzie kiepsko, bo materiał porównawczy jest ubogi. Ani sposób obróbki drewna, ani typ zamka, ani bednarka nie są niczym specyficznym. Gdybyśmy mieli jakiś gwóźdź - zastanowiła się - to byłoby coś, ale tam nie było widać żadnych gwoździ.

- Szkoda. A może ten starszy człowiek ze Złotego Stoku mógłby nam pomóc?

- Ciechan? To jest jakaś myśl - ożywiła się Iza.

- Może po prostu pojedziemy tam w sobotę i najpierw spróbujemy przekonać Szyrską, a jeśli się nie uda - to odszukamy Ciechana.

- Nie mamy nic do stracenia.

- To co robimy do soboty?

- Może spróbujemy odnaleźć Schleimkocha?

- Świetny pomysł - Mikołaj uśmiechnął się. - Całkiem bym o nim zapomniał.

Odnalezienie właściwej uczelni oraz telefonu nie było trudne. Uniwersytet Warszawski, wydział neofilologii, Instytut Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich, doktor Łukasz Schleimkoch. Idąc za ciosem, zadzwonili, ale telefon po drugiej stronie uparcie milczał.

Wtedy rozległo się pukanie. Mikołaj podszedł do drzwi i w wizjerze zobaczył ubranego po cywilnemu księdza, który odwiedził go w szpitalu. Na palcach odsunął się od drzwi.

- To ten ksiądz - wyszeptał do Izy.

- Ten ze szpitala?

- Tak jakby.

- Boję się. Może nie otwieraj - Iza popatrzyła z obawą na Mikołaja.

- Co nam może zrobić ksiądz? - uchylił drzwi.

- Dzień dobry. Czy mogę? - ton księdza był niemal proszący i spokojny.

- Proszę.

- Dzień dobry - powiedział do Izy. - Nie zajmę, wam zbyt wiele czasu - usprawiedliwił się.

- Czy jest pan prawdziwym księdzem? - spytał Mikołaj.

- Tak - odpowiedział nieznajomy i odchylił bordowy, wełniany golf, by pokazać koloratkę. - Ale przychodzę, przynajmniej na razie, niesłużbowo.

- Przynajmniej na razie?!

- Och, proszę mnie źle nie rozumieć, miałem na myśli tylko tyle, że każdy kiedyś może potrzebować księdza - wyjaśnił. - Ale do rzeczy.

- Napije się pan czegoś? - Iza podkreśliła słowo „pan”.

- Chętnie, jeśli mogę prosić kawę.

Iza wyszła do kuchni. Tymczasem nieznajomy zainteresował się grubym albumem Fraengera, poznaczonym notatkami Mikołaja i Izy. Uśmiechnął się pod nosem i zaczął kartkować album, czekając na powrót Izy.

- Wybaczcie, że się nie przedstawię - przeszedł szybko do konkretów, kiedy już wygodnie usiedli na miękkiej sofie. - To - zastanowił się chwilę, dobierając odpowiednie słowo - niepotrzebne. Moja wizyta w szpitalu była, że tak powiem, służbowa, natomiast ta jest półprywatna.

- A czemu ją zawdzięczamy? - przerwał Mikołaj, któremu przestawał się podobać ktoś, kto nie chciał nawet podać swojego imienia.

- Jak zapewne zdążyliście się zorientować, wpłataliście się w dość niebezpieczną historię.

- Doprawdy? - Iza była zgryźliwa.

- Mało wam ostatniej awantury? Tak szybko wydobrzałeś? - spytał Mikołaja.

- Zdaje się, że powinniśmy porozmawiać z policją - odezwała się Iza do Mikołaja i sięgnęła po słuchawkę.

- I co powiecie? Że wiecie, kto pobił Mikołaja, i że jest to ksiądz? Dajcie mi szansę, proszę. Hardenne...

- Hardenne?! - wykrzyknęła Iza.

Skinął głową.

- Postanowiłem, wbrew zasadom zresztą, spróbować przemówić wam do rozsądku - powiedział skupiony. - Sprawa, o której przypadkiem się dowiedzieliście, przerasta i mnie, i was, i biednego Paula. Liczę na to, że jeśli poznacie kilka szczegółów, to dacie spokój.

- Co to za sprawa? - spytał Mikołaj.

- Właściwie to sam niewiele wiem. Jestem szeregowym funkcjonariuszem kościelnym. Spróbuję powiedzieć to, co wiem, a raczej - co mogę powiedzieć.

- Słuchamy więc.

- Jesteś bardzo uważnym obserwatorem, Mikołaj - ksiądz popatrzył z uznaniem.

- Może darujmy sobie uprzejmości.

- To nie uprzejmości. Chodzi o to, że wnioski, do których doszedłeś sam, a może z pomocą tej pięknej niewiasty i Paula - świeć Panie nad jego duszą - zajęły poważnym badaczom całe lata.

- Skąd to wiesz?

- Staramy się monitorować wszystkich poważnych badaczy kultury. Zresztą nie tylko kultury.

- Kogo jeszcze?

- Na przykład różnych okultystów. To nie przypadek, że współcześnie uważa się ich za nieszkodliwych wariatów. Nie zawsze tak było - powiedział znacząco. - Trzeba było wpompować grube miliony dolarów, żeby taki Konwent Syjonu został uznany za zabawę dla dorosłych.

- A nie jest to zabawa?

- Niezupełnie. To znaczy teraz tak. Natomiast fakty historyczne, na które powoływała się ta organizacja, nie przestały być faktami.

- Czy pan jest od nich?

- Nie - zaśmiał się szczerze ksiądz. - Chciałem wam tylko uświadomić, jak dużą władzę mają moi mocodawcy.

- Kim oni są? - spytał Mikołaj wprost.

- Kościół Rzymskokatolicki - odpowiedział ksiądz bez namysłu. - To chyba naturalne w przypadku księdza?
- Ach, tak. Czego więc dotyczy, jak pan ją nazwał, sprawa?
- Mogę się tylko domyślać, niestety - rozłożył ręce. - Na pewno dotyczy żywotnych interesów Kościoła, gdyż mimo mojej stosunkowo niskiej pozycji w hierarchii raportuję bezpośrednio do papieskiego sekretarza.
- Z tego spotkania też się pan wypowiada? - spytała Iza.
- Nie, mówiłem, że to półprywatna wizyta. Ale do rzeczy. Domyślałam się powagi sprawy, więc chciałam do was zaapelować.
- O co? - przerwała Iza.
- O rozsądek. Ta sprawa ma bardzo wysoki priorytet i jednocześnie klauzulę najwyższej tajności.
- Mówi coś panu nazwa Bractwo Wolnego Ducha?
- O, o tym też wiecie - popatrzył z uznaniem. - Tak. Swego czasu Kościół miał z nimi poważny problem, skończyło się dość krwawo. Ale od ponad czterystu lat ta organizacja współpracuje z Kościołem bardzo blisko.
- Co pan...
- Oczywiście, że tak. Jak wiecie, Kościół nie jest monolitem. Składa się z setek, jeśli nie tysięcy autonomicznych struktur - zakonów, bractw, organizacji przykościelnych. Część z nich działa niejawnie, jak choćby egzorcyci czy organizacje finansowe.
- Finansowe?! - zdumiał się Mikołaj.
- Nie bądźcie naiwni. Chyba nie sądzicie, że organizacja tak majątna i dobrze urządzona nie korzysta z rynków finansowych. To byłaby głupota. Natomiast ze zrozumiałych względów działalność taka jest dobrze zakonspirowana. Nasze Bractwo jest także dobrze ukryte, zupełnie z innych względów.
- Z jakich?
- Tego nie mogę powiedzieć. Ale musicie wiedzieć, że możemy dużo. Oczywiście wiecie, że skrzyni ze Złotego Stoku nie ma już w Polsce?
- Coraz mniej zaczyna mi się to podobać - Iza pokręciła głową.

- To akurat było legalne. Skrzynia została uczciwie kupiona, jedynie do jej wywozu prawo mogłoby mieć pewne zastrzeżenia. Ale, ostatecznie, nie należy ona ani do Polski, ani do żadnego jej obywatela. I to już wszystko, co mam do powiedzenia, chyba i tak przekroczyłem granice - zastanowił się przez chwilę.

- Dlaczego ta skrzynia jest taka ważna?

- Nie jest taka ważna. To raczej pamiątka z naszej historii. Ale dość już powiedziałem - zakończył stanowczo.

- Czego pan oczekuje?

- Że przestaniecie się tym zajmować. Ja będę miał problem z głowy, a wy będziecie bezpieczni. Teraz nie jesteście.

- A jeśli nie? - Iza popatrzyła księdzu prosto w oczy.

- Kto sieje wiatr, zbiera burzę - odpowiedział filozoficznie. - Przemyslcie to.

* * *

Doktor Łukasz Schleimkoch przybył punktualnie. Było pogodne wrześniowe popołudnie, więc umówili się na dachu Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie można było przyjemnie spędzić czas i jednocześnie dyskretnie porozmawiać. Mikołaj i Iza przybyli zaopatrzeni w papierowe kubki z kawą, kupionymi w barze na parterze budynku.

Schleimkoch przyglądał się parze młodych ludzi badawczo. Zgodził się na niezwłoczne spotkanie, gdyż nawet wśród swoich studentów rzadko kiedy dostrzegał powagę należytą przedmiotowi, który wykładał.

- Wspominaliście, że jesteście znajomymi Susan Fargo. Co u niej słychać? - zapytał.

- Nie wiemy - Mikołaj postanowił być szczery. - Prawdę mówiąc, prawie jej nie znamy. Zainteresował nas *Kodeks Nuttall* i znaleźliśmy ją przez Internet.

- Ach, tak? - Schleimkoch stracił jakby zainteresowanie. - W takim razie słucham.

- Chcieliśmy zapytać, kiedy mógł się pojawić w Europie .
- Czy wiecie, czym tak w ogóle były prekolumbijskie kodeksy?
- Niezupełnie - przyznała Iza.
- To były takie obrazkowe książki, tworzone przez Misteków ery prekolumbijskiej. Zawierały różne treści, głównie historyczne, religijne i normatywne.
- Kim byli Mistekowie?
- To była jedna z największych cywilizacji Mezoameryki, czyli obszarów od Meksyku do Przesmyku Panamskiego. Zostali podbici przez Azteków jakieś trzydzieści lat wcześniej, zanim Amerykę podbili Hiszpanie.
- Kiedy więc mógł powstać ten kodeks?
- Nie jestem na sto procent pewien - Schleimkoch zastanowił się - ale spróbuję to wydedukować. *Kodeks Zouche-Nuttall* opisywał genealogie i sojusze z przełomu jedenastego i dwunastego wieku naszej chronologii. Czyli mógł powstać najpóźniej w czternastym wieku.
- A kiedy mógł dotrzeć do Europy?
- Nie wcześniej, niż w 1524 roku.
- Skąd to wiadomo?
- Bo ledwie rok wcześniej Hernán Cortés przy pomocy sześciuset osobowej załogi podbił państwo Azteków. A kiedyś podróż z Ameryki do Europy zajmowała długie miesiące. Zaś tak cenna rzecz, jak kodeks, z pewnością należała do skarbu.
- Sześciuset ludzi i największa cywilizacja Ameryki? Jak to możliwe?
- Aztekowie uznali go za krwiożerczego boga Quetzalcoatl, który zapowiadał powrót z morskich podróży. Był biały, miał brodę i przybywał na okrętach. Do dzisiaj nie wiadomo, skąd wzięły się u Azteków te mity. A czy ja z kolei mogę wam zadać pytanie?
- Oczywiście - odpowiedziała Iza.
- Dlaczego was to interesuje? - zapytał wprost.
- To się wiąże z pracą Susan. Ona dopatruje się symboliki *Kodeksu Nuttall* w obrazach Hieronima Boscha. Co zmienia wiedzę historyczną

odnośnie daty śmierci Boscha, jak i datowania jednego z jego dzieł.

- O, widzę, że daliście się opętać tej czarownicy - zaśmiał się Schleimkoch. - Jesteście historykami sztuki?

- Raczej amatorami.

- I amatorom chciało się jechać z Wrocławia do Warszawy, żeby dowiedzieć się, kiedy w Europie pojawił się *Kodeks Nuttall*?

- Bardziej chodzi nam o rys historyczny i kulturowy tamtego okresu. Symbolikę dosyć dobrze przybliżyła nam Susan.

- Macie może coś przy sobie? - spytał Schleimkoch.

- Tak - Iza wyjęła z torby dużą, niebieską teczkę z kolażami Susan ściągniętymi z Internetu i wydrukowanymi na wysokiej jakości kolorowej drukarce.

Schleimkoch po obejrzeniu drugiego z kolei obrazka najwyraźniej się podekscytował. Kiwał głową z niedowierzaniem, mruzczał coś pod nosem.

- Co pan o tym sądzi?

- Ciekawe i nadzwyczaj trafne. Wygląda na to, że Bosch miał do czynienia z *Kodeksem Nuttall*, gdyż zbieżność symboli jest niewiarygodna.

- Skąd Bosch mógł mieć kodeks?

- A Bosch nie umarł jakoś wtedy?

- Źródła podają, że zmarł w 1516 roku.

- Nonsens!

- Do tego samego wniosku doszła Susan - wyjaśnił Mikołaj. - Ale przyjmijmy, że Bosch umarł później. Skąd mógł mieć kodeks?

- Pomyślmy chwilę. To nie jest aż tak nieprawdopodobne, jak mogłoby się wydawać. Karol V Habsburski, który był wtedy królem Hiszpanii, urodził się w Niderlandach. Wiadomo też, że kortezy kastylijskie złożyły mu hołd.

- Co to są kortezy?

- To zgromadzenia przedstawicieli państw, które zbierały się regularnie na obradach. W pewnym sensie jest to pierwowzór federacji czy też

samorządów lokalnych. W tamtych czasach to kortezy, obok króla, były faktycznym sponsorem konkwist.

- Czyli, jeśli przyjąć, że Bosch był niderlandzkim malarzem, dość blisko związanym z dworem hiszpańskim, to mógł mieć dostęp do takiego kodeksu?

- Pod warunkiem, że było to po roku 1523 a nawet 1524. Tak, to nawet prawdopodobne.

- Od kiedy Karol V był królem?

- Koronowano go w 1516 roku, kiedy umarł jego dziadek, Ferdynand Aragoński. Jego syn, Filip II...

- Filip II był jego synem? - przerwała Iza.

- Oczywiście. Skąd to zdziwienie?

- Nie zdziwienie - wtrącił Mikołaj. - Filip II był miłośnikiem Boscha, i miał w swojej kolekcji prawie wszystkie jego dzieła.

- A to ciekawe. Ale i ja mam dla was ciekawostkę - wasz Wrocław należał do włości Karola Habsburga, który rozparcelował imperium i tę część przekazał swojemu bratu, Ferdynandowi I.

- Dolny Śląsk? - zdumiała się Iza.

- Jak najbardziej - uśmiechnął się Schleimkoch.

* * *

Kolejna elegancka kremowa koperta dała o sobie znać bardzo szybko. Zaledwie dwa dni po powrocie z Aten znalazł ją tak po prostu w domowej skrzynce na listy. Tradycyjnie w kopercie nie znajdowało się nic więcej poza bilecikiem z informacją. Tym razem instrukcja była nieco dłuższa: Biblioteka Watykańska, czytelnia Leonina Minore, kolekcja 52 - genealogia, Rzym. „Co?! Czy oni - kimkolwiek są - chcą, żebym w ten sposób objechał cały świat?! O co tu chodzi? Jaka genealogia?” Na samą myśl o kopertach ogarniała go złość. W pracy okazało się jednak, że życie dziwnie się przeplata. Czekala go bowiem kilkudniowa podróż do Rzymu. „Dobrze, to ostatnia rzecz, którą zrobię, a potem... nie interesuje mnie, co będzie potem, nie interesuje mnie to w ogóle” - pomyślał Marcin, decydując się, że pójdzie do

tej rzymskiej czytelnicy. Rzym przywitał londyńską delegację, bezchmurnym niebem i parzącym słońcem. Przy takiej pogodzie chciałoby się tylko siedzieć w klimatyzowanych restauracjach i pokojach konferencyjnych, a nie włóczyć po mieście, na dodatek szukając wejścia do jakiejś watykańskiej biblioteki. No dobrze, nie jakiejś. Okazało się, że wejście do biblioteki jest zamknięte dla publiczności z powodu odnawiania zbiorów. Marcin musiał użyć nie tylko zdolności przekonywania, osobistego czaru, którego za wiele nie miał, ale także swoich biznesowych koneksji, żeby go wpuszczono. Co prawda, drugi obieg myśli mówił mu, że żadnej koperty tam nie będzie. Jeśli biblioteka jest zamknięta dla publiczności, jakim cudem miałyby znaleźć w czytelnicy kopertę przeznaczoną dla niego. To wydawało się niemożliwe. Skoro jednak był w Rzymie, dotarł do biblioteki i na dodatek znalazł się już w środku, postanowił odnaleźć kolekcję numer 52 o dziwnie brzmiącej nazwie „genealogia”. Szukanie zajęło mu trochę czasu. Opasłe tomiska nie wydawały się przyjazne i nie chciały mu pomóc. A jednak kiedy dotarł do półki numer 52, stanął jak wryty. Na półce leżała i czekała na niego elegantska kremowa koperta. „Kto tym rządzi? Kto się za tym kryje?”, do głowy cisnęły mu się same pytania. Tak jak poprzednimi razy w kopercie znajdowała się kartka, a na niej napisana była taka opowieść:

„Kiedy Bóg stworzył już świat, niebo i ziemię, rośliny i zwierzęta, ulepił z prochu mężczyźnię i osadził go w rajskim ogrodzie Eden, aby go uprawiał i doglądał. Jediną rzeczą, jakiej zabronił mężczyźnie w tym rajku było spożywanie owocu z drzewa zakazanego - z drzewa poznania dobra i zła. Mężczyzna ów nadał nazwę wszystkim zwierzętom stworzonym w Edenie przez boga i zapadł w sen. Kiedy mężczyzna spał mocnym snem, bóg wyjął jedno z jego żeber i stworzył kobietę. Mężczyzną tym był Adam - *czzerwony* od koloru ziemi, z której został stworzony, a kobietą Ewa - *budząca życie*. I tak żyli błogo w rajskiej krainie wiecznej szczęśliwości, obfitującej w piękne rośliny i przyjazne zwierzęta. I niczego im nie brakowało. Ich nieznaną grzechu

dusze oddane były poezji i miłości. A ich świat nie znał zmartwień. W kra-
inie rosło wiele drzew, lecz jedno było niepowtarzalne i kuszące. Było to
drzewo zakazane, na którym rosły dojrzałe i soczyste owoce. Było to drzewo,
o którym mówił bóg mężczyźnie i zakazał spożywania owoców z tego drze-
wa. Adam i Ewa chcieli jednak spróbować owocu z tego zakazanego drzewa.
Dopomógł im w tym wąż-kusiciel. Ewa, skuszona przez węża, zdecydowała
się zerwać i skosztować owocu, a następnie podała go Adamowi. Wtedy
oboje spostrzegli, że są nadzy. Spletli gałązki figowe i zrobili z nich przepa-
ski. Kiedy powiedzieli bogu o swoim czynie, ten najpierw przeklął węża, a
Adama i Ewę ukarał. I powiedział do Ewy: *Obarczę cię niezmiernie wielkim
trudem twej brzemienności, w bólu będziesz rodziła dzieci, ku twemu mę-
żowi będziesz kierowała swe pragnienia, on zaś będzie panował nad tobą.*
Wobec Adama reprezentującego przyszłą ludzkość, bóg postanowił: *W pocie
więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz
do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz.*
Tak ludzie popełnili grzech pierworodny”.

Po przeczytaniu wyszedł szybko z biblioteki i postanowił o wszystkim
zapomnieć. Treść odnajdowanych listów wydawała mu się szczególnie trud-
na. Nie potrafił jej z niczym połączyć. „Wolałbym zwyczajne listy z pogróż-
kami” - myślał, udając się szybkim krokiem do hotelu.

Rozdział IV

SYN MARNOTRAWNY

Po ostatnich rewelacjach Marianna odniosła wrażenie, że orgie modlitewne w towarzystwie innych dziewic nie są tak niebezpieczne jak obcowanie z Duchem Świętym na polanie w lesie. Za namową lekarki zgoliła też łono, co ją bardzo podniecało. Dotykała się tam bez przerwy, jakby sprawdzając, czy jest gładko i miło. Pewnego dnia, zaglądając przypadkiem do jednego z małych magazynków ze starymi klasztorowymi meblami, poczuła wyraźne podniecenie, zrobiło jej się ciepło na całym ciele i dogłębnie się spociła. Zaczęła więc podejrzliwie przyglądać się pomieszczeniu, do którego przypadkowo zajrzała. Okna były podwójne, niezbyt szczelnie zamknięte, pomieszczenie słabo wietrzone od lat, zakurzone, panował w nim bałagan. Próbowwała się bardziej wsłuchać w szmery, które do niej docierały. Zaczęła się rozglądać. „Oprócz chmary much nic tu nie ma”, pomyślała i nagle jej oczom ukazała się niecodzienna scena. Oto w kącie odbywała się orgia kotów i myszy jak w niczym niezmaconej symbiozie. Gdy podeszła bliżej zobaczyła dokładnie, jak zwierzęta mieszały się ze sobą w dzikim podnieceniu, wydając z siebie głosy rozkoszy. Widziała dwie myszy kopulujące jednocześnie z kotem, koty oddające się pieszczotom mysim i myszy, które z lubością poddawały się małym kocim jęczyczkom. Im bardziej Marianna patrzyła na ten obrazek, tym bardziej była spocona. Podniecona, jednym ruchem ściągnęła habit i dała się ponieść wyobraźni. Zbliżyła się więc do zwierząt i sama zaczęła pieścić swoje blade ciało, zaglądając rękami w każde zagłębienie.

Dziś liczba orgazmów nie miała wyraźnego końca, a medytacje Marianny zakończyły się po wielu godzinach chwaleń Pana w samotności: za pomysł i stworzenie takich pięknych zwierząt jak małe myszki i koty, które swymi orgiastycznymi fantazjami doprowadziły do erotycznych uniesień...

Pere Casablancas zajmował wygodny gabinet w niepozornym biurówcu przy Avinguda Diagonal 607 w Barcelonie. Jako partner zarządzający dużej firmy konsultingowej zajmował się głównie negocjowaniem dużych kontraktów. Mimo zaledwie czterdziestu lat znakomicie orientował się w sprawach lokalnych banków i instytucji ubezpieczeniowych. Mało kto wiedział, że jego nadzwyczaj wysoka pozycja w firmie nie była przypadkowa. Pere odstawał bowiem mocno od swoich kolegów o szczupłych, wysportowanych sylwetkach, zadbanych gładko ogolonych twarzach. O nie, u Perego testosteron wylewał się z szeroko uśmiechniętej twarzy, a lekko kędzierzawe włosy dobrze współgrały ze zniszczoną twarzą i niedbałym, marynarskim chodem. Bawiło go, że po lunchu jego koledzy ustawiali się w kolejce do łazienki, by przepolerować śnieżnobiałe zęby. On tymczasem nalewał sobie szklaneczkę pięćdziesięcioprocentowego single malta i wychylał jednym haustem.

Tego dnia nie był w dobrym humorze. Pierwszy telefon zmroził mu krew w żyłach - na polskiej granicy aresztowano trójkę członków stowarzyszenia, któremu patronował. „Amatorzy”, pomyślał z poczuciem, że jego ludzie niczego nie potrafią zrobić samodzielnie. Na szczęście wystarczyła interwencja telefoniczna u polskiego rezydenta organizacji. Niestety, przepadł cenny ładunek. „Trzeba go będzie jakoś wydobyć”, pomyślał ze złością. Nie chodziło o głupie dziesięć tysięcy euro, tylko o niepotrzebną wpadkę. „Gdyby wiedzieli coś o promieniowaniu, załatwiłoby się inny transport, na przykład na pokładzie jednego z jachtów, na których tak chętnie pływała polska młodzież. Gedania? Pogoria?” - usiłował przypomnieć sobie egzotyczne nazwy łodzi, które za niewielką sumę realizowały dla niego zlecenia.

Drugi telefon był także z Polski. Dzwonił niejaki Schleimkoch, który poinformował go, że odwiedziła go para młodych ludzi i wypytywała o *Kodeks Nuttall*.

Na chwilę zatopił się we wspomnieniach. Przeszedł długą drogę. Właściwie w Barcelonie znalazł się przez przypadek. Na myśl o tym Pere się uśmiechnął. Było to w czasach jego młodości. Kiedy to nałogowo nagabywał napotkane na ulicy kobiety (jego specjalnością były też siostry zakonne... tak... to były bardzo stare czasy) i namawiał je na szybki numerek. Jedną z kobiet zapytał, gdzie chciałaby to zrobić. A ona odpowiedziała mu, że w Barcelonie, on jednak miał na myśli miejsce bardziej przyziemne, na przykład jakiś hotel. Tak czy inaczej to „w Barcelonie” zapadło mu w pamięć. I kiedy później życie zaczęło mu się plątać pod nogami, popadł w długi, niełaskę... Albo odwrotnie. I został wyklęty. Postanowił wyjechać. Barcelona brzmiała też dobrze z innego względu. Jeśli mu się nie uda, może żyć na ulicy, bo jest ciepło. Jednak wszystko się udało. I oto tak nic nieznaczący młody człowiek stał się ważną personą. Nie przyszło to łatwo. Dużo czytać, dużo wiedzieć, chłodne kalkulacje i do tego właściwe słowa powiedziane we właściwych miejscach, właściwi ludzie spotkani po drodze - podsumował w myślach swoją receptę na sukces.

Sięgnął po słuchawkę. Jego asystentka, Montserrat, odebrała po pierwszym sygnale.

- Proszę zarezerwować samolot do Wrocławia.
- Na kiedy?
- Jutro. Nie, pojutrze, jak najwcześniej. Na miejscu ma być wynajęty samochód, jakiś nieduży kompakt. Wracam w niedzielę po południu.
- Kompakt?
- Tak, zaczynamy oszczędzać - roześmiał się. - Hotelu proszę nie rezerwować, bo nie wiem, gdzie będę spał.
- Oczywiście.

Wstał i spojrzął przez okno. Na ponurym, czarnym budynku La Caixa odbijało się zachodzące słońce. Umieszczony na przedostatnim piętrze sztyd banku obracał się beznamiętnie. Pere obliczył kiedyś, że każdy taki obrót to przeszło trzy tysiące euro zysku kapiącego do kieszeni udziałowców.

Po przeoranej życiem i poszarzałej od mocnych papierosów twarzy Perego przemknął zły cień.

- Amatorzy - mruknął.

* * *

Kiedy Sara podjęła decyzję o powrocie do Polski, dostała jeszcze jedno zadanie do wykonania. Nie była to żadna wybitna sesja zdjęciowa. Nie był to też żaden raport - wymarzone zadanie dla wzorowej asystentki. Właściwie nie pracowała już jako asystentka. Zadanie przyszło z zewnątrz. Szczegóły miał jej przekazać Pere. W drodze powrotnej do Polski miała zatrzymać się na kilka dni w Londynie. Dostała zdjęcia człowieka, którego ma poznać. Zresztą trochę go kojarzyła. Trochę z telewizji, trochę z gazet. Dostała informacje, kiedy i gdzie może go spotkać. Postanowiła więc nie tracić czasu. Zjawiała się jako inteligentna i piękna kobieta biznesu w Tate Gallery w Londynie. Sposobność nadarzyła się dość szybko. Obiekt zainteresowań stał w grupie kilku mężczyzn, rozmawiających po polsku. Takiej okazji nie mogła zaprzepaścić.

- Jeśli panowie pozwolą, włączę się w tę niesłychanie interesującą rozmowę. Nazywam się Sara... - wybąkała niezrozumiale nazwisko. - Przyjechałam właśnie z Nowego Jorku. I tam spojrzenie na sztukę nowoczesną jest zgoła odmienne. Nowy Jork nią żyje. Rozumiem, że panowie reprezentują nurt europejski. Europa jest silnie zakorzeniona w historii. To prawda, zgadzam się z tym. W historii wszystko ma swój początek... - dała się ponieść, wszystko po to, żeby nawiązać z nim kontakt, patrzyła mu zalotnie w oczy i próbowała mówić tylko do niego. - Zaraz, czy pan... o rety, to pan!

- Nie ma o czym mówić - przerwał mężczyzna szybko. - Nie wiem, czy panią to zainteresuje, ale wybieram się jutro na ciekawą wystawę, na której podobno widać to doskonale połączenie sztuki, historii i nowoczesności. Może da się pani zaprosić? O, przepraszam, nie przedstawiłem się. Moje nazwisko Kiewicz - ujął uniesioną lekko dłoń i złożył na niej pocałunek, wzbudzając tym staropolskim gestem powszechne zainteresowanie. Sara prawie eksplodowała z radości, stłumiła ją jednak i odpowiedziała chłodno:

- Tak, dziękuję. Z przyjemnością. Będzie mi bardzo miło zgłębiać z panem ten temat.

Było tak, jak chciała. Po wystawie poszli na kolację i Marcin z łatwością połknął haczyk. Nie dość, że uwiodła go jako kobieta, to uwiodła go też dla swych mocodawców. Późno w nocy napisała Peremu, że rozpoczyna fazę drugą.

Przez następnych kilka dni Marcin rozkwitał. Jak na osobę z przeszłością polityczną i na wysokim stanowisku przystało próbował ukrywać romans. Sarze to nie przeszkadzało, miała inny cel. Podrzucała mu jedynie tematy do rozmów. A Marcin, nic nie podejrzewając, dawał się wciągać. Podczas którejś rozmowy zapytała go wprost:

- Marcin, a gdyby tak pospekulować na złotówce i opcjach walutowych? Nie podchwycił tematu, udał, że nie rozumie.

- Można by zarobić na tym grube miliardy. Nie interesuje cię to w żadnym wymiarze?

- A po co ci takie pieniądze? - próbował obejść temat.

- Kupiłabym sobie wszystkie dzieła Keitha Haringa i może otworzyła jakąś galerię albo muzeum sztuki nowoczesnej? O, i sfinansowałabym jakieś wykopaliska archeologiczne.

- Saro - powiedział tylko i pogłaskał ją.

- Albo - brnęła dalej, udając, że nie widzi, jak Marcin zaczynają dotykać - te emisje dwutlenku węgla. Polska ma ponoć trzecią co do wielkości na świecie nadwyżkę. Wyobrażasz sobie, ile obrazów mogłabym za to kupić?

Wyobrażasz sobie, jaki biznes można zrobić z takimi pieniędzmi?

- Do czego zmierzasz? - Marcin lekko odsunął ją od siebie.

- Po prostu chciałabym, żebyśmy zrobili jakiś biznes.

- Saro, ty masz swoją sztukę, ja skończyłem z wielką polityką i mam dobrą posadę w Londynie. Po co cokolwiek zmieniać. Jest źle tak, jak jest?

- Innym jest źle - odpowiedziała cicho.

- Jakim innym? Co mnie obchodzą inni? Mam dość myślenia o innych! - zdenerwował się.

- A jeśli ci powiem, że inni mają dla ciebie ciekawą propozycję? Ale ciębie to pewnie nie zainteresuje, bo musiałbyś pomyśleć o tym polskim złocie i o ekologii. Musiałbyś odezwać się do swoich dawnych kolegów w Polsce. Trudno. Ale gdybyś to zrobił, byłbyś kimś - powiedziała i na początek zamknęła mu usta długim pocałunkiem. Kiedy skończyli, a Marcin zapadł w drzemkę, wyszła na spacer i zadzwoniła do Perego. Powiedziała, że wkracza w fazę trzecią i że za dwa dni ich plan będzie przypieczętowany.

Pere nie krył radości.

Kiedy Sara wróciła, Marcin już nie spał, za to gorączkowo rozmawiał z kimś przez telefon. Zdawało jej się, że rozmowa dotyczyła tematu pogody, a może klimatu.

Nazajutrz z samego rana zaatakował ją pytaniem:

- Sara, jaką masz dla mnie propozycję? O ile wczorajsza rozmowa to nie żarty.

- Otóż... otóż ta propozycja to stanowisko dyrektorskie w oddziale londyńskim jednego z największych banków inwestycyjnych na świecie.

Marcina zamurowało. Do głowy napływało mu mnóstwo pytań. Ta młoda dziewczyna jest posłańcem takiej informacji? Skąd ona się wzięła? I kto za nią stoi?

- Aha - powiedział tylko i wyszedł. Zapowiadał się ciężki dzień w pracy, więc nie chciał na razie zaprzętać tym sobie głowy.

- A gdybym powiedział: tak? Powiesz mi, o co chodzi? Podasz jakieś szczegóły? - zapytał, gdy tylko spotkali się na kolacji.

- Jeśli powiesz: tak, to ucałuję cię najbardziej namiętnie, jak tylko potrafisz, spakuję walizkę i wyjadę. Bo na tym moja rola się kończy. Do ciebie zadzwoni ktoś, kto powie, co dalej.

* * *

- Sprzedałam ją - wyrzuciła z siebie Szyrska przez słuchawkę.

Iza od dwudziestu minut usiłowała nakłonić ją, żeby jeszcze raz udostępniła skrzynię do oględzin.

- Sprzedała pani? Taki skarb?

- Poza wami pies z kulawą nogą nie zainteresował się tym „skarbem” - powiedziała Szyrska z przekąsem.

- Ale ktoś ją kupił - Iza przyparła ją do muru.

- Zainteresowała się nią ta ekipa Holendrów, z którą minęliście się w moim gabinecie. Chcieli mieć pamiątkę z Polski.

- Czy pani wie, że to przestępstwo?

- Że co niby? To nie ja wywiozłam skrzynię z Polski - odburknęła.

- Ale sprzedając ją obcokrajowcom, mogła pani przypuszczać, że zechcą ją wywieźć. A to już jest przynajmniej zarzut niezawiadomienia o zamiarze popełnienia przestępstwa.

- Zadzwoniliście po to, żeby mnie obrazić? Nie mam skrzyni i już. To moja sprawa. Żegnam! - Szyrska odłożyła słuchawkę.

Iza popatrzyła bezradnie na Mikołaja i powiedziała:

- Sprzedała skrzynię Holendrom, z którymi była Gudrun.

- Żartujesz?

Iza pokręciła w milczeniu głową.

- Czyli nie mamy jak określić daty budowy skrzyni?

- Na podstawie tego, co mamy, nie bardzo. Chyba że skontaktujemy się z Gudrun i pojedziemy jeszcze raz do 'sHertogenbosch.

- Nie wierzę w przypadek. Oni dobrze wiedzieli, co to za skrzynia.

- Czy to znaczy, że ona naprawdę jest z tamtych czasów?

- Chyba tak.
- A może oni nie wyjechali jeszcze? Zawiadomimy straż graniczną...
- Żartujesz? Przecież zdawali sobie sprawę, że to bardzo gorący towar. Szkoda, że wkurzyłaś Szyrską.
- Ja wkurzyłam?
- A jednak. Moglibyśmy pojechać tam i jeszcze raz obejrzeć miejsce znalezienia skrzyni.
- To może pojedźmy i spróbujmy na miejscu. Ludziom dużo trudniej odmówić, gdy stoją twarzą w twarz.
- Pewnie masz rację. W niedzielę?

W tym samym czasie pod biuro Szyrskiej podjechała zielona furgonetka straży granicznej. Wysiadł z niej oficer i skierował się do biura kopalni. Po dłuższej chwili wyszedł i gwizdnął w stronę samochodu. Z furgonetki wysiadł kierowca i żołnierz. Przeszli na tył samochodu i po chwili wyjęli z niego skrzynię. Uginając się pod ciężarem, przenieśli ją do biura. Po chwili wsiedli z powrotem do furgonetki i odjechali.

* * *

Wielce Szanowny Mistrzu Jeroen!

Zaledwie wczoraj późnym wieczorem wróciłem z kilkudniowej podróży, do której skłoniły mnie interesy. Twój list, który podczas mojej nieobecności posłaniec przekazał ochmistrzowi, właśnie skończyłem czytać i bez zwłoki na niego odpowiadam.

Otóż centralną część obrazu stwórz w podobnych odcieniach jak te, którymi ubarwiłeś lewe skrzydło. Czyli kolory mają być raczej stonowane, ale dość żywe i jasne. Wszelako owa jasność nie dotyczy wszystkich szczegółów. Pamiętaj Jeroenie, że w tym fragmencie dzieła najważniejsze jest tłumne zbiorowisko nagich istot ludzkich, zaś wśród nich trzy osoby muszą być czarne. Tak, drogi przyjacielu, w licznym gronie mężczyzn i kobiet białej nacji trzeba umieścić trzech ciemnoskórych. Niech wszyscy staną w południowej części ogrodu. Jeden po lewej stronie, jeden po prawej i jeden w środku. Poza kolorytem i wyraźnie afrykańskimi rysami nie powinni

odróżniać się od pozostałych dzieci Adama. Niech współmieszkańcy Ogrodu nie okazują wobec nich wyższości z racji swojej białej rasy, niech traktują ich jak równych sobie i niech na równych prawach dzielą z nimi rajskie szczęście. W Królestwie Tysiącletnim ma panować pełne braterstwo. Nikt nikomu się nie kłania, nikt nikogo w lektyce nie nosi, nikt przed nikim czapki nie zdejmuje ani nikt nikomu butów nie czyści. Zresztą nawet by się nie dało - przecież wszyscy są goli od stóp do głów, ani czapek, ani butów nie mają.

A skoro już o goliźnie mowa, doszły do mnie wieści, że szukasz kupca na ziemię, nieurodzajny, goły grunt, jak mi mówił mój lokaj, który dowiedział się o tym od służebnej dziewczki Twojej żony, która z kolei (według słów lokaja) taką wiedzę uzyskała od Twojego ekonoma, ów zaś ponoć wie od Ciebie. Drogi Jeroenie, trzeba było od razu zwrócić się z tym do mnie. Ja ci mogę kupca dać od ręki. W naszej synagodze (z którą formalnie nie mam nic wspólnego, ale nieformalnie czasami w niej bywam) urzęduje pewien rabin, którego siostrzeniec wkrótce się żeni, chce dom wybudować i ziemi potrzebuje. To handlowiec, a nie rolnik, dlatego ziemia nie musi być urodzajna. Pomówię z rabinem, jeśli chcesz, a ten niech pomówi ze swoim siostrzeńcem. Gdybyś w zamian pragnął nabyć ziemię urodzajną, też miałbym coś dla Ciebie. Otóż jeden z członków naszego Bractwa, dość zamożny ziemianin, ostatnio często bywa nagabywany przez Kawalerów Złotego Runa. Nic mu jeszcze konkretnie nie zarzucono, ale on lęka się, że w każdej chwili mogą go wezwać przed Trybunał Inkwizycyjny. Wiesz, jak to się zawsze kończy - człowiek trafia najpierw do lochu, a potem na stos, zaś wszelki jego dobytek konfiskują. Toteż nasz współbrat chce zawczasu znaleźć nabywcę na co lepsze uprawne grunty, by je spieniężyć i w razie czego mieć dość gotówki - albo na przetarg z inkwizytorami, albo (gdyby ci przekupić się nie dali) na dożywotni kapitał dla wdowy i sierot.

Przy okazji, Mistrzu Jeroen, kiedyż wreszcie doczekam się Twojej decyzji co do członkostwa w naszym Bractwie? Nie ponaglę Cię bynajmniej, ale gdybyś się zadeklarował, wszyscy uradowalibyśmy się ogromnie.

Tymczasem bywaj zdrów i nie zapomnij dopilnować, aby mój list pochłonęły płomienie, zmieniając go w popiół, jeśli sobie nie życzysz sam być

niebawem w takąż substancję zamienionym, ani nie masz ochoty mi owej wåtpliwej przyjemności zafundować.

*Twój mecenas i przyjaciel
Jacob Almaengien, Philips van Sint Jaan*

* * *

Po raz drugi tego miesiąca granatowy citroen Mikołaja zazgrzytał na żwirowym parkingu przed kopalnią w Żłotym Stoku. Ciasny wąż otaczały góry, które o tej porze całkowicie ocieniały mały skwerek.

Mikołaj i Iza wysiedli z samochodu i skierowali się do biura. Szyrska nie była w zbyt dobrym humorze.

- Słucham? - zapytała oficjalnie.

- Chcielibyśmy obejrzeć jeszcze raz to miejsce, gdzie została znaleziona skrzynia.

- Nie mam na to czasu.

- Prosimy...

- Nie mam na to czasu. A samych nie mogę was puścić.

Iza postanowiła zaryzykować.

- Myśli pani, że policji nie zainteresuje zabytek, który zniknął z muzeum i prawdopodobnie został wywieziony z Polski?

Na twarzy Szyrskiej dało się zauważyć rosnącą wściekłość.

- Proszę wyjść! - wyszczała.

- Na pewno? - spytała przekornie Iza.

- Wynocha! Szantażyści się znaleźli, no! - Szyrska wstała i wzięła się pod boki, patrząc groźnie. - Czy mam zawołać ochronę, żeby was wyprowadziła?

Na takie dictum Mikołaj z Izą wycofali się z gabinetu. Na ich pojednawcze „do widzenia” Szyrska nie raczyła odpowiedzieć. Odjechali z parkingu, żeby spokojnie przemyśleć, co dalej.

- Co robimy?

- Mamy kilka opcji - Mikołaj zdążył najwyraźniej przemyśleć to i owo.

- Dawaj.
- Po pierwsze, możemy pójść naprawdę na policję. Wtedy jest cień szansy, że skrzynia zostanie odnaleziona.
- Daj spokój. Nie zaczynam poszukiwań w Holandii na podstawie naszych zeznań.
- Pewnie masz rację.
- Co dalej?
- Możemy spróbować odnaleźć tego starszego mężczyznę.
- A w czym on nam może pomóc?
- Nie wiem. Ale nic mi lepszego nie przychodzi mi do głowy.

Zapytali przechodnia o dom Ciechana, a ten patrząc podejrzliwie, wskazał im kierunek.

Willa Jagoda była najpiękniejszym budynkiem w Złotym Stoku. Wiśniowy, przedwojenny dom z werandą był przylepiony do stoku góry, skąd rozciągał się widok na rozległą równinę. Stał w otoczeniu podobnych, choć mniej okazałych i zaniedbanych domków, przypominał o przedwojennej świetności miasteczka.

Ciechan uśmiechnął się szeroko, otwierając drzwi.

- Kogo moje oczy widzą? Proszę, wejdźcie.
- Nie chcemy przeszkadzać.
- Owszem, chciecie - roześmiał się. - Miło was widzieć. Co was ponownie sprowadza do naszego miasteczka?
- Przyjechaliśmy odwiedzić właścicielkę kopalni, bo gdy byliśmy poprzednio, to nie wyszły nam zdjęcia. I dowiedzieliśmy się, że pani Szyrska sprzedała skrzynię.
- To wy nie wiecie?
- Czego?
- Skrzynia wróciła do kopalni - uśmiechnął się Ciechan.
- Żartuje pan?
- Nie. Ale to w ogóle historia jak z filmu sensacyjnego. Napijcie się czegoś?
- Może pójdziemy na spacer do Złotego Jaru? Zaprosimy pana na kawę, a pan nam opowie.

- Świetnie. O tej porze zwykle spaceruję. Dajcie mi tylko chwilę, przebiorę się i pozamykam dom.

Ciechan poprowadził ich na skróty. Patrzyli z zazdrością, jak ten niemłody bądź co bądź mężczyzna bez wysiłku wspina się stromą ścieżką fantazyjnie poprowadzoną zboczem jaru. Gdy stanęli na górze, byli mocno zmęczeni, tymczasem Ciechan, nie przestając mówić, ruszył dziarsko ścieżką w stronę kamieniołomu.

- Okazało się, że skrzynia, którą Szyrska rzeczywiście sprzedała tym Holendrom, jest radioaktywna.

- To pewnie dlatego nie wyszły zdjęcia - rzucił Mikołaj.

- Nie znam się, ale skoro tak mówicie. Najlepsze było jednak później. Otóż na granicy włączył się alarm, który wykrył promieniotwórczość i skrzynia została zarekwirowana.

- Naprawdę?

- To jeszcze nie koniec. Po kilku dniach okazało się, że promieniotwórczość zniknęła.

- Zniknęła?

- Tak. Przypuszczają, że w ogóle jej nie było, a alarm był fałszywy.

- To dlaczego skrzynia jest z powrotem?

- Bo straż graniczna zarządziła przepadek. Uznali ją za zabytkową.

- W takim razie Szyrska powinna mieć postawione zarzuty.

- Otóż nie, bo Holendrzy zgodnie potwierdzili, że wprowadzili ją w błąd.

- Ciekawe dlaczego? - zdziwiła się Iza. - Przecież równie dobrze mogli powiedzieć, że to ona wprowadziła ich w błąd.

- Tego to już nie wiem. Ale przedwczoraj przywieźli skrzynię z powrotem.

- Ani słowem się nie zająknęła - skrzywił się Mikołaj.

- Mnie też nie powiedziała. Wiem o tym od mojego bratanka, który jest dozorcą w kopalni.

Doszli właśnie do baru na końcu Złotego Jaru i zamówili po kawie. Ciechan poprosił o małe piwo.

- Panie Jurku, czy możemy być z panem szczerzy? - zaczął Mikołaj.

- Oczywiście. Umiem dochować tajemnicy.
- Podejrzewamy, że ta skrzynia jest średniowieczna. Wykonaliśmy wstępne pomiary i porównaliśmy z wzorcem. Niestety, datowanie metodami izotopowymi nic nie dało, bo ona naprawdę, była napromieniowana. Gdyby tylko można się było do niej dostać...

- To nie jest niemożliwe. A po tym, co zrobiła Szyrska, nie mam żadnych skrupułów. Jeśli będziecie ostrożni, to dostaniecie dorobiony klucz, a mój bratanek pójdzie na obchód. Ale musicie zrobić to na własną odpowiedzialność.

Do stolika podeszła niewysoka kobieta i przywitała się z Jerzym.

- Poznajcie się - Ciechan poczuł się w obowiązku przedstawić towarzystwo. - Ci młodzi ludzie są, jak mierniam, archeologami, których zainteresowała skrzynia Szyrskiej, a z kolei Iwona wie wszystko o naszej kopalni.

- Nie przesadzaj - Iwona uśmiechnęła się - po prostu trochę mnie to interesuje.

- Dobra, dobra, wszyscy eksploratorzy w Rzeczpospolitej, zanim wleżą w jakąś dziurę, idą do ciebie - zaśmiał się.

- Przepraszam, muszę lecieć, ale jeśli zachcecie gdzieś włączyć, to służę pomocą - pożegnała się.

- Panie Jurku - Mikołaj wrócił do tematu - musimy pobrać próbkę drewna ze skrzyni, żeby przeprowadzić badania dendrochronologiczne.

- Ale nie zniszczycie jej? - zapytał zaniepokojony Ciechan.

- Nie. Musimy zrobić odwiert. Spróbujemy podważyć bednarę, tam się wbijemy, potem zaślepimy otwór trocinami i kołkiem z drewna - Mikołaj wymyślił na gorąco sposób zatarcia śladów.

- Dobrze. W ten weekend Mariusz nie pracuje, więc zadzwońcie do mnie w środku tygodnia, to powiem wam, kiedy można to zrobić.

- A klucz?

- Dorobimy. Nie wcześniej jednak niż w przyszły weekend.

- Panie Jerzy, a czy możliwe byłoby wejście do kopalni, żeby jeszcze raz obejrzyć miejsce odnalezienia skrzyni?

- Tam przecież nic nie było - zdziwił się Ciechan.
- Sowa była. No i ten szyb wentylacyjny.
- To nie wiecie? Sowa została zniszczona w czasie odstrzału. Pokruszyła się. Tak to jest, jak amatorzy zabierają się za prace górnicze - skrzywił się.
- Szkoda. A ten szyb? Myśli pan, że możliwe jest dotarcie do tego miejsca nie z kopalni?

Ciechan zamyślił się.

- To mało prawdopodobne - powiedział po chwili. - Szkoda, że nie zatrzymaliśmy Iwony. Ona ma sporo map kopalni. A musicie wiedzieć jeszcze...

- Tak?

- Przypomniałem sobie, że tego dnia, kiedy Szyrska dobrała się do kaverny, to ze sztolni koło kamieniołomu wydobył się dym!

- Zaprowadzi nas pan tam? - spytała Iza.

- Może zwróćcie się do Iwony. Ja i tak za dużo wam powiedziałem, a nie chciałem brać na swoje sumienie waszego zdrowia.

- Będzie wiedziała, gdzie to jest?

- Pokażę wam. Mijaliśmy ją po drodze - roześmiał się Ciechan. - Trzeba było uważać.

- A jak odnajdziemy Iwonę?

- Zostawię wam jej numer telefonu.

Po przejściu kilkuset metrów Ciechan wskazał im zakratowane wejście do sztolni.

- To tutaj - chwycił kratę, która nieoczekiwanie okazała się otwarta. Ze środka wionęło wilgocią, ale niczego nie było widać. - Z tego, co wiem, to kilkanaście metrów za tym zakrętem sztolnia jest zawalona. Ale gdzieś prawdopodobnie istnieje kanał, którym wydostał się dym.

- Myśli pan, że to niebezpieczne?

- Tak. Co prawda nie było tu jeszcze wypadku, ale kopalnia jest stara, a stemple już dawno przegniły. To oznacza, że chodniki trzymają się na słowo honoru. - Powiedźcie o tym Iwonie, ona chętnie pomoże wam w eksploracji.

Doszli do willi Ciechana. Uścisnęli sobie dłonie.

- Zadzwońcie do mnie we czwartek. A tu macie numer telefonu Iwony.

* * *

- To jest trudniejsze, niż nam się wydawało - Iza położyła na stole niepozorne tekturowe pudełko.

- Co to jest? - spytał Mikołaj.

- Zestaw do pobrania próbki dla dendrochronologów - uśmiechnęła się promiennie.

- Jesteś niesamowita! - popatrzył z uznaniem.

- Spójrz - wyciągnęła z pudełka długą, cienkościenną rurkę z ząbkowanym końcem. - Sama obsługa jest łatwa, dokręca się to do zwykłej wiertarki i kręci. W rurce pozostaje wywiercony rdzeń, który się później wyciąga i analizuje.

- W czym więc problem?

- W tym, żeby uzyskać jak najdłuższy przekrój prostopadle do słojów. Im dłuższy przekrój, tym łatwiej określić rok.

- Więc jeśli skrzynia jest z desek, to może się okazać, że przekrój będzie zbyt krótki?

- Nie inaczej. Co gorsza, może się okazać, że słoje są w poprzek deski. Wtedy z trzech czy pięciu słojów niczego nie wywnioskujemy.

- Cholera, jak pech to pech. Ale spróbować musimy. Skąd to masz?

- Kolega z wydziału zrobił dendrochronologię. Co prawda, proponował wcześniej łatwiejsze metody. Najważniejsze, że obiecał wykonać analizę, nie pytając, co to jest.

- Jesteś nieoceniona - uśmiechnął się Mikołaj. - Dzwonimy do Ciechana?

- Dzisiaj środa, ale co nam szkodzi?

Ciechan odebrał telefon po pierwszym sygnale, najwyraźniej zadowolony.

- Mam dla was dobre wieści. Jutro będziecie mogli obejrzieć jeszcze raz skrzynię. Szyrska wyjeżdża, więc nikt nie będzie wam przeszkadzał.

- Świetnie. O której mamy przyjechać?
- Właśnie to jedyna rzecz, która mnie martwi. Nie możecie po prostu do mnie przyjechać.
- Ma pan jakiś pomysł?
- Nie strzępiłbym sobie języka po próżnicy. Zostawcie samochód w Paczkowie, to miasteczko kilka kilometrów za Żłotym Stokiem. Stamtąd zabierzecie się autobusem. Z przystanku przyjdźcie prosto do mnie, starając się nie zwracać na siebie uwagi.
- Pan nie przesadza trochę? To nie jest małe miasto.
- Nie znacie relacji, jakie tu panują. Wszyscy się bardzo dobrze znają, a cała gmina liczy tylko nieco ponad trzy tysiące mieszkańców.
- Dobrze, w takim razie przyjedziemy autobusem.

Dwadzieścia cztery godziny później Iza i Mikołaj wysiedli z autobusu. Bez słowa skierowali się w stronę Rynku, by wąską uliczką wspiąć się w stronę willi Ciechana. Było ciepło, chociaż w powietrzu czuło się już chłód i wilgoć nadchodzącej jesieni.

Ciechan otworzył im drzwi, i dopiero wtedy zauważyli, że ani w przed-ionku, ani w sieni nie świeciło się światło. Gospodarz najwyraźniej poważnie traktował ryzyko wypadki.

- Wejdźcie.

Gdy już usiedli przy herbacie, Ciechan przedstawił im sytuację.

- Macie czas od jedenastej do pierwszej w nocy. Skrzynia jest w biurze Szyrskiej. Jeśli będziecie chcieli powtórzyć zdjęcia, to musicie ją przenieść na korytarz, bo inaczej będzie widać błyski flesza. Macie jakiś plan?
- Co pan ma na myśli?
- Czy zaplanowaliście, co chcecie zrobić?
- Z grubsza. Najpierw powtórzymy zdjęcia, potem spróbujemy znaleźć optymalne miejsce, żeby pobrać próbkę.
- Jak zamaskujecie otwór?
- Mam kit drzewny w tubce. Co prawda, ma kolor buku, ale nic lepszego nie udało się znaleźć. Najwyżej przybrudzimy trochę kurzem. Mam też kawałek papieru ściernego, żeby zeszlifować powierzchnię.

- Zdaży wyschnąć?
- Nie sprawdzałem, prawdę mówiąc.
- To sprawdzmy teraz - Ciechan wyjął z ręki Mikołaja tubkę.

Odkręcił i wycisnął trochę na stół.

- Cholera, śmierdzi. Musicie uważać, żeby tego nie rozsmarować. Macie jakieś obcegi?

- Tak, i jeszcze mały młotek i parę pilników.

- Widzę, że pomyśleliście o wszystkim - popatrzył na zegarek. - Zbierajmy się powoli. Kit stwardniał, więc musicie tylko zapamiętać, żeby nie szlifować go wcześniej niż po piętnastu minutach. Weźcie też to - wyjął z szuflady lateksowe rękawiczki. - Tak na wszelki wypadek.

Sprowadził ich po ciemku ciemną ścieżką przez jar do zabudowań kopalni.

- Będę tu na was czekał od północy. Po pierwszej wracam do domu i nie przyznając się do niczego - roześmiał się po cichu. Pod drzwiami biura czeka na was Mariusz.

- Jasne. A jeśli go tam nie ma?

- Jest - mimo ciemności poczuli, że Ciechan się uśmiecha. - Te jego pety czuć aż tutaj.

Mikołaj i Iza zaopatrzeni w małe plecaki oraz latarki na głowę przeszli z bijącym sercem przez wyżwirowany placyk. Rzeczywiście, przy samych drzwiach do biura stał wysoki mężczyzna. Otworzył drzwi i wręczył im klucze.

- Zamknijcie biuro od środka. Gdybyśmy się przy wyjściu nie widzieli, to włóżcie je pod wycieraczkę. W gabinecie Szyrskiej zostało zapalone światło, nie gaście go ani nie zapalajcie żadnego innego.

* * *

Gdy Mikołaj przekręcił od środka klucz, poczuł pewną istotną zmianę. Po raz pierwszy w życiu robił coś w sposób oczywisty nieuczciwego. „Łatwo zostaje się przestępcą”, przemknęło mu przez myśl.

Drzwi do gabinetu Szyrskiej były lekko uchylone. Mikołaj pchnął je i już po chwili zdejmowali szarozieloną narzutę ze skrzyni.

- Od czego zaczynamy?

Iza bez słowa wyciągnęła z kieszeni białe rękawiczki, które dał im Ciechan. Gdy uporali się z nakładaniem skrzypiącego co rusz lateksu, Mikołaj wyjął aparat i zaczął go przykręcać do miniaturowego statywu. Tym razem zaopatrzył się w porządną cyfrówkę z szerokokątnym jasnym obiektywem.

Iza w tym czasie wysypała z plecaka narzędzia i zaczęła przyglądać się skrzyni.

- Gdzie wiercimy? - spytała zrezygnowana, nie znajdując żadnego punktu zaczepienia.

- Może obrócimy ją do góry nogami?

- Spróbujmy.

Sprawnie uprzątnęła fragment podłogi, na której miała oprzeć się obrócona skrzynia. Następnie wspólnie, stękając głośno, położyli skrzynię na dłuższym z boków.

- Spójrz tutaj - Iza wskazała na ciemny pierścień blisko środka dna - to wygląda na środek drzewa.

- To znaczy, że słoje rozchodzą się w stronę rogów skrzyni?

Zaczęli przyglądać się brudnemu dnu. Mikołaj bez słowa wziął papier ścierny i przetarł fragment skrzyni. Po kilku ruchach ich oczom zaczęło ukazywać się jasne drewno z delikatnie zarysowanymi słojami.

- Bingo! - wyszeptała Iza z triumfem. - W takim razie wiercimy przy dolnej krawędzi skrzyni, kierując się do środka. - Zaraz, ale to znaczy, że to jest jedna ogromna deska!

Zadanie było trudniejsze, niż myśleli. Utrzymanie właściwego kierunku okazało się nie lada wyczynem, gdyż długa tuleja miała tendencję do zbaczania na boki, a wiertarka musiała pracować na wolnych obrotach. Zmierzyli odległość od środka do dłuższego boku i zaczęli wiercić. Wreszcie tuleja zazgrzytała o twardy rdzeń. Mikołaj ostrożnie poruszał tuleją, by odłamać jej koniec. Powoli, wyginając w bok, wyciągnął ją z wywierconego otworu. Udało się wydobyć cały rdzeń, który miał dobre czterdzieści centymetrów

długości. Zgodnie z instrukcjami nie wyciągali go z tulei, tylko odkręciwszy ją od wiertarki, zabezpieczyli plastrem końce i wrzucili do plecaka. Spojrzeli na zegarki - wydobycie rdzenia zajęło im ponad godzinę, co potwierdzał potworny ból, jaki Mikołaj odczuwał w krzyżu.

Nie zważając na to, Mikołaj odwrócił z powrotem skrzynię i zaczął robić zdjęcia. W tym czasie Iza pracowicie wpychała trociny w wywiercony otwór, a następnie wycisnęła do środka kit z tubki.

Po dwudziestu minutach Mikołaj wziął papier ścierny i zeszlifował wystający kit. Brud z otaczającej otwór deski skutecznie zamaskował ślady.

- Spadamy.

Przed wyjściem sprawdzili jeszcze raz, czy nie zostawili żadnych śladów. Z duszą na ramieniu zeszli po schodach i z ulgą poczuli kwaśny, ostry smród tanich papierosów, które palił Mariusz. Bez słowa wziął klucze od Mikołaja i skinął głową w stronę jaru.

- Udało się? - Ciechan był przejęty.

- Lepiej, niż przypuszczaliśmy - Iza poczuła, jak puszcza jej nerwy. - Mamy mnóstwo zdjęć i próbkę.

- Chodźcie do mnie. Teraz i tak nie dostaniecie się do Paczkowa. Prześpicie się trochę, a w ciągu dnia pójdziecie na autobus.

Kiedy wydrapali się z jaru na drogę, usłyszeli nagle z ciemności znajomy głos:

- A ktoś tak spaceruje po nocy, hę?

- Iwona? - Ciechan poczuł, jak cierpnie mu skóra na plecach. - Co tu robisz o tej porze?

- Nie sądzisz, że to ja powinnam cię o to zapytać? - zaśmiała się serdecznie. - Ja mogę na przykład wracać z randki, ale ty? - spytała z przekąsem.

- Iwona...

- Nie martwcie się. Po prostu poznałam was, jak wyszliście z autobusu, i wystraszyłam, że chcecie na własną rękę eksplorować sztolnie. Ale kiedy skręciliście do Jurka, nie mogłam się powstrzymać.

- Od kiedy nas śledzisz? - zapytał wystraszony Ciechan.
 - Jak zeszlście do jaru, to postanowiłam spokojnie zaczekać. Nic znam tej ścieżki, a nie miałam żadnej latarki. Gdzie byliście?
 - Wolelibyśmy nie mówić. Iwonko, zaufaj nam, proszę. Obiecuję, że niedługo wszystko ci opowiemy.
 - No nie wiem - w głosie Iwony było słycać zawód.
 - A może, korzystając z okazji, rzucilibyśmy okiem do sztolni? - zapytał nieoczekiwanie Mikołaj.
 - Teraz? Bez sprzętu? - zdziwił się Ciechan.
 - Mamy latarki - upierał się Mikołaj - a mówił pan, że ta sztolnia jest zasypana.
 - Chodźmy do mnie, to spokojnie się naradzimy, dobrze?
- Cała czwórka pomaszzerowała do willi Ciechana. Zeszli do piwnicy, żeby nie wzbudzać podejrzeń sąsiadów zapalonym w środku nocy światłem.
- Dokąd chcecie pójść? - zapytała Iwona, gdy już usiedli.
 - Do sztolni, która jest po prawej stronie jaru, zaraz za kamieniolomem.
 - Tu cię mam, stary lisie - Iwona wyszczerzyła zęby w uśmiechu.
 - O co ci chodzi?
 - A kto mnie pytał parę miesięcy temu o tę sztolnię?
 - No tak - zawstydził się Ciechan - pytałem, bo wydawało mi się, że słyszę jakieś dźwięki z kopalni - skłamał.
 - W takim razie po co tam chcecie wejść?
 - Chcemy zobaczyć, dokąd ta sztolnia prowadzi - wyjaśniła Iza.
 - Może byście mnie trochę wtajemniczyli? - Iwona postanowiła się targować.
 - To ma związek ze znaną w kopalni skrzynią. Badamy tę sprawę, że tak powiem, naukowo. Interesuje nas, czy skrzynia znalazła się w kopalni z zewnątrz, czy ukrył ją ktoś, kto do kopalni mógł wejść.
 - Sztolnia jest zasypana, więc nic nie zobaczycie. Z tego, co pamiętam, to po kilkunastu metrach jest zawał.
 - Możemy pójść to obejrzeć? To przecież niedaleko.

Było dobrze po trzeciej nad ranem, kiedy po raz wtóry wyszli z willi Ciechana. On sam położył się spać. Po dziesięciu minutach byli na miejscu. Nad kamieniołomem upiorną poświatą świecił księżyc, a krzewy pokryte były srebrzystą rosą.

- Może zostaną na zewnątrz - Iza najwyraźniej bała się zapuścić w ciemność.

Iwona bez obawy szarpnęła za kratę i weszła w chodnik, słabo rozświetlany czołowymi diodowymi latarkami. Po piętnastu metrach doszli do rumowiska.

- To wygląda trochę inaczej, niż kiedy byłam tu poprzednio - powiedziała Iwona. - Było jakby więcej piasku niż kamieni.

Mikołaj zaczął uważnie oglądać kamienie w stropie chodnika. Jeden z nich był obluzowany. Pociągnął go lekko i poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. Iwona krzyknęła z przestachem, kiedy promień światła sączący się z latarki Mikołaja zatańczył i przygasł.

- Nic ci nie jest? - spytała, kiedy namierzyła głowę Mikołaja, który leżał na spągu.

- Nic - odpowiedział.

Poświecił latarką w stronę, skąd przed chwilą wyciągnął kamień.

Za kamieniem widać było ciemną dziurę. Niezbyt szeroką. Gdy Mikołaj wspiął się ponownie i poświecił latarką, zobaczył dalszy ciąg chodnika. Nietety, żaden z kamieni nie dał się ruszyć, a miejsca było tylko na tyle, żeby zmieścił się w nim szczupły mężczyzna.

- Daj spokój, nie masz kasku! - ostrzegła go Iwona.

- Zobaczą tylko, co jest po drugiej stronie. Zaczekaj tu na mnie.

Czołganie się przez wąski kanał nie było łatwe. Powierzchnia stropu najeżona była ostrymi krawędziami, o które co rusz zaczepiał ubraniem. Na szczęście już po chwili Mikołaj na czworakach zsunął się na chodnik po drugiej stronie.

Przeszedł kilka kroków, świecąc uważnie. Kiedy miał już wracać, chodnik kończył się nierówną studnią. Poświecił w dół, ale dna nie można było dostrzec, gdyż studnia kilka metrów poniżej otworu odchyłała się od pionu.

Już miał zawrócić, kiedy w ścianie studni dostrzegł metalowy przedmiot. Położył się na krawędzi i sięgnął w dół. Wymacał kawałek chłodnego metalu, zakończony uchem. Zaczął ruszać nim i już po chwili trzymał w ręku oksydowaną na czarno blachę, która wyglądała jak nowa. Bez trudu rozpoznał hak Paetzla, znany mu ze studenckich wypraw wspinaczkowych.

* * *

Wielce Szanowny Mistrzu Jeroen!

Mam nowiny, które mogą Cię zaciekawić. Nasz nieszczęsny współbrat przedwczoraj został uwięziony. Dosłownie w ostatniej chwili zdążył powierzyć mi transakcję zakupu ziemi, którą mam z Tobą przeprowadzić w jego imieniu. Nieborak uradował się, kiedy mu powiedziałem, że zgadzasz się nabyć jego grunty po cenie bardziej korzystnej dla niego niż dla Ciebie. W jego sytuacji pociecha to dość licha, ale odpowiednio ciężka sakiewka już niejednego z różnych opresji wybawiła, więc jest i dla niego jeszcze jakaś nadzieja. Jeśli chodzi o ziemię, którą chcesz sprzedać, to sprawa musi nieco się odwlec. Siostrzeniec rabina o coś skłócił się z rodziną narzeczonej (czyli najpewniej o posag), dlatego do budowy domu, a tym samym do kupna ziemi, teraz nie ma głowy. Skoro już poruszyłem kwestie matrymonialne, to jeszcze dodam, iż niedawno otrzymałem list od księcia Filipa, który napomknął, że jego teściowie chcą młodszą córkę wydać za angielskiego królewicza. Przytoczę ci słowa księcia: „W zamyśle rodziców mojej żony przyszedł angielski król Artur ma dzięki ich córce uczynić z Anglii hiszpańskiego wasala”. Co Ty na to, Jeroenie? I co na to nasz cesarz Maksymilian? O tym jego syn nic nie wspomniał. Może Jego Cesarska Wysokość jeszcze nic nie wie? Może młódka Katarzyna (takie jest imię przyszłej narzeczonej, która - o ile mi wiadomo - ma lat około dwunastu) w tajemnicy przed rodzicami napisała o tym do siostry, a ta zwierzyła się mężowi i poza nami nikt nie ma świadomości, że szykuje się sojusz Hiszpanii z Anglią. Sojusz nierówny, jak słusznie zauważył książę Filip, bo król Ferdynand i królowa Izabela nie mogliby takiego sprzymierzeńca traktować inaczej, jak suweren traktuje wasala.

Drogi Jeroenie, lepiej jednakże wróćmy do naszych spraw. Pisałeś mi, że w ogrodzie ludzi i zwierząt już dosyć wytworzyleś i że teraz wypadłoby zająć się krajobrazem. Całkowicie z Tobą się zgadzam. A więc nakreślę Ci pokrótce, jak ów krajobraz ma wyglądać. Przede wszystkim - już Ci kiedyś o tym wspominałem - wokół musi rosnać mnóstwo roślin i muszą rozlewać się wody. Niech to będzie jak najbardziej naturalne i sielankowe. A na tym tle umieść rozmaite dziwne przedmioty. Im dziwniejsze, tym lepiej. Z prawej strony ogrodu niech stanie monstrualny przyrząd, trochę przypominający maszynę oblężniczą, a trochę inkwizycyjne narzędzie tortur, ale i od jednego, i drugiego musi być bardziej fantastyczny. Na środku postaw przedmiot kulisty, ponad którym sterczy wyniosła wieża. Wewnątrz kuli niech poruszają się miniaturowe ludzkie figurki, oczywiście nagie. Oprócz tego spraw, by niektóre z Adamowych dzieci, bawiące w różnych częściach ogrodu, także znalazły się w przezroczystych kulach, ale nie tak wielkich i bez owej wieży. Powinny wyglądać niby pisklęta w przejrzystych jajach. Mogą też mieć także kule na głowach, na podobieństwo zdeformowanych aureoli albo przezroczystych hełmów. Po niebie niech latają różne zadziwiające stwory, które w żaden sposób nie mogą przypominać zwykłych ptaków. Niech zdają się raczej wykonane ręką człowieka, wszelako taką daj im postać, by nie kojarzyły się z żadnym z wynalazków, jakie do tej pory ludzkość poznała.

Liczę, Mistrzu Jeroen, na Twoją pomysłowość, na której nigdy się nie zawiodłem. Na koniec jeszcze raz przypomnę, byś przeczytany list spalił, zanim upadnie w czyjekolwiek ręce.

*Oddany Ci mecenas i przyjaciel
Jacob Almaengien, Philips van Sint Jaan*

* * *

- Zaimponowaliście mi - do uszu Mikołaja dobiegł miękki głos. Niewiele widział, gdyż z chwilą, kiedy wyszedł ze sztolni czyjeś silne i zręczne ręce zerwały mu z głowy latarkę, a następnie szerokim plastrem zalepiły usta oraz skrępowały wykręcone do tyłu ręce. Stało się to tak szybko, że nie zdążył wykonać żadnego ruchu w obronie.

Przeszli kilkadziesiąt metrów w stronę kamieniołomu, który wyglądał jak przecięta na pół góra ze skalistymi niemal pionowymi ścianami. Podjęli krótką wspinaczkę pod górę, aż znaleźli się na platformie znajdującej się dziesięć metrów nad ziemią. Mimo nieprzeniknionej nocy wyczuwało się głębię otchłani rozpościerającej się przed nimi oraz trudne do zdefiniowania - ba! - irracjonalne wrażenie twardszej substancji skał kamieniołomu na lewo. Mikołaj zapamiętał, że u podnóża platformy, na której się znajdowali, był płytki staw z głazami, jednak w ciemnościach nie mógł go dostrzec, jedynie zmysł węchu drażniła woń łopianów pomieszana z zapachem wilgotnego żwiru.

Mężczyzna, który do nich przemówił, zapalił na moment latarkę, i osłaniając ją tak, żeby nie mogli dostrzec jego twarzy, oświetlił swoją rękę, w której trzymał sporych rozmiarów, czarny pistolet. Zgasił światło, upewniwszy się, że i Mikołaj, i Iza zauważyli broń i zrozumieli przestrożę.

Nagle dostrzegli na ziemi malutki, zielony punkcik, jakby od wskaźnika laserowego. Punkcik tańczył chwilę, po czym odnalazł nogi Izy i przesunął się na wysokość jej piersi.

- Teraz zdejmę ci plaster z ust, ale nie kombinuj.

Potwierdził swoje słowa przeładowaniem broni. Punkcik celownika zbłądził na chwilę i wrócił natychmiast na poprzednie miejsce. Mikołaj skłamał głową, chociaż mężczyzna nie mógł zbyt wiele widzieć.

- Czego od nas chcesz? - spytał Mikołaj, kiedy minął krótkotrwały ból spowodowany zerwaniem plastra.

- Informacji.

Mikołaj poczuł chłód w nogawkach. „Rany, zsiąłem się, i nawet nie wiem kiedy”, pomyślał.

- Kim jesteś? - spytał.

- Nie interesuj się - uciął mężczyzna. - Po co tam byłeś?

- Chcieliśmy zbadać sztolnię - odpowiedział Mikołaj niepewnie.

Zamiast kolejnego pytania dostał cios poniżej pasa tak, że przez chwilę nie mógł złapać oddechu.

- Mów prawdę. Ułatwię ci zadanie - jesteś Nicholas, a ta panna to Iza. Wzięliście udział w morderstwie Paula Hardenne, a teraz jesteście tu w związku ze skrzynią.

- Chcieliśmy zbadać miejsce, gdzie została znaleziona - Mikołaj zrozumiał, że mężczyzna nie żartuje.

- Po co? Co wiecie?

- Wiemy, że właścicielka kopalni znalazła średniowieczną skrzynię, która jest ludzako podobna do skrzyni z obrazu Boscha.

- Skąd wiedzieliście, że można się dostać do miejsca znalezienia z tej strony?

- Iw... - Mikołaj ugryzł się w język. Zorientował się już wcześniej, że nie było z nimi Iwony. - Widzieliśmy stare mapy kopalni i wydało się nam to prawdopodobne.

- Po co tam szliście?

- Szyrska nie pozwoliła nam wejść przez kopalnię. Byliśmy ciekawi, czy ktoś mógł ukraść zawartość skrzyni. Bo kto by zamuroвывwał pustą skrzynię w kopalni? - zapytał Mikołaj retorycznie.

- Co jeszcze wiecie?

- Wiemy jeszcze, że skrzynia była promieniotwórcza.

- Skąd to wiecie? - w głosie mężczyzny zabrzmiało nieskrywane zdumienie.

- Od Szyrskiej. Powiedziała, że dlatego skrzynia nie przejechała przez granicę.

Kolejny, tym razem znacznie silniejszy cios spowodował, że Mikołaj padł na ziemię i zwinął w kłębek. Jęczał kilka minut. Zza chmur na moment wypłynął księżyc, w którym Mikołaj dostrzegł odbicie stawu wraz ze złowrogimi głazami. Przez moment myślał o ucieczce w dół, ale to byłoby szaleństwo. Zielony punkcik nie niknął z piersi Izy, co ostatecznie odjęło mu chęć do ucieczki.

- Wstań! - warknął mężczyzna. - Skąd wiesz o promieniowaniu?

- Wzięliśmy próbkę, żeby zbadać wiek skrzyni. Okazało się to niemożliwe, gdyż próbka wykazywała podwyższone promieniowanie. Reszty się domyśliliśmy.

- Grzeczny chłopiec - mężczyzna odetchnął.
- Co z nami chcesz zrobić? - zapytał Mikołaj.
- Zabiję was. Bez urazy - odpowiedział. - Myślałem, żeby was zastrzelić i porzucić gdzieś przy drodze, ale zdaje się, że romantyczne samobójstwo w kamieniołomie to lepszy pomysł.

Zielony punkcik przepełził z piersi Izy na czoło Mikołaja. Ten poczuł, jak zlewa go zimny pot.

- Powiesz nam, co było w skrzyni? - spytał cicho.
- Właściwie to czemu nie - mężczyzna zastanowił się. - W zasadzie nie macie żadnych szans.

Mikołaj ocenił sytuację. Stali na skalnej płycie nad urwiskiem, podczas gdy mężczyzna z bronią zamykał wąską drogę, którą wdrapali się na półkę. „Nawet jeśli skoczymy w dół, to się połamiemy. Wtedy sukinsyn zejdzie i nas dobije”, pomyślał. Odnalazł w ciemności lodowatą rękę Izy i mocno ją ścisnął. Zrozumiała jego zamiar i odwzajemniła uścisk.

- W skrzyni był Graal.
- Chryste - wyszeptał Mikołaj.
- Ale nie taki, jakim znają go chrześcijanie. To po prostu urządzenie do...
- Gabriel?! - wykrzyknęła Iza nieoczekiwanie.

Mężczyzna urwał. Zielony punkcik zatańczył i zniknął, a z miejsca, w którym stał, dało się słyszeć soczyste przekleństwo.

- Tutaj! - z ciemności dało się słyszeć głos Iwony. - Prędko, zanim odnajdzie tę swoją pukawkę. Tędy!

* * *

W mieszkaniu Mikołaja świt sączący się przez brudne od deszczu okna wydobywał szare kształty mebli, rozrzucone ubrania, ubłocone buty i duży, dębowy stół, na którym leżały porozrzucone papiery i naczynia z pośpiesznej kolacji.

Iza uniosła się na łokciu i przyglądała śpiącemu obok Mikołajowi. Cała historia w kamieniołomie przeraziła ją tak bardzo, że całą drogę powrotną

do Wrocławia drzemała w otępieniu. Po dwóch godzinach zwierzęcego snu obudziła się, czując przyjemne podniecenie. „Nie pieprzyliśmy się już z miśsią”, pomyślała, odsuwając ostrożnie kołdrę, którą przykryty był Mikołaj, tak by go nie obudzić.

Spała na plecach. Jego szczupły brzuch unosił się miarowo. Penis leżał na boku, śmiesznie skurczony i ciepły. Wzięła go delikatnie do ust, czując, jak powoli twardnieje. Za każdym, coraz silniejszym pulsowaniem wracało poczucie bezpieczeństwa i kontroli nad facetem, którego zdążyła pokochać.

Spuścił się po kilku minutach, niemal się nie budząc. Wymamrotał jakieś nieprzytomne czułości i zasnął przytulony do piersi Izy. Sięgnęła ręką do krocza i już po chwili spała odprężona.

Obudzili się niemal jednocześnie, kilka godzin później.

- Idę po pieczywo - powiedział Mikołaj.
- Nie idź, boję się - patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.
- Daj spokój, przecież po tym, co zrobili, nie odważą się przyjechać tutaj.
- Dlaczego nie zawiadomiliśmy policji?
- A co mielibyśmy im powiedzieć? Że szwendaliśmy się w nocy po kopalni, a wcześniej włamaliśmy się do biura?
- Boję się, nie wychodź sam.
- Przestań, jest dzień, a facet po takich ekscesach raczej nie będzie chciał rzucać się w oczy. To był naprawdę Gabriel?
- Jestem niemal pewna. I nie mogę sobie darować, że nie zorientowałam się wcześniej. To wszystko przez tę brodę.

Iza odetchnęła z ulgą, słysząc zgrzyt zamka. Mikołaj wrócił z zakupami. Robiła kawę, kiedy zauważył, jak usiłuje opanować drżenie rąk. Gdy ją przytulił, wpadła w szloch. Uniósł ją bez trudu i posadził na stole. Pod szlafrokiem nie miała majtek. Wszedł w nią, nie dbając o komicznie opuszczone do kolan dżinsy. Już po chwili Iza uśmiechała się przez łzy, szczęśliwa i zaspokojona.

Po śniadaniu zabrała próbkę drewna i pojechała na uczelnię. Mikołaj zadzwonił do pracy i zgłosił nieobecność, po czym usiadł do Internetu. „Od czego by tu zacząć?”, zastanowił się.

Hasło „Graal” po chwili poszukiwań porzucił. Większość odnośników sięgała do okultyzmu, a poważni autorzy albo pisali, że jest to mityczny kielich, albo twierdzili wprost, że nie jest pewne, czym Graal był. Poszukiwania przerwał telefon.

- Słucham?

- Dzień dobry - Mikołaj rozpoznał głos Ciechana. - Wszystko w porządku?

- Tak, do Paczkowa zawiozła nas Iwona, potem obyło się bez problemów.

- Iwona opowiedziała mi wszystko. Niestety tej samej nocy włamano się do biura Szyrskiej.

- Cholera, to Mariusz będzie miał kłopoty.

- Nie, został odurzony chloroformem i związany, więc jest poza podejrzeniami. Ale postanowiliśmy nie mówić mu o napadzie na was, więc dzwonię was uprzedzić. On nie zna waszych nazwisk, zresztą poprosiłem go, żeby o was nie wspominał.

- Dziękuję.

- Mam jeszcze coś. Dziś odwiedziła mnie niejaka Izabela Głazik, która ma pamiętnik niemieckiego pilota z drugiej wojny światowej.

- Tak?

- Dotarła do mnie przez Internet, ona sama jest typową poszukiwaczką skarbów i sensacji. Z tego pamiętnika wynika, że pilot lądował w 1944 na małej łące nad Żłotym Stokiem. Miał transport z Polic, ale nie pozwolono mu nawet wysiąść z samolotu. Podjechała ciężarówka, zabrała zawartość i odjechała. Opis miejsca wskazuje na Bajcerówkę i bliskość wąskotorowej kolejki kopalni.

- Ciekawe. Może przywiózł skrzynię?

- Właśnie tak sobie pomyślałam. Z tekstu pamiętnika wynika, że pilot był oficerem Ahnenerbe, czyli wydziału SS odpowiedzialnego za różne tajemnicze sprawy, na punkcie których Hitler miał hopla.

- Tylko co mogło w niej być?
- Próbuje to zrozumieć. Jak tylko na coś wpadniemy, na pewno się odezwę.

Mikołaj wklikał hasło Ahnenerbe. Rzeczywiście istniała taka formacja, nadzorowana osobiście przez Heinricha Himmlera.

„Himmler - twórca SS, miłośnik okultyzmu. Gdy zakładał SS, chciał, żeby formacja ta była kontynuatorem tradycji Rycerzy Graala”.

* * *

- Ekspertyza - Iza rzuciła na stół szarą kopertę.
- Tak szybko?
- Ma się te babskie sposoby - zaśmiała się.
- Czytałaś?
- Kolega, który to analizował, nie chciał mnie wypuścić.
- Dlaczego?
- Trzymaj się mocno: to drzewo zostało ścięte w 1188 roku!
- O cholera...
- Czarek nie mógł mi podarować, skąd mamy tak dużą i tak doskonale zachowaną próbkę. W każdym razie, jak stwierdził, pobranie takiej próbki z czegokolwiek, co było wykonane ręką człowieka, to przestępstwo.
- A może się pomylił?
- Wykluczone. Ta próbka ma kilkaset lat, to musiało być naprawdę stare drzewo. Mówił jeszcze, że pochodzi z południowej Europy.
- To znaczy, że ta skrzynia mogła być zrobiona z jednego kawałka.
- Tak. I mogła być na obrazie Boscha.
- Cholera, a teraz jakiś obcokrajowiec ją ukradł - powiedział ze złością Mikołaj.
- A ty znalazłeś coś?
- Tak. Ciechan zadzwonił, żeby dowiedzieć się, czy wszystko w porządku i mówił, że zgłosiła się do niego jakaś kobieta, która ma pamiętnik pilota

z drugiej wojny światowej. Okazało się, że miał lot z tajemniczym ładunkiem w 1944 roku. Zanotował to, bo nie mógł nawet wysiąść z samolotu.

- A jak to się ma do naszej sprawy? Tam pewnie lądowało sporo samolotów.

- Niby tak, ale pilot był oficerem Ahnenerbe, organizacji SS zajmującej się okultyzmem.

- Ciekawe. I przywiózł pustą skrzynię?

- Z pewnością była pełna. Ktoś ją obrabował, dostając się do kawerny z drugiej strony, tak jak ja.

- Doszedłeś aż do kawerny?

- Nie, ale doszedłem do pionowego szybu, który do tej kawerny prowadzi. Odkryłem tam hak alpinistyczny. Skrzynia po prostu nie zmieściła się przez wąski kanał, którym się przeczołgałem.

- Co w niej mogło być?

- Według faceta, który chciał nas zabić, Święty Graal.

- Kielich? Daj spokój, on sobie robił z nas jaja.

- Niekoniecznie. To musiało być coś ważnego, skoro opłacało mu się ryzykować pobicie albo nawet morderstwo dla samego opakowania.

- Tysiącletnia skrzynia musi być warta majątek.

- Myślę, że sposób działania wskazuje raczej na wartość pozamaterialną.

- Chyba jestem na to za głupia - Iza pokręciła zrezygnowana głową. Sięgnęła po Fraengera. - Może przeanalizujemy zawartość skrzyni na obrazie?

- Dobry pomysł.

Pochylili się nad reprodukcją.

- Szczur w czapce, mieszek ze złotem, podpórka w kształcie parasolki, szklanka. No i jakiś przedmiot.

- Może chodzi o ten przedmiot?

- Może. Ale nie widać go dokładnie. Tylko czerwony guzik.

- Jak mógł powstać taki obraz?

- Zapewne Bosch miał tę skrzynię w domu i malował z natury. Może nie wiedział nic o przeznaczeniu naszego gadżetu, a skrzynię wykorzystywał jako mebel?

- W sumie to prawdopodobne.

- Ale co to może być? I czy to jest to, co było w skrzyni, zanim została opróżniona?

- Pojęcia nie mam.

- Pamiętasz? Skrzynia była napromieniowana.

- Czekaj! Skoro promieniowanie wtórne po kilkuset latach uszkodziło błony fotograficzne, to sam gadżet musiał świecić jak mała bomba atomowa.

- Jak umarł Bosch?

- Chyba nie jakoś spektakularnie. Nie na tyle, żeby zachowała się o tym jakaś informacja.

- Kto mógł mieć tę skrzynię po nim?

- Bo ja wiem? Każdy.

- Może ktoś z jego otoczenia miał objawy choroby popromiennej?

- Nie dojdziemy do tego. Kiedyś przyczyny śmierci nie były znane, chyba że kogoś otruli - roześmiał się Mikołaj.

- A ten hiszpański król, który kupował od niego obrazy?

- Filip II? To pewnie da się sprawdzić.

Iza po chwili podniosła głowę znad komputera.

- Przez całe życie cierpiał na poważne choroby skóry, zmarł w męczarniach.

- Bingo! To dość typowe!

- Czyli jest poszlaka, która wskazuje na to, że nasz gadżet był w skrzyni w szesnastym wieku.

- A wcześniej? Później?

- Trudno będzie wyszperać te zależności. Możemy próbować szukać w dynastii Habsburgów.

- Ale co to było?

- Nie wiem, ale wzbogacanie pierwiastków ziem rzadkich wynaleziono w latach czterdziestych dwudziestego wieku. A żaden z pierwiastków występujących naturalnie nie promieniuje aż tak bardzo.

Mikołaj wyjął z koperty ekspertyzę i pograżył się w lekturze.

„Próbka zawiera przekrój poprzeczny pnia drzewa. Na podstawie wyglądu ustalono, że jest to wiąz. *Ulmus L.*, pochodzący prawdopodobnie z obszaru południowo-zachodniej Europy”.

Mikołaja coś tknęło. Bez słowa zabrał Izie laptopa. Po chwili spokojnym głosem zakomunikował:

- W 1188 roku ścięto pewien wiąz. Miało to miejsce w Szwajcarii, w mieście Sion.

* * *

Wielce Szanowny Mistrzu Jeroen!

Ogromnie się cieszę, że nasza wizja ogrodu w Królestwie Tysiącletnim przybiera pożądaną postać. Z Twojego ostatniego listu wynika, iż dzieło niebawem powinno być gotowe. W przyszłym tygodniu, na Świętego Jana, wybieram się do księcia Filipa, który zaprosił mnie na skromną nieoficjalną uroczystość zorganizowaną w zaprzyjaźnionym gronie dla uczczenia imienin jego małżonki. Na szczęście dla mnie w owych rodzinnych obchodach zabraknie teścia solenizantki. Cesarz Maksymilian ostatnio krzywym okiem na mnie spogląda, widocznie nie pozbywszy się podejrzeń co do mojej herezji. Nie spieszo mi leżć przed Jego Majestat niby mucha w pajęczą sieć i byłbym wymówił się do przybycia na dwór Filipa, gdyby książę nie napisał mi, że jego ojciec jest teraz zbyt zajęty kaptowaniem sojuszników przeciw Francji, by świętować imieniny synowej. Tak więc przez jakiś czas pobędę w książęcej siedzibie, nie wiem dokładnie jak długo, dlatego chciałem Cię uprzedzić, że w ciągu najbliższych dni, a może i tygodni, nie będę do Ciebie pisać ani Twoich listów odbierać. Na wszelki wypadek wolałbym nie korespondować w naszej sprawie, przebywając w gościnie u cesarskiego syna, który wprawdzie sam nijakiego zagrożenia dla nas nie stanowi, wszelako to trzeba mieć na uwadze, iż w owych murach nie on jeden mieszka. Bóg wie, kto spośród jego świty jest szpiegiem nasłanym przez ojca, teściów albo choćby i papieża. W każdym razie ostrożność nigdy nie zawadzi.

Póki zaś jestem u siebie i nikt nie śledzi moich poczynań, podam Ci jeszcze nowe wskazówki. Otóż chciałbym, drogi Jeroenie, żebyś na razie

zostawił centralny rajski ogród i powrócił do prawoskrzydłowego piekła. Trzeba jeszcze nieco je udoskonalić. Umyślnie zlecam Ci to dopiero teraz, gdy już prawie całe dzieło masz skończone, a czynię tak z powodów, które poznasz nie prędzej, aż staniesz się jednym z nas. Nadal nie tracę nadziei, iż to nastąpi - wcześniej czy później. Tymczasem zajmijmy się naszym piekłem. W jego północnej części, ponad całym zbiorowiskiem monstrualnych stworów, ludzkich zwłok i wijących się w konwulsyjnych męczarniach potępieńców, niech ukaże się świecące w mroku dogasające pogorzeliśko. Zza smug dymu i ognistych płomieni uwidoczniej szczątki budynków o kształtach tak osobliwych, jakie tylko Ty potrafisz wyimagować. Niżej, na południowy wschód od wielkiej długowłosej głowy, umieść małą ludzką figurkę, zupełnie nagą, wygiętą do przodu, niby w głębokim ukłonie i stojącą na zawieszonym w przestrzeni podłużnym przyrządzie, trochę podobnym do łódki. Jeszcze niżej dwie potworne bestie, przypominające lwy, albo raczej istoty, w których skrzyżowały się cechy lwa, dzika i psa, niech rozszarpują ludzkiego trupa. Zaś na dole musisz uzupełnić rozpuszną scenę z zawołowaną świnią. Otóż daj owej świni ludzkie nogi, a na jednej z nóg połóż zapisaną płachtę papieru. Napis skreślony drobnymi, ledwie widocznymi znakami takie słowa ma głosić: „Chrześcijanin chlubi się zabiciem poganina, gdyż w ten sposób wielbi Chrystusa”. Pamiętaj, Mistrzu, by przytoczyć ów cytat dokładnie, co do jednej litery.

To na razie wszystko w sprawie piekła. Gdy tylko będzie to możliwe, przyślę gońca z następnym pismem. Tymczasem żegnam Cię i powtórnie przestrzegam, byś listu, który teraz czytasz, nie zaniedbał w porę się pozbyć.

*Twój mecenas i przyjaciel
Jacob Almaengien, Philips van Sint Jaan*

* * *

- Podsumujmy - sędziwy nauczyciel historii podrapał się po brodzie - twierdząc, że widzieliście przedmiot, który został wykonany na potrzeby zakonu templariuszy około tysiąc dwusetnego roku. Na końcu historii mamy Filipa II, czyli początek renesansu, tak?

- Tak, panie profesorze.

Mimo że profesor nie był prawdziwym profesorem, tylko emerytowanym nauczycielem z ogólniaka, Mikołaj automatycznie tytułował go tak, jakby wrócili do relacji sprzed lat. Starszy pan ucieszył się, kiedy Mikołaj do niego zadzwonił i poprosił o spotkanie dotyczące średniowiecza. Bez problemu przypomniał sobie Mikołaja, chociaż od ich ostatniego spotkania minęło dziesięć lat.

- Przygotowałem się trochę z tego okresu, pamięć niestety już nie ta. Spróbujemy coś wymyślić.

- Zamieniamy się w słuch.

- W 1296 roku wielki mistrz zakonu Jacques de Molay zawarł przymierze z Janem I Aragońskim. Zapewne zrobił to, przeczuwając nagonkę na zakon. Nie był głupcem. Pójdźmy dalej tym tropem: Jan I Aragoński był dziadkiem Jana II Aragońskiego. Jego syn, Ferdynand II, zwany Katolickim, był dziadkiem Karola V Habsburga. Nadażacie? - uśmiechnął się.

- Staramy się - odwzajemniła uśmiech Iza. - Nawet robię notatki.

- Stąd już mamy prosto. Syn Karola V Habsburga urodził się w 1527 roku. Zwany podówczas Szatanem Południa, a dla poddanych - król Filip.

- I już? - zdziwił się Mikołaj.

- A czego chcieliście?

Profesor wyszedł do kuchni zrobić herbatę. Usłyszeli gwizd staromodnego czajnika i po chwili profesor przyniósł herbatę w tradycyjnych szklankach opatulonych w niepraktyczne koszyczki z aluminium.

- A zaspokoicie moją ciekawość, co to za przedmiot?

- Tak, oczywiście, a mógłby pan profesor ponudzić jeszcze o Filipie Habsburgu?

- Ponudzić, dobre sobie. Teraz to chcecie, żeby wam ponudzić, a na lekcjach spaliście - powiedział z przekąsem. - Ale dobrze. Co was interesuje?

- Bo ja wiem? Związki z Niderlandami, związki z Kościołem?

- Ciekawe - odpowiedział profesor. - Bo to są dwa tematy, z których Filip - tu profesor wykonał w powietrzu wyimaginowany cudzysłów - zasłynął.

- Co takiego? - zapytała Iza zaciekawiona.
- Filip był prokatolickim terrorystą. Za jego czasów rozkwitła Inkwizycja, stała się praktycznie najwyższą władzą na terenie całej Europy. Także religia była powodem nękania Niderlandów.

- Dlaczego?

- Niderlandy to kolebka protestantyzmu. Schizma była dla Kościoła bardzo niebezpieczna, gdyż pozbawiała go sporej części dochodów. Dlatego Filip, jako potężny władca, bardzo surowo obszedł się z tym regionem. Wysłał do Brukseli namiestnika, który przy pomocy wojska, Inkwizycji i podatków uciskał Niderlandy przez dobrych kilka lat. Skończyło się wojną wyzwolenczą w 1568 roku.

- Czy przychodzi panu do głowy coś szczególnego, związanego z Filipem?

- Szczególnego? Bo ja wiem... Na pewno miał bardzo bliski kontakt z Watykanem, bo kiedy wybierał się przeciwko Anglii, papież podpisał bullę, która pozbawiała protestancką królową Elżbietę władzy.

- To papież decydował o tym, kto będzie królem?

- Oczywiście. Władza Watykanu była praktycznie nieograniczona w tym względzie. To był rzeczywisty ośrodek władzy w Europie. Dość powiedzieć, że Hiszpania, do której wtedy szerokim strumieniem płynęło złoto z Ameryki, czterokrotnie zbankrutowała za rządów Filipa, a jednak za każdym razem pieniądze się znajdowały. Dla armii chrystusowej zawsze znajdowały się pieniądze - zakończył wyraźnie zniesmaczony.

- Hiszpania była przecież bogatym krajem?

- Ba! Najbogatszym. Wielka Armada liczyła ponad osiemdziesiąt dużych okrętów i była najpotężniejszą ówczesną flotą.

- To chyba nie tak dużo?

- Niedużo? Spróbujcie przełożyć to na dzisiejsze czasy. Jedno działo kosztowało tyle co kilka wsi, razem z ludźmi, budynkami i dobytkiem. A na jednym galeonie było takich dział z pięćdziesiąt.

„Wszystko pasuje. *Kodeks Nuttall* z pewnością dotarł do Europy na jednym z okrętów Armady, więc jako łup wojenny stał się własnością króla”, myślał Mikołaj.

- Kto był papieżem, kiedy de Molay podpisał przymierze z Janem Aragońskim?

- Zaraz - profesor szukał chwilę w pamięci - Bonifacy VIII. Ciekawa postać, swoją drogą. Jego życie upłynęło w otwartym konflikcie z Filipem IV, który wskutek kłótni o wpływy podatkowe między poddanymi, klerem, królem i Watykanem oskarżył go o dewiacje seksualne i bluźnierstwo. Umarł niespełna rozumu, ale pochowano go jak papieża, w Bazylice Świętego Piotra. Mam tu gdzieś album - profesor podszedł do ogromnego regału i wyjął sporych rozmiarów książkę. - Proszę - wręczył ją Izie. - Pani odnajdzie w indeksie, powinien być.

Iza po chwili otworzyła album, w którym było zdjęcie grobowca. Nad sarkofagiem znajdowała się tablica z napisem „Bonifacius Papa VIII” oraz równoramienny krzyż.

- To przecież krzyż templariuszy - cicho wykrzyknął Mikołaj.

- A co w tym dziwnego? Wtedy templariusze byli, jak wy to mówicie, na topie.

- Ma pan profesor więcej takich rewelacji?

- Rewelacja za rewelacją. Teraz wasza kolej.

Mikołaj z Izą opowiedzieli profesorowi historię skrzyni. Z każdym zdaniem profesor coraz bardziej unosił brwi, chrząkając co chwilę.

- Jeśli w tym, co mi opowiedzieliście, jest choćby ziarno prawdy, to brzmi to jak piękna przygoda.

* * *

Wydawało się, że to koniec historii z listami i eleganckimi kremowymi kopertami. Nie dawały znać o sobie od dłuższego czasu. Marcin oddychał z ulgą, choć musiał bardzo nad sobą pracować, żeby nie myśleć o tym, nie wracać do znalezionych listów i żeby nie robić nic w tej sprawie. Gdyby choć na jednej z kopert było jakieś nazwisko, adres, cokolwiek, mógłby się odezwać, zapytać, o co chodzi, poprosić o ciąg dalszy. A tak mógł być tylko ze swoimi myślami. I tymi dziwnymi listami. To nie był jednak koniec eleganckich kremowych kopert. Kolejną znalazł na siedzeniu swojego

samochodu. To spowodowało, że się przestraszył. Ten ktoś był bardzo blisko. Miał kluczyki do jego samochodu. Nie chciał otwierać kolejnej koperty, ale wygrała zwykła ciekawość. Na bileciku była informacja: *Cierniem koronowanie*, National Gallery, Londyn. Chyba tylko to, że kolejny list, o ile to będzie list, miał znajdować się w mieście, w którym mieszkał, postanowił go odnaleźć. Chociaż wcześniej chciał uznać temat za zamknięty. Wybrał się więc w niedzielne popołudnie na samotny spacer śladami sztuki dawnej. W galerii dowiedział się, że *Cierniem koronowanie* to obraz Boscha i że znajduje się w salach z malarstwem religijnym. Marcinowi wydawało się absurdem, że ktoś zostawił mu list w galerii, pod obrazem, nad obrazem, przyklejony do ściany? Nie umiał nawet sobie tego wyobrazić. Zresztą nie musiał. Wyobraźnia bowiem w ciągu kilku minut stała się rzeczywistością. I oto miał w rękach kolejną elegancką kremową kopertę. Jej zawartością był dwustronicowy maszynopis o następującej treści:

„Na podstawie papieskiej konstytucji z 11 lutego 1887 papież Leon XIII powołuje do życia Amministrazione delle Opere di religione (AOR), czyli administrację odpowiedzialną za zarządzanie dziełami religijnymi. Instytucja ta początkowo była jedynie zbiorem dzieł sztuki i miejscem zarządzania pozostałym majątkiem papieskim oraz odszkodowaniem, jakie młoda monarchia włoska przyznała Stolicy Apostolskiej za utratę terytorium Państwa Kościelnego w 1870 roku. Ponadto pod zarządem AOR były też roczne apanaże wypłacane do czasu traktatów laterańskich w 1929 roku, jakie papież otrzymał od państwa włoskiego. AOR zarządzana bezpośrednio przez papieża Leona XIII nie była bankiem i jako taki nie występowała. Do 1942 roku istnienie tej administracji było mało znane.

Papież Pius XII 27 lipca 1942 roku przemianował AOR na Istituto per le Opere di Religione (IOR, Instytut Dzieł Religijnych), a 24 stycznia 1944 roku przekształcił IOR w prawdziwy niezależny bank. Natomiast termin bank watykański został użyty znacznie później. Dzięki wpłatom na

podstawie traktatów laterańskich oraz zręczności finansowej pierwszego dyrektora IOR, Nogara Bernardino, aktywa IOR rosły bardzo szybko. Nie wszystkie decyzje inwestycyjne były popierane przez opinię publiczną. Krytykowano na przykład, że niektóre firmy, w których IOR posiadał udziały, były zaangażowane w zbrojenie Włoch czy też w produkcję środków anty-koncepcyjnych.

W 1968 roku władze watykańskie zatrudniły jako doradcę finansowego Michaele Sindonę nie zwracając uwagi na jego wątpliwą przeszłość. Sindona razem z innym bankierem, Roberto Calvi, który zarządzał Banco Ambrosiano, byli kojarzeni z praniem brudnych pieniędzy. Obaj byli członkami loży masońskiej Propaganda Due. Pod koniec 1970 roku wybuchł skandal dotyczący nieprzejrzystych transakcji, w który zamieszani byli IOR, Banco Ambrosiano i mafia. Głównym udziałowcem Banco Ambrosiano był właśnie IOR. Banco Ambrosiano został oskarżony o pranie brudnych pieniędzy ze sprzedaży narkotyków przez mafię sycylijską. Ściśle z tym skandalem związane było nazwisko szefa IOR w latach 1971-1989, arcybiskupa Paula Marcinkusa. To jemu zostały przypisane związki z włoską mafią. W 1978 roku papież Jan Paweł I został poinformowany o przestępstwach w banku watykańskim. Polecił więc sekretarzowi stanu i szefowi kurii papieskiej dokładne zbadanie sprawy. Papież zmarł po 33 dniach urzędowania, co prowadziło do podejrzeń, że został zamordowany w wyniku odkrycia skandalu. W 1982 roku, po tym jak upadł Banco Ambrosiano, zamordowano bankowca Roberta Calvi. Za jego zabójstwo winiono Watykan. W 1984 roku IOR zgodził się zapłacić 224 miliony dolarów 120 udziałowcom upadłego Banco Ambrosiano jako uznanie moralnego zaangażowania w upadek banku. Upadek Banco Ambrosiano i dochodzenie upadłości, śmierć Roberto Calvi i Jana Pawła I stały się realnym zagrożeniem nie tylko dla IOR, ale dla reputacji Watykanu w ogóle. Te wydarzenia zostały przedstawione między innymi w filmie *Ojciec chrzestny III* z 1990 roku. Jednakże dowody na istnienie domniemyanych powiązań nie są dostępne. W sprawie arcybiskupa Marcinkusa sformułowano akt oskarżenia w 1982 roku, jednak nigdy nie

stał on przed sądem ze względu na orzeczenia sądów włoskich, że „ksiądz, jest wysokim rangą duchownym z Watykanu i korzysta z immunitetu dyplomatycznego”. Przypuszcza się, że za pośrednictwem Banco Ambrosiano Watykan potajemnie finansował polską Solidarność. W rezultacie papież Jan Paweł II powołał radę opiekunów stworzoną z 5 kardynałów tzw. Commissione Cardinalizia di vigilanza. Gremium to powinno czuwać, żeby IOR ponownie nie angażował się w podejrzane interesy i żeby sam ich nie inicjował.

Instytut Dzieł Religijnych (Istituto per le Opere di Religijne, IOR), powszechnie znany jako bank watykański, znajduje się na terenie Watykanu. Jest prowadzony przez profesjonalnych urzędników bankowych, którzy podlegają bezpośrednio komisji kardynałów, a ostatecznie papieżowi. Celem IOR jest zapewnienie bezpiecznego przechowywania i zarządzania ruchomości i nieruchomości przekazanych i powierzonych przez osoby fizyczne lub prawne, przeznaczonych do działań religijnych lub społecznych. W przypadku IOR wypracowany zysk nie trafia do akcjonariuszy jak w normalnym banku, a kierowany jest na cele religijne i charytatywne.

Obecnie IOR obraca majątkiem na własny rachunek w imieniu każdego papieża, który zgodnie z prawem jest jedynym właścicielem IOR. IOR funkcjonuje obecnie jako rodzaj banku centralnego dla Kościoła katolickiego na świecie. Wiele diecezji, zakonów, fundacji i innych instytucji katolickich ma konta w IOR. IOR nie ujawnia swoich sprawozdań finansowych. Mówi się jednak, że bank watykański jest bankiem przynoszącym zyski. Pod koniec listopada 1989 roku szef rady nadzorczej IOR, Angelo Caiola oszacował majątek IOR na kwotę około 3.5 miliarda euro, która to kwota składała się przede wszystkim z zagranicznych papierów wartościowych. Podano, że za ważny majątek uchodzą udziały w pięciu bankach, bez wymieniania ich nazwy. W 1990 roku bank zainwestował ponad 10 milionów dolarów w spółkach zagranicznych. W 1994 roku kardynał Castillo Lara podał, że kwota depozytów wynosi około 4 miliardów dolarów. Dochód netto wyniósł

w tym samym roku według Lara około 40 milionów. Rezerwy złota IOR założone przez Bernardino Nogara w 1930 roku składały się, według informacji z prefektury spraw ekonomicznych Stolicy Apostolskiej, w styczniu 1992 roku z 235 765 uncji (była to równowartość około 83 mln dolarów). Pod koniec 1992 roku było to tylko 139 302 uncji, a na koniec 1993 roku tylko 47 772 uncji złota”.

Rozdział V

Sąd ostateczny

prof. Enri Rosigniole,

Podsekretarz Kongregacji Instytutów Życia Konsekwowanego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego

Celem mojego listu jest wyjaśnienie trudnych spraw, których obecne ujęcie spotyka się ze sprzeciwem części sióstr w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą. Przedstawiciele Kongregacji spotkali się z metropolitą lubelskim i jego biskupem pomocniczym. Dużo czasu poświęcili na rozmowy z obecnym zarządem Generalnym Zgromadzenia Sióstr Rodziny Betańskiej, zainteresowanymi siostrami z różnych domów zakonnych, osobami przebywającymi w klasztorze w Kazimierzu Dolnym, siostrami, które ten klasztor opuściły, rodzinami niektórych sióstr, księdzem dziekanem parafii w Kazimierzu Dolnym i osobami związanymi ze Zgromadzeniem. Jako osoba wyklęta, a przez wielu odrzucona i krytykowana, mniemam, że cel rozmów jest słuszny, a chodzi o zatarcie śladów istnienia grzesznej siostry lub sióstr, podobnie jak to czyniono w imię Boskie ze mną, w szeregach kapłańskich...

Na tym zakończę serdeczny ton mego listu. Dość tych bzdur i trwania w rozumieniu i wybielaniu waszych działań! Oskarżam was o tuszowanie kłamstw, tak w tym przypadku, jak i w całym waszym świętym dorobku. Wasz Kościół, ten cały wasz biznes, jest zbudowany na kłamstwie. Żaden Stalin, żaden Mao Tse Tung nie uczynił tyle zła, co wasza Boska, prowadząca do zbawienia świata instytucja. Okrutni oprawcy zginęli, odeszli, a wy trwacie. Kazaliście mi, każecie innym wierzyć w szatana. Po co? Po to,

by potem nim straszyc. Piętnujecie artystów, muzyków, myślicieli epitetami o satanistach, ale to wy wymyśliliście szatana, piekło i teraz z tego życie. Posunę się dalej: to wy jesteście bandą satanistów. A piekło stworzyliście w naszych umysłach. To wasza ideologia zła, potępienia, grzechu i kary. A ja? Zostałem zwabiony waszymi obietnicami wiecznego szczęścia i niebieskiej nagrody. I stałem się tylko smutną ofiarą choroby, która zżera was od środka, od wieków. A ta choroba to chciwość, żądza władzy i urojeń o własnej niepokalanej wielkości lub świętości... Brzydzę się sobą tak jak wami! Wszyscy razem jesteśmy chodzącą patologią, która wymknęła się spod kontroli, a z upośledzonych, nienormalnych lub naiwnych zrobiła poczet świętych, do których każecie się modlić. Przeklinając siebie, przeklinam was. Na wieki wieków. Amen!

Były ksiądz, Gabriel R.

* * *

- Mikołaj...

Przez cały wieczór Iza była inna niż zwykle. Najpierw wyszła z domu, nie mówiąc dokąd. Wróciła po dwóch godzinach i bez słowa poszła do wanny. Przebrana w zielony szlafrok, zrobiła sobie ogromny kubek herbaty owocowej i usiadła naprzeciwko Mikołaja.

- Tak?

- Ja już nie mogę - z tymi słowami Iza wpadła w histeryczny szloch i skryła się w jego ramionach. Mikołaj, nie wiedząc, o co chodzi, głaskał ją nerwowo, czekając na wyjaśnienia.

- Ja wszystko ci powiem... wszystko. Tylko nie zostawiaj mnie, obiecaj, że mnie nie zostawisz, dopóki nie skończymy rozmawiać, dobrze?

- Ale o co chodzi?

- Ja... ja wszystko wiem.

- Ale co?

- Wszystko, Miki, od początku - patrzyła poważnie, szukając oczami zrozumienia.

- Mów, do cholery, jaśniej.

Zawahała się. Zapadło kłopotliwe milczenie, Iza jakby zastanawiała się, czy ma kontynuować, czy nie. Wtedy do drzwi rozległo się ciche pukanie.

- Nie otwieraj.

Mikołaj popatrzył pytająco.

- Proszę, nie otwieraj.

- Zobaczę, kto to.

- Nie! - krzyknęła. - Ja wiem, kto to jest.

- Kto? - podniósł zdziwiony brwi.

- Nie pytaj, proszę. Wszystko ci opowiem.

Mikołaj opadł na sofę zrezygnowany. Pukanie już się nie powtórzyło. Jego twarz przyjęła zasadniczy wyraz.

- Słucham więc.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Może od dużego poziomu ogólności - uprościł.

Iza ujęła oburącz kubek z herbatą i patrzyła długo w czerwony napój. Mikołaj czekał.

- Ja jestem kimś innym, niż ci się wydaje.

Mikołaj patrzył, nie rozumiejąc.

- Powiem to inaczej... ta sprawa... to znaczy Bosch i wszystko, ja wiem...

- Co wiesz?! - przerwał jej.

- Miki, ja nie mogę już dłużej.

- Ale wyjaśnij mi, czego nie możesz. Powiesz mi wreszcie? Zwerbowali cię?

- Nie... a właściwie tak, ale to nie jest tak, jak myślisz.

- A jak jest? Kim są oni?

- Proszę... to wszystko bardzo dużo mnie kosztuje.

- Nie wątpię.

Telefon Izy, leżący przed nią na stoliku, zaświecił się. Miała wyciszony dzwonek, ale Mikołaja uwadze nie umknęło, że nerwowo zrzuciła rozmowę, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

- Kto dzwoni?

- Nie wiem.
- Daj mi telefon - zażądał.
- Nie.

Mikołaj wyrwał jej telefon i wyświetlił nieodebrane połączenie.

- Kim jest Pere Casablancas?
- Opowiem ci wszystko, proszę, ale po kolei, dobrze? Ja nie mam na imię Iza. Naprawdę nazywam się Sara Almaengien. Mój ojciec jest Holendrem, a matka Polką. Nie patrz tak, jestem Żydówką - uśmiechnęła się.

- Nie wierzę ci.

Wstała i podeszła do wieszaka. Wyjęła z torebki bordowy paszport i rzuciła Mikołajowi na kolana.

- Obejrzyj.

Mikołaj z niedowierzaniem przeglądał kolejne strony paszportu, na którego okładce widniał napis *Koninkrijk der Nederlanden*. Sara Almaengien, Geboortedatum 12.11.1981. Podniósł głowę i patrzył wyczekująco.

- Wychowałam się w Polsce, w Brwinowie. Tata porzucił mamę, jak miałam kilka miesięcy. Nie widziałam go, tylko na każde Rosz ha-Szana przysyłał nam paczki z prezentami. Odezwał się do mnie na początku dwutysięcznego roku.

- Rosz ha-Szana?
- To nasze święto, coś jakby Nowy Rok.
- A twoja polska tożsamość?

- Wychowałam się jako Iza Brzozowicz, po matce. Była zbyt dumna, żeby zostawić mi nazwisko po ojcu. Zresztą ochrzciła mnie też jemu na złość.

- Co było potem? Przystaję cokolwiek rozumieć - Mikołaj wyglądał na zrezygnowanego.

- Zanim dowiedziałam się, kim jestem, matka zmusiła mnie, żebym poszła do zamkniętego klasztoru.

- Nie rób sobie jaj.

- Gdy miałam jakieś dwanaście, może trzynaście lat, odkryłam moją pokręconą seksualność. Mój ojczym nie był tutaj bez winy. Potem był skandal w ogólniaku, gdy uwiodłam nauczyciela od historii i zaszłam z nim w ciąży. Usunęłam ją, wszystko się wydało... - Izy nie pozwoliły Izie dokończyć opowieści.

- Nie płacz - Mikołaj chciał przytulić Izę, ale strząsnęła jego rękę.

- Jak było w klasztorze? - Mikołaj podjął temat.

- O tym opowiem ci innym razem - ucięła stanowczo. - Byłam tam długie sześć lat i powiem tylko tyle, że niewiele pozostawiono mojej wyobraźni. Tam poznałam młodego księdza - przerwała na chwilę - Mikołaj, proszę cię, kiedy indziej.

- Zaraz, chcesz powiedzieć, że nasza wizyta w 's Hertogenbosch nie była przypadkowa?

- Oczywiście.

- A Paul?

- Paul musiał umrzeć - powiedziała zimno.

Mikołaj wstał i zaczął chodzić nerwowo po pokoju. Po chwili puściły mu nerwy.

- Kim ty, do cholery, jesteś? Co tu robisz? Mnie też chcecie zabić?

- Mikołaj, proszę cię... Ja naprawdę cię kocham. Dlatego ci to wszystko mówię. Stawiam na szali wszystko!

Mikołaj zrozumiał, że widzi przed sobą bezbronną kobietę, zdesperowaną i zagubioną. Iza patrzyła na niego z przestachem.

- Co masz z tym wszystkim wspólnego? - spytał cicho.

- To ja dałam ci książkę. To ja podsuwałam ci rozwiązania. Także ja monitorowałam twoje ruchy i raportowałam mojemu opiekunowi.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Tak, miałam cię śledzić. Zresztą, to niewłaściwe słowo. Wybacz mi.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Moi - zawahała się, szukając właściwego słowa - przyjaciele, nie przewidzieli, że się w tobie zakocham.

Gniew Mikołaja stopniał w ułamku sekundy.

- Ale po co to robiłaś?

- Powiem ci coś, po czym świat nie będzie już taki sam jak wcześniej. Mnie samej pogodzenie się z tym zajęło niemal dwa lata. Ty byłeś na tyle inteligentny, że domyśliłeś się sporej części, a jednocześnie na tyle głupi, że bałeś się przyjąć tę wymyśloną rzeczywistość jako fakt. Cała ta układanka, wszystkie hipotezy, które stawiałeś, domysły i zbiegi okoliczności - one wszystkie zbiegają się w jedność.

Iza przerwała długi wywód i patrzyła natchniona. Na twarzy Mikołaja widać było na przemian przebłyski zrozumienia i wątpliwości.

- A może paszport jest fałszywy?

- Może to cię przekona - Iza podała mu szarą, grubą teczkę - tylko ostrożnie, te papiery mają pięćset lat.

Drżącymi dłońmi Mikołaj z teczki wyjął niemal przezroczyste arkusiki, w wielu miejscach poprzedziane i poplamione. Odwrócił jeden z nich i z niemalym trudem odcyfrował nazwisko autora.

- Jacob Almaengien, a to drugie, Philips coś tam?

- To przybrane imię protoplasty mojego rodu. Przybrał je na fikcyjnym chrzcie.

- Kim on był?

- Między innymi mecenasem Boscha, Wielkim Mistrzem Bractwa, intrygantem, bankierem, przedsiębiorcą, powiernikiem Habsburgów i moim praprzodkiem.

- Philips i Bosch - roześmiał się Mikołaj - więc pewnie zajmowali się też elektroniką?

- Wtedy nie, ale nazwy tych firm nie są zupełnie przypadkowe - powiedziała poważnie Iza.

- Ty jesteś...

- Jestem pełnoprawnym członkiem Bractwa Wolnego Ducha. Bractwo istnieje nieprzerwanie od sześciuset lat, a ty jesteś na najlepszej drodze, by stać się jednym z nas.

* * *

Mikołaj patrzył na Izę rozbieganymi oczami. Roztrzęsiony umysł usiłował odnaleźć sens wszystkiego. Zadawał sobie pytania i nie odnajdował odpowiedzi. Przez chwilę miał pokusę, by powiedzieć Izie, żeby się wynosiła, w końcu czuł się zdradzony i oszukany. Jednak twarz Izy szczerze wyrażała skruchę. „Szczerze? Przecież ona udawała przez cały ten czas”. Ciekawość jednak zwyciężyła.

- Pomożesz mi to poukładać?

- Spróbuję. Od razu uprzedzam, że nie jestem fizykiem ani matematykiem.

- Co było w skrzyni? Graal? - zapytał szyderczo.

- Nie śmiej się. Choć prawdę mówiąc, używamy innej nazwy, gdyż słowo „graal” wprowadza w błąd.

- Jaka to nazwa?

- Koraktor. To z niemieckiego czy holenderskiego.

- Do czego to służy? To maszyna do podróży w czasie?

- Niezupełnie - skrzywiła się Iza. - Nie bądź dzieckiem. Koraktor to urządzenie, które potrafi zapisywać i odczytywać wybrane fragmenty ludzkiej rzeczywistości. I tylko w tym zakresie można mówić o nim jako o maszynie do podróży w czasie.

- Nie rozumiem.

- W koraktorze można zmieniać czas, trochę do przodu, trochę do tyłu. Co znaczy „trochę” - nie potrafię ci odpowiedzieć niestety. Na pewno jest to ponad kilkaset lat.

- A co znaczy „zapisuje rzeczywistość”?

- Koraktor jest rejestratorem złożonego obrazu rzeczywistości tkwiącego w wybranych mózgach oraz urządzeniem, które potrafi odtwarzać informacje w nim zgromadzone. A to oznacza, że możemy oglądać stan rzeczywistości w różnych momentach.

- W wybranych mózgach?

- To jest właśnie istotą koraktora - algorytm, który dobiera źródła informacji, zbiera je, a następnie pozwala odczytać.

- Skąd biorą się informacje?

- Nie zrozumiałam zbyt wiele na szkoleniu, ale zasada działania jest analogiczna do zapisu elektroencefalografii. Tyle że można to zrobić zdalnie, a zamiast prymitywnych wykresów otrzymujemy precyzyjne dane w postaci obrazów, dźwięku oraz pewnego specyficznego rodzaju informacji.

- Może jakiś przykład? - Mikołaj uparcie drażył temat.

- Trudno to opisać, ponieważ człowiek nie jest w stanie przeanalizować ani komunikatu, ani nadawcy, ani kanału informacyjnego. A jednak każdy z nas taką informację, potrafi zidentyfikować we własnym mózgu. To takie uczucie, że coś się wie, ale nie wiadomo skąd. To także przecucia, przesady, wrażenia... Czujesz?

- Chyba tak, ale to musi być piekielnie trudne, żeby na odległość odczytywać niezwykle słabe fale mózgowo, a na dodatek rozróżniać źródła pochodzące z różnych mózgów.

- Nie to jest najtrudniejsze. Każdy fizyk ci powie, że jest to teoretycznie wykonalne, a model odpowiedniego odbiornika skonstruuje byle student elektroniki. Najbardziej skomplikowany jest model logiczny, czyli struktura pamięci koraktora, kodowanie informacji, jej katalogowanie, algorytmy wyszukiwania, interfejs użytkownika, mechanizmy odtwarzania, język, instrukcje, protokoły komunikacyjne...

- Skąd tak dobrze znasz zagadnienia teorii komunikacji?

- Każdy z członków bractwa specjalizuje się w pewnym obszarze koraktora. Nie jesteśmy tajemniczą sektą, tylko, można by powiedzieć, badaczami i konserwatorami. Mi powierzono właśnie badanie struktur komunikacji oraz zapisu. Kto inny odpowiada za moduł zasilania, kto inny za bezpieczeństwo urządzenia.

- Jak duża ilość źródeł informacji jest monitorowana w danym okresie?

- Nie wiemy tego dokładnie. Nie patrz tak, my nie wiemy, jak koraktor jest zbudowany. To w pewnym sensie twór nie z tej ziemi.

- Miałem właśnie o to zapytać. Przecież w czternastym wieku nikt nie wiedział, co to jest telefon, a tu takie urządzenie.

- Nie wiemy, skąd ono się wzięło. A przynajmniej nikt mi o tym nie powiedział. W każdym razie nie zrobiła tego nasza cywilizacja.

Mikołaj wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Cisnęły mu się dziesiątki pytań, ale czuł, że Iza nie żartuje sobie z niego i szczerze dzieli się swoją wiedzą.

- Jak to działa? - spytał.

- Nie znam szczegółowo całości, mogę ci opowiedzieć dokładnie tylko o tych częściach, które mnie interesują.

- To może zacznijmy od początku. Jaka ilość informacji znajduje się w koraktorze?

- Niewyobrażalna. Tam jest jakiś algorytm, który w nieznanym nam sposób wybiera mózgi, które są istotne z punktu widzenia losów ludzkości. To nie tylko władcy, to także rewolucjoniści, filozofowie i artyści.

- To wszystko mieści się w tym urządzeniu? Jak?

- Spróbuję ci to wytłumaczyć, jesteś gotowy?

- Cały czas.

- Żeby zapisać dużą ilość informacji, trzeba stworzyć wielowymiarowy nośnik pamięci. Jeśli mamy jeden wymiar, to przy założeniu, że umiemy rozróżnić dwa stany, możemy zapisać dwie różne informacje. Jeśli mamy dwa wymiary, to cztery. Jeśli trzy wymiary, to dziewięć. Pojedynczy układ ma stopień skomplikowania 2^n . Więc zrobmy z takich układów analogiczny układ m -wymiarowy. To oznacza, że mając te same dwa stany, możemy zapisać na n wymiarach podstawowych i m wymiarach wyższych - 2^m razy m stanów. Takich piramid w koraktorze jest prawdopodobnie wiele. Zrozumiałeś?

- Mniej więcej...

- Nie wstydź się, jeśli cię to przerasta. Zdolność pojmowania człowieka kończy się na trzech wymiarach. Skoro tak, to trudno mu operować za pomocą abstraktów na obiektach wielowymiarowych. Algebra radzi sobie co prawda z przestrzeniami wielowymiarowymi, ale jedynie na poziomie skomplikowanych dla człowieka obliczeń. Dlatego nikt tego nie czuje i nie umie projektować nic na miarę ludzkiego umysłu.

- Gdzie jest koraktor?
- Nie wiem.

Iza wyjęła notes i wyrwała z niego kartkę. Ołówkiem napisała na kartce słowo, patrząc Mikołajowi błagalnie w oczy. „Watykan”. Upewniwszy się, że przeczytał, dopisała zaraz: „Chodźmy pod prysznic”.

- Jestem zmęczona. Idziemy się wykąpać?

* * *

Gdy zamknęli się w kabinie i odkręcili wodę, Iza uznała, że mogą kontynuować rozmowę.

- Myślisz, że ktoś nad podsłuchuje?

- Nie wiem, ale dostałam od Perego urządzenie, które nakierowane na szybę mieszkania potrafi z kilkudziesięciu metrów podsłuchiwać rozmowę. A Pere jest w mieście.

- Kim on jest?

- Poznałam go w Nowym Jorku, dokąd wyjechałam, by odpocząć po klasztorze. Jest jednym z nas - zastanowiła się przez moment. - Tak naprawdę to jest kimś szczególnym. To chyba on koordynuje działania Bractwa na poziomie międzynarodowym oraz pośredniczy w finansowaniu jego działalności.

Na twarzy Mikołaja odmalował się przeblysłk zrozumienia. Iza odkręciła butelkę z płynem pod prysznic i wylała odrobinę na ramiona Mikołaja. Ten zdawał się nie zauważać ani zawoalowanej pieśczoły, ani jej prowokującej nagości.

- Może to po prostu jakiś szalony sponsor?

Iza popatrzyła z uznaniem.

- On jest partnerem w dużej firmie konsultingowej. Dość łatwo mu ukryć rzeczywiste przepływy pieniężne, więc twój domysł trzyma się kupy.

- Tak jak Bosch... - powiedział Mikołaj do siebie.

- Raczej Filip II - zaśmiała się Iza. - Jesteś spostrzegawczy - dodała już poważnie.

Między obojgiem dało się wyczuć cienką nić porozumienia, jak gdyby wracali do relacji opartych na bezgranicznym zaufaniu, ale wciąż sondowali się nawzajem, starając się nie urazić drugiej strony. Iza ostatecznie przestała wysyłać zachęcające sygnały, Mikołaj był zbyt zaabsorbowany sprawą.

- Dlaczego koraktor jest taki ważny? - spytał.

- Bo daje władzę i pieniądze. Jeśli wiesz, co się wydarzy niebawem, to nietrudno uzyskać jedno i drugie. Jeśli na dodatek możesz sięgnąć w przeszłość, to zyskujesz dodatkową możliwość wpływania na terażniejszość.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Tak, siła i władza Kościoła rzymskokatolickiego pochodzi właśnie od koraktora. To właśnie dlatego przez całe wieki Kościół rozwijał się, podporządkowywał władców, nakładał podatki, ustalał normy moralne. W jedenaścim wieku nieopatrznie powierzył koraktor templariuszom, którzy zbyt urosli w siłę. Co się wydarzyło później, wiesz.

- A skąd w tym wszystkim templariusze? - Mikołaj przypomniał sobie, że ten zakon przewijał się tu i ówdzie przez całą historię.

- Zaczęło się od tego, że w latach trzydziestych XII wieku król Jeruzolimy Baldwin II przekazał członkom nielicznego jeszcze i niewiele znaczącego bractwa siedzibę w części dawnej świątyni Salomona. Tam właśnie przechowywany był koraktor.

- Ale w tym nie ma logiki! - oburzył się nagle Mikołaj. - Skoro de Molay mógł przewidywać przyszłość, to nie dałby się stracić jak pierwszy lepszy głupek!

- Tu właśnie zadziało Bractwo Wolnego Ducha. De Molay sam nie odczytywał koraktora, bo już wtedy wiadomo było, że osoby, które zbyt długo przebywają w jego obecności, umierają w męczarniach. Wtedy nikt nie słyszał o promieniotwórczości. Dlatego też zawsze była zaufana osoba, która poświęcała się dla dobra sprawy.

- I tym razem oszukała de Molaya?

- Tak. Wtedy nad Bractwem gromadziły się czarne chmury i papież zagroził ekskomuniką, która oznaczała tortury i śmierć z ręki Inkwizycji.

- Ale de Molaya w końcu ścięto.

- Tak, razem ze wszystkimi ważnymi dostojnikami zakonu. Tylko wnikliwy historyk odnotuje, że w 1314 roku zmarł także i król, i papież, którzy byli obecni na egzekucji.

- Rany, wspomniałaś o promieniowaniu.

- Część zasilająca koraktor to mały reaktor atomowy na prędkie neutrony. Założenia profesora Mori są słuszne - koraktor zużywa potworne ilości energii.

- Więc to prawda, że Filip II umarł na chorobę popromienną!

- Nie tylko on. Święty Augustyn, Joachim z Fiory, Hieronim...

- Bosch miał koraktor?

- Tak. Jako znamienity członek Bractwa przechowywał go po tym, jak został odebrany de Molayowi. Nikt o tym nie wiedział, bo Bractwo przez długie lata negocjowało z papieżem warunki.

- To stąd stwory...

- Stwory Boscha - wzięły się po pierwsze z niedostatków algorytmu odczytywania, błędów w tabeli czasów, a po drugie z tego, że umysły, które algorytm wyznaczył na źródła informacji dla koraktora, nie zawsze są spełną rozumu. Bosch malował po prostu to, co widział w koraktorze.

- A potem?

- Potem koraktor trafił do Filipa II, który na mocy układu z Watykanem zgodził się finansować Bractwo. Także wtedy, na mocy tajnej bulli papieskiej, Bractwo otrzymało wieczną misję ochrony i badania koraktora. Od tamtej pory koraktor znajduje się w Watykanie, z małą przerwą w czasie wojny.

„Ahnenerbe”, przypomniał sobie Mikołaj. „Przecież to oczywiste!”. Nie pamiętał już, kto podsunął mu ten trop. Popatrzył podejrzliwie na Izę, która pośpieszyła z wyjaśnieniem:

- Heinrich Himmler, prosty agronom, nie miałby szans stać się drugim po Hitlerze politykiem III Rzeszy. On skądś dowiedział się o istnieniu koraktora, po czym zrabował go w zuchwałej akcji.

- Historia nic nie mówi o jakiegokolwiek akcji w Watykanie - zachnął się Mikołaj.

- A nie zdziwiło cię, że potężne już wtedy Niemcy dogadały się z małymi Włochami, pełnymi na dodatek nie-Aryjczyków? Jakim cudem Hitler zdołał podbić niemal całą Europę w dziesięć lat po największym kryzysie w historii świata? I dlaczego przegrał wojnę? Masz jakiś pomysł?

- Właśnie, czemu przegrał wojnę? Czyżby znowu zadziało Bractwo?

- Tak, to znaczy nie bezpośrednio. W 1941 roku koraktor trzeba było przewieźć w bezpieczne miejsce. Wybrano Wilczy Szaniec koło Kętrzyna. To właśnie ze względu na wściekle promieniowanie bunkry miały absurdalną grubość. I wtedy...

- Ktoś go ukradł?

- Niezupełnie ukradł. Wtedy jeden z członków naszego Bractwa podmienił jedną bardzo istotną część koraktora, mianowicie klucz. To stało się prawdopodobnie w trakcie nieudanego zamachu na Hitlera.

- Do czego służy klucz?

- Klucz jest regulatorem, który pozwala przestawiać czas podczas odczytu informacji.

Nagle Iza chwyciła kurek z ciepłą wodą i zaczęła go powoli przykręcać. Już po chwili ze słuchawki prysznicza płynęła lodowata woda, która zmroziła skórę, obkurczyła brodawki i wstrzymała na moment oddech. Mikołaj popatrzył pytająco, ale dostrzegł w oczach Izy tylko figlarne ogniki. „Nie dam się sprowokować”, pomyślał i z powrotem odkręcił ciepłą wodę. Czas był najwyższy, bo zaczęli już szczekać zębami.

- Czyli koraktor pozostał w rękach Hitlera, ale Hitler nie mógł z niego korzystać?

- Tak. Okazało się, że koraktor przed kradzieżą regulatora znajdował się na 1933 roku i nie dawał się przestawić.

- Tak więc Hitler mógł bazować tylko na tym, czego wcześniej dowiedział się o przyszłości, tak?

Iza twierdząco pokiwała głową.

- A Złoty Stok? - przypomniał sobie nagle Mikołaj.

- Tam przewieziono koraktor, kiedy wojska radzieckie zaczęły wypychać Niemców z Prus Wschodnich. Ten transport z Polic rzeczywiście się odbył.

„To ma sens”, myślał Mikołaj, „z Kętrzyna przerzucili urządzenie do Polic, potem do Złotego Stoku, pewnie po to żeby podrzucić fałszywy trop kierunku przetrwania. Tam przeczekano pięćdziesiąt lat, bo schowane było na terenie strategicznie ważnej kopalni, w monitorowanej przez różne służby miejscowości na końcu świata. Sprytne”.

- Kto ukradł koraktor? - podjął wątek.

- Nie ukradł. Po prostu Niemcy znakomicie ukryli skrzynię i zatarli wszelkie ślady. Minęło pół wieku, zanim trafiliśmy na ślad koraktora. Dalszy ciąg znasz.

- A klucz?

- To klucz, który widziałeś na wielu obrazach Boscha. Bosch informował w ten sposób osoby, które miały z koraktorem do czynienia, że go ma. Tak wywierał presję na papieżu.

Iza zakręciła wodę. Ruchem rąk pokazała, że nie powinni już rozmawiać. Wytarli się ręcznikami i wrócili do pokoju.

* * *

Drogi Bracie Filipie!

Niebawem nastąpi doniosła chwila dla Ciebie i dla nas wszystkich. Pierwszy raz weźmiesz udział w naszym ceremonialnym obrzędzie. Dokładny czas i miejsce poznasz we właściwym momencie. Specjalny wysłannik w najbliższych dniach przekaze Ci, kiedy i gdzie masz się stawić. Bądź wtedy gotów.

Wiesz już, na czym polegają rytualne praktyki, które Bracia i Siostry Wolnego Ducha odprawiają, zgodnie w wielowiekową tradycją,

przekazywaną od pokoleń. Przystępując do nas, przysięgałeś dochować wierności wszelkim naszym tajemnicom i nie sprzeniewierzyć się im w żadnym szczególe. Miej jednak świadomość, że obecnie Twoja wiedza o naszym Bractwie jeszcze nie jest kompletna. Dopiero odbywszy specjalne nabożeństwo, zaznajomisz się z całą naszą nauką. Rytuał, jaki wkrótce wspólnie odprawimy, będzie Twoim chrztem bojowym, dzięki któremu staniesz się prawdziwym Bratem Wolnego Ducha. Wówczas wyjawimy Ci całkowicie naszą doktrynę, która każdemu Bratu i każdej Siostrze Wolnego Ducha służy jako najistotniejszy drogowskaz w życiu ziemskim, a także w pośmiertnym i która zarazem jest bezcennym dziedzictwem, wartym przekazania wnukom.

Drogi Bracie, ceremoniał, w którym pierwszy raz masz uczestniczyć, będzie wyjątkowy nie tylko wskutek obecności nowego członka, ale również z powodu długo przez nas wszystkich wyczekiwanego dzieła, które właśnie na tamten czas ma zostać ukończone. Jeszcze zanim do nas dołączyłeś, a nawet zanim ośmieliłem się żywić w tej materii jakiegokolwiek nadzieje, dzieliłem się z Tobą nowinami na temat owego dzieła i jego twórcy. Nie wtajemniczałem Cię wtedy w nasze prawdziwe sekrety i teraz jeszcze też tego nie uczynię. Ale już wkrótce, podczas rytualnego obrzędu, dowiesz się o wszystkim, o czym przedtem mogłeś jedynie mieć pojęcie mgliste, pod wieloma względami błędne lub uproszczone. Dotyczy to także obrazu, w którego artystycznej powłoce zawiera się duch naszej ideologii i ukryte proroctwo dla potomnych.

Bracie Filipie, wielokrotnie ostrzegałem Cię, że członkostwo w naszym zgromadzeniu wymaga nie tylko czystej duszy i otwartego umysłu, lecz również heroicznej odwagi. Jak wiesz, wczoraj odbyła się egzekucja jednego z naszych współbraci. To nie pierwszy spośród nas, którego doczesne szczątki pochłonął inkwizycyjny ogień. Nie pierwszy i nie ostatni. Może następny będę ja. A może Ty. Dlatego powtórnie zastanów się, czyś rzeczywiście gotów bezwarunkowo do nas przystąpić, czy też Twoja chęć jest jedynie powierzchowną fascynacją, wynikającą z chwzięnego entuzjazmu, właściwego młodemu wiekowi. Na obecnym niepełnym etapie członkostwa masz jeszcze drogę odwrotu. Jednak po odbyciu pierwszego obrzędu nasze drzwi zamkną się za Tobą na zawsze. I wówczas od wierności Bractwu Wolnego Ducha będzie mogła uwolnić Cię tylko śmierć.

Posłaniec, który przyniósł Ci mój list, poczeka na odpowiedź. Rozważ wszystko dokładnie i odpisz mi, co postanowiłeś. Nie spiesz się z decyzją, bo jakakolwiek ona by się okazała - tym razem musi być ostateczna. Jeśli teraz się rozmyślisz, zapomnimy o całej sprawie i nasze stosunki powrócą do dawnej formy, jakby nic się nie zdarzyło. Jeśli się nie rozmyślisz, dokonasz wyboru słusznego, lecz zarazem ryzykownego i nieodwołalnego.

Oby w tej przełomowej chwili spłynęła na Ciebie mądrość, która sprawi, że zdołasz zadecydować najbardziej właściwie. Życzę Ci tego ze szczerego serca.

Twój brat Jakub

* * *

- Co robisz? - zawołał Mikołaj, widząc Izę wpatrującą się w ekran komputera

- A nic takiego - odpowiedziała.

- Jak to nic, coś czytasz - powiedział, całując ją w ucho. - Być może spekulacje na polskim złotym pozwoliły zarobić miliardy? Hiszpania kupi od Polski prawa do emisji CO2? Co to są za tematy?

- A takie tam, tak mi się kliknęło, to czytam. Interesujące nawet - powiedziała Iza, udając obojętność.

- A to ma jakiś związek z naszą skrzynią? - spytał Mikołaj

- Nie, chyba nie ma... - odpowiedziała Iza, myśląc w duchu, że Mikołaj jest naprawdę sprytny.

W tym samym czasie Pere, siedząc w zalanym słońcem barcelońskim biurze, odhaczył w notesie kolejny punkt. Uśmiechnął się szeroko. Był coraz bliżej realizacji zadania. A treść listu była prawie gotowa. Spojrzał za okno. Szydł La Caixa wykonał kolejny beznamiętny obrót.

* * *

- Co teraz będzie?

- Mam ci zaproponować wstąpienie do Bractwa.

Mikołaj wstał i podszedł do okna. Na opustoszałej od upału ulicy mały chłopiec zachęcał do zabawy kudłatego kundla, który ciężko dysząc, leżał w cieniu. Na szybie zaschnięte krople deszczu potęgowały senność sceny. „Po cholere mi to było?”, pomyślał. Odwrócił się powoli do Izy i spytał:

- Orgie i te sprawy?

- To też - zaśmiała się - ale to nie jest obowiązkowe. To się wzięło po trosze z tradycji, a po trosze jest cechą wybitnych umysłów.

- Uważacie się za wybitne umysły? - w głosie Mikołaja słychać było drwinę. Iza udała, że jej nie zauważyła i odpowiedziała spokojnie:

- My się nie uważamy, my wiemy, że tak jest. Proces selekcji jest bardzo skrupulatny i przemyślany i na razie nie było wpadek. Albo inaczej - nie było niekontrolowanych wpadek.

- Co to znaczy?

- Mówi ci coś pojęcie Konwent Syjonu?

- Oczywiście.

- Ta organizacja to bief naszego Bractwa. Niestety, niejaki Plantard popsuł tysiącletnią tradycję. To była jedna z niewielu pomyłek w procesie rekrutacji, ale zakończyła się na szczęście ośmieszeniem konwentu i samego Pierre'a.

Zadzwoił telefon Izy. Niespiesznie wzięła go w dłoń i wyłączyła. Patrząc Mikołajowi w oczy, wyjęła baterię i odłożyła obok. Zrozumiał, że są naprawdę sami.

- Dlaczego ja? - zapytał cicho.

Iza zacisnęła palce na krawędzi stołu. Po dłuższej chwili podniosła twarz, która w oczach złagodniała.

- Jesteś wściekle inteligentny, to raz. Otwarty na wiedzę, to dwa. Kocham cię, to trzy.

- Trochę mało. Dlaczego zostałem pobity?

- To był wypadek przy pracy. Jens, Helga i Gudrun nie są aż tak wtajemniczeni, oni mieli po prostu zdobyć skrzynię. Do głowy nam nie przyszło, że Jens wykaże inicjatywę. Już go nie ma między nami.

Mikołaj usiadł w fotelu i sięgnął do albumu Fraengera. Odszukał *Ogród ziemskich rozkoszy* i bezwiednie zaczął wyobrażać sobie sceny przedstawione na obrazie. „To nie może być prawdą”, pomyślał, choć bardzo szybko przypomniał sobie scenę w starej wozowni. Przed oczami stanęła mu pulsująca na bladej szyi Gudrun błękitna żyłka i krople krwi wypływające z wbijających się weń kolców, krople płonącej oliwy i kurczący się ze strachu brzuch Izy. Poczul, jak wzdłuż kręgosłupa wstają mu niewidoczne włoski, a do umysłu wkrada się zwierzęcy strach przed nieznanym. Odszukał oczy Izy, które były dobre i spokojne. Patrzyły na niego, nie rozumiejąc.

- Z czym wiąże się wstąpienie do Bractwa? - zapytał, czując jak wraca mu grunt pod nogami.

- Od jakiegoś czasu mamy kompletny koraktor. To oznacza tyle, że po pięćdziesięciu latach będziemy mogli znowu bawić się w jasnowidzów. To jest dla większości z nas najważniejszym powodem, by być w Bractwie.

- Będziemy przewidywać przyszłość na rzecz Kościoła? - skrzywił się Mikołaj.

- Tak. To jest poza dyskusją i akceptacją tego faktu pozostaje warunkiem *sine qua non*.

- A jeśli odmówię?

Iza najwyraźniej nie spodziewała się takiego pytania. Spojrzała podejrzliwie na Mikołaja, ale ten zadał pytanie bardzo poważnie, tak jakby naprawdę rozważał odmowę.

- Wtedy ja wystąpię z Bractwa i będę się musiała tobą opiekować. W przeciwnym razie grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo, gdybyś spróbował dekonspirować naszą działalność.

- Jeśli mam wstąpić, to...

- Słuchaj, muszę poinformować Perego - przerwała Iza.

- O czym?

- O twojej decyzji.

- Co się stanie, jeśli wstąpię?

- Najpierw czeka cię wycieczka do, powiedzmy, pewnego miasta w Szwajcarii. Tam przejdiesz inicjację i zostaniesz przeszkolony. Następnie badania, które pozwolą ustalić twoją specjalizację. Potem dostaniesz drugą tożsamość po to, żeby nikt nie podejrzewał cię o ciemne sprawy.

- Kto na przykład?

- Och, nie bądź niemądry. Służby kontrwywiadowcze, dziennikarze, badacze... Oni wszyscy, tak jak na przykład Paul, mogą dostrzec coś dla nas niebezpiecznego. W dzisiejszych czasach nie wystarczy kogoś zabić, by zatrzyć informację. Ba, w wielu miejscach informacji nie da się po prostu zniszczyć.

- Dlaczego?

- Na przykład w Internecie.

- Dlaczego ja? Odpowiedz szczerze.

- Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć? Tak? - Iza patrzyła z powagą w oczy Mikołaja.

- Tak, chcę.

Patrzył na nią z wyczekiwaniem. Było jasne, że za moment oboje przekroczą punkt, z którego nie będzie już powrotu.

- Jeśli...

- Przestań! - Iza przerwała gwałtownie. Mikołaj wstał i podszedł do okna. Na ulicy nie było już chłopca, a kudłaty pies zwinął się w kłębek i drzemał nieniekajony przez nikogo.

- Więc?

- Twój mózg, z nieznaných przyczyn, jest monitorowany przez koraktor.

- To znaczy, że...

- To znaczy, że będziesz wielkim człowiekiem.

* * *

Iza cieszyła się, że sprawy nabrały takiego obrotu. Od tak długiego czasu nie występowała przed obiektywem. Już właściwie zapomniała, jak to było. A tu takie wydarzenie. Nie dosyć, że na kilka dni jedzie do Nowego Jorku,

to zdjęcia będzie robić sama Annie Leibovitz, a sesja ma ukazać się w amerykańskim *Vogue'u*. O ile Pere mówił prawdę. Tylko biedny Mikołaj nic z tego nie rozumiał. Ostatnie wydarzenia wytrąciły go z równowagi. Nawet nie chciał z nią jechać na zdjęcia. Trudno. Pojedzie sama. On w tym czasie będzie miał czas na przemyślenia. W końcu musi podjąć decyzję. Izę kusilo, żeby sprawdzić w koraktorze, co zrobi Mikołaj. Naprawdę zależało jej na nim.

W samolocie zastanawiała się nad pokonywaniem czasu. Nic z tego, czas włókł się niemilosiernie. Nie mogła czytać. Była rozdrażniona, chyba stresowała ją ta sesja. Sama Anna Wintour. I taki trudny temat. Współczesna stylizacja z elementami średniowiecznymi. Inspiracja dawnym malarstwem? Pere mówił, że ktoś ważny tak chciał. Wintour nie protestowała, zgodziła się. W końcu gdyby nie ten ktoś ważny, to nie mogłaby bawić się w wydawanie magazynu i nie mogłaby wydawać takich pieniędzy na sesje. A wtedy wielkie gwiazdy by się do niej nie garnęły. No i nie byłaby taka ważna. Podobnie Leibovitz. Popadła w ogromne długi. Jak ona to zrobiła? Taka wzięta artystka? Robiła sesje dla tylu znanych magazynów i tylu znanym osobom... A teraz jest na ich łasce lub niełasce. Chyba jednak łasce. Podobno się dogadali i przejęli jej długi. I nagle wróciły wspomnienia z dawnej pracy. Faktycznie. Oni decydowali o wszystkim. Wszystkich znali. Przypomniała sobie jedną z imprez, na której była. Tylu znanych osób dawno nie widziała. Nawet narzeczony młodej Clintonówny pracował dla nich. Zastanawiała się wtedy, czy to był przypadek... Albo jak kiedyś w czasie lunchu poszła z Hugh do Burger Kinga. I on jej wtedy powiedział, że to przecież nasz „gold food”. Czy ktoś miał świadomość, czy nie, wcześniej czy później wszystko się łączyło w całość. W sumie to cieszyła się, że jest po właściwej stronie. Żeby tylko Miki też tego chciał...

„O, zapiąć pasy, lądowanie, jak ja tego nie lubię”, z zamyślenia wyrwał ją komunikat stewardessy.

Spotkanie z Wintour było takie, jak sobie Iza wyobrażała. Krótkie, chłodne, rzeczowe. Jaka ona malutka, uśmiechnęła się w duchu. Studio było już przygotowane do zdjęć. Trzy plany i trzy stylizacje. Jakoś znajome...? Tak, przecież znała to doskonale. Jeden z planów przypominał obraz *Śmierć skapca*. Zrozumiała teraz słowa Perego. „Czy życie musi być tak poplątane?”, pomyślała. Pere wiedział, że musi. Weszła Leibovitz ze sztabem stylistów. Zmierzyli ją.

- Okay, Sara, zaczynamy.

Przez chwilę nie reagowała na imię, którego prawie nikt nie znał. Holenderski paszport ułatwiał jednak życie, a poza tym nie musiała dyktować w nieskończoność trudnego w wymowie, polskiego nazwiska.

- Dzień dobry - wybąkała speszona.

- Porzucę cię na pożarcie stylistom, ja w tym czasie zajmę się oświetleniem.

Nigdy wcześniej nie spotkała Annie. Trudno było teraz ocenić, jak to będzie.

Faktycznie stylizacja trwała dość długo. Poza tym okazało się, że w niektórych ujęciach będzie miała towarzystwo. A efekt? Chyba się sobie nie podobała. Grunt, że ubrana w Diora i z torebką Hermesa w ręce nawiązywała do średniowiecznych obrazów.

- Dobrze. Plan pierwszy - Annie mniej więcej wyjaśniła, jaki jest jej pomysł. Sesja przebiegała w skupieniu. Annie nie krzyczała, nie wydawała zbyt wielu poleceń. Skupiała się na ujęciu. Może na tym polegało jej mistrzostwo? Iza nie liczyła ujęć. Dobrze się bawiła. W sumie ta średniowieczna sceneria wprawiła ją w dobry nastrój.

- Sara, przejdź trochę bardziej na lewo i zrób poważniejszą minę, niech bije z ciebie średniowieczny chłód. Dajcie jej inną torebkę. Może ta niebieska Balenciagi? Spróbujmy.

Ujęcia były genialne. Nawet przez kamienną twarz Wintour, która przez chwilę przyglądała się pracy, przebiegł uśmiech zadowolenia.

Nagle pod Izą ugięły się kolana. Do studia wniesiono eksponat. Wintour i Leibovitz chciały, żeby było dokładnie jak na obrazie *Śmierć skąpca*, więc Pere przysłał skrzynię. Tę skrzynię. Koszty nie miały znaczenia. To było ważne zlecenie. Zresztą zleceniodawca sam sobie płacił... Iza zadrżała. Zaczęła nerwowo przemierzać studio. Dlaczego nie było przy niej Mikołaja? Po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Nowego Jorku pomyślała o nim i tak bardzo chciała, żeby ją przytulił. Tak, bardzo za nim tęskniła. Przez głowę przebiegła jej też inna myśl: jeśli ostatnim planem będzie obraz Boscha *Sąd ostateczny*, to los prawdziwie z niej zadrwi. Kolejne ujęcia były dla Izy bardzo trudne. Nie potrafiła zapanować nad emocjami. Ale to chyba się podobalo Leibovitz, bo powiedziała: „Mamy to”. Nieubłaganie zbliżał się plan trzeci. Tak. Nie mogło być inaczej. To był *Sąd Ostateczny*. Iza była w rozsypance. Na dodatek do wspomnień wdarły się wydarzenia z odległej przeszłości. Iza widziała je znowu tak dokładnie, jak wtedy. Na plan weszły inne modelki, a Iza w pośpiechu odganiała niechciane myśli.

- Ustawcie się, zaczynamy - Annie bez przerwy coś zmieniała, nie mogła odnaleźć właściwych proporcji, mieszały jej się kolory, co chwila kazała zmieniać suknie, buty i torebki. Aż w końcu wpadła na pomysł.

- Sara, zdejmij suknię. Bądź prawie goła, niech ten szlachetny Armani okrywa Cię tylko trochę. Tak jakby suknia z ciebie spadała... i odkrywała jakąś tajemnicę, ale najważniejsze ma być zasłonięte! - podniecała się. - I jednocześnie zagraj tak, jakby ogarniała cię rozkosz. Dasz radę, prawda? - uśmiechnęła się. Znakomite ujęcia z tego planu nie miały końca.

Dzień chylił się ku zachodowi, kiedy zakończyły się zdjęcia. Iza odechnęła. To był ciężki dzień. Pełen wrażeń. Musi zadzwonić do Perego. Niech wie, że to będzie świetna sesja. Wszyscy będą zadowoleni. I będą mogli dać znak całemu światu, że Bractwo ma się znakomicie.

Zmyła makijaż, zdjęła drogie suknie, na pamiątkę wzięła niebieską Balenciagę i opuściła studio. Na dole czekała na nią niespodzianka. To był Pere.

- Czy dasz się zaprosić na kolację? - maniery Perego były nienaganne, mimo że formalnie była jego podwładną.

- Co tu robisz? - zapytała zaskoczona, muskając jego zarośnięty policzek. - Dokąd mnie zabierzesz?

- Wybrałem wyjątkowe miejsce, bo dziś jest wyjątkowy wieczór, który spędzimy w wyjątkowym towarzystwie.

- Co masz na myśli?

Pere zamachał na taksówkę, która z piskiem opon zatrzymała się gwałtownie. Rowerzysta, który omal nie wpadł na tył samochodu, rzucił stekiem wyzwisk w kierunku szofera.

- Pieprzeni kurierzy - szofer przywitał wsiadającą parę. - Dokąd?

Pere rzucił na przednie siedzenie wizytówkę i położył Izie palec na ustach. Po kilku chwilach byli na miejscu.

- To ma być to wyjątkowe miejsce? - zapytała zdumiona, gdy Pere pewnym siebie ruchem pchnął drzwi obskurnego baru.

Pere przeprowadził Izę wzdłuż długiego kontuaru, nad którym wznosiły się półki pełne starych, zakurzonych butelek win z całego świata. Na końcu wąskiego pomieszczenia, przy antycznej mechanicznej kasie siedział starszy człowiek o powierzchowności Hiszpana, szczupły, z siwymi bokobrodami. Uśmiech rozjaśnił mu twarz, gdy rozpoznał Perego i bez słowa postawił na barze trzy szklanki, do których nalał białego chardonnaya z beczulki. Na szkle pojawiły się kropelki rosy. Iza patrzyła pytająco to na Perego, to na starca.

- *Sabia que algún día la traerías aquí. Es tan hermosa como su madre*¹ - odezwał się starzec.

- Co on powiedział? - zapytała Iza Perego, który patrzył na nią zmienionym wzrokiem.

¹ Wiedziałem, że ją tu kiedyś przyprowadzisz. Jest piękna jak jej matka.

- W tym barze poznałem twoją matkę, Saro. Santiago znalazł nas oboje. Ona sprzątała tutaj, a ja przepijałem ostatnie guldeny przywiezione z Holandii. Jesteś tak piękna, jak ona.

* * *

Edukacja zakonna Marianny zdawała się wyczerpywać. Gorliwa modlitwa i wychwalanie Pana w myślach kończące się co najmniej drżeniem ciała i odpływaniem w otchłań rozkoszy wcale nie przybliżały jej do niebieskiej nagrody, a przynajmniej do Marianny dotarło, że nie nastąpi to tak szybko, jak sobie wyobraziła. Nie sprawiało jej już przyjemności nauczanie młodych zakonnic, jaka droga prowadzi do zbawienia. Jej ciało i umysł były gotowe na nowe odkrycia. Ciągnęło ją do prawdziwego świata, do wypróbowania tego, czego nauczyli ją Jezus, Matka Boska od Warzyw i Duch Święty, poza murami zakonu. Czuła pod skórą, że to, co dzieje się na zewnątrz, jest kosmicznym stopniem wtajemniczenia. Chciała też posmakować normalnego życia. Chciała móc usiąść w kawiarni w kusej sukience, pokazać swój piękny biust i założyć długie nogi jedna na drugą. Dlatego też pewnego pięknego dnia, kiedy to zbliżenie Marianny i Jezusa doprowadzające ją do dziewiętego orgazmu wyzwoliło iskry pożądania w oczach Matki Boskiej i Ducha Świętego, wstała rozsypując swoje długie włosy po nagich plecach, zakryła kusą sukienką smukłe biodra wyrrywające się jeszcze z dziką namiętnością do patrzących z zaskoczeniem Jezusa, Jego Matki i całej świty, i wyszła. Kilka dni później w tej samej kusej sukience usiadła w kawiarni, założyła nogę na nogę i zaczęła zupełnie nowe życie. Zawsąd otaczał ją uliczny zgiełk metropolii, słońce próbowało dotknąć ją promieniami, przeciskając się przez wysokie budynki, a kiedy to się nie udawało, gonilo w rozkosznym flircie pędzące po ruchliwej Piątej Alei żółte taksówki.

* * *

Młody ksiądz Gabriel, odsunięty nagle i stanowczo od społeczności szczególnych dziewic Marianny, nie mógł się pozbierać. Każda myśl o

utraconych orgazmach, o napinających się pośladkach kilkunastu dziewcząt udających słoneczko na leśnej polanie, każde wspomnienie figlarnych zabaw z jego sterczącym żądłem i ich nabrzmiałymi piersiami, zagryzanymi z rozkoszy ustami i dłońmi błędzącymi po całym drżącym ciele wywoływała u niego wirujące mroczyki przed oczami i wytrysk nasienia. Zmieniał bokserki po 10 razy dziennie. W swym oblędzie zaczął namawiać każdą napotkaną zakonnice na „jazdę próbną” do stanu niekontrolowanej rozkoszy i błogości niebiańskiej. Tylko nieliczne, bo jedna czy dwie na dziesięć, chciały spróbować cudów, jakie przygotował dla nich Jezus w raju i poddawały się zabiegom modlitewno-erotycznym Gabriela. Inne przeklinały go, wyzywały od diabłów, zła wcielonego i przechodziły prędko na drugą stronę ulicy. U tych, które się zainteresowały, sprawa była prosta. Patriarchalna erotyka nigdy nie była zbyt wyszukana. Tak spragnieni ludzie są łatwi, szybko gotowi i właściwie niedojrzali do głębokich seksualnych przeżyć. Ich namiętność sprządza się do mechanicznego układu ciał i zaliczenia kilku punktów: dotknięcie miejsc intymnych, prymitywne macanko, namiętne lizanko i szybki stosunek. Wytrysk zasadniczo następował w pochwe, choć zdarzały się siostry bardzo spragnione boskiego nektaru. Niestety każdy ruch w terażniejszości ma konsekwencje w przyszłości. Pierwsze oznaki kłopotów Gabriela nastąpiły już po pół roku, a po 12 miesiącach 12 zakonnice urodziło potomstwo. Najgorzej skończyło się to dla Marianny, której siostra przełożona nie pozwoliła donosić ciąży. Pozbawiwszy Mariannę przytomności za pomocą wina z róży, siostra higienistka z profesjonalną dokładnością, choć nie bez trudu wyjęła owoc pożądania księdza Gabriela z brzemiennego łona Marianny.

Ksiądz skończył ze swoją profesją nie tyle z powodu wygnania z Kościoła, ile dlatego że przytłoczyły go obowiązki ojcowskie, a przede wszystkim pozwy o alimenty. W ten oto sposób zrozumiał wyraźny przekaz z nieba: Kazimierz nad Wisłą jest pięknym miejscem, siostry betanki to cudowne stworzenia Boże, lecz Pan wybrał dla Gabriela inne miejsce na ziemi, inne zadania,

a nawet inne problemy... Podobno drogi Pana są nieznanne!

* * *

List znaleziony w Londynie wciągnął Marcina na dobre. Teraz każdy przegląd korespondencji, poranna prasówka, wsiadanie do samochodu czy sprawdzanie skrzynki na listy wiązało się z silną potrzebą znalezienia eleganckiej kremowej koperty. Nie wierzył, że koniec może nadejść tak niespodziewanie jak początek. Zatem czekał cierpliwie. Kolejna koperta pojawiła się w dość niecodziennych okolicznościach. Leciał w kilkudniową podróż służbową do Nowego Jorku. Po wylądowaniu, jeszcze w taksówce, okazało się, że elegancka kremowa koperta jakimś dziwnym trafem znalazła się w jego bagażu podręcznym. Nawet nie chciało mu się myśleć, jak i kiedy to się stało. Wołał przeczytać instrukcje na kolejnym bileciku. A instrukcja była prosta: Country Cafe, Pine Street, Nowy Jork. „No nareszcie. Jakieś normalne miejsce. Do siedzenia i zapewne z kawą. Teraz pewnie poznam, kto się za tym kryje i o co chodzi”, westchnął głęboko w myślach, a tymczasem taksówka dojeżdżała do hotelu. W kilkudniowym napiętym harmonogramie miał pół dnia przerwy. Postanowił, że zakupy zacznie od kawy na Pine Street. Szybko odnalazł ulicę z bileciku i znajdującą się na niej Country Cafe. Zamówił kawę, usiadł i zaczął się rozglądać. Eleganckiej kremowej koperty nie było. Po chwili zaczął się niecierpliwić i kręcić nerwowo. Próbował nawiązać kontakt wzrokowy z innymi osobami pijącymi kawę. Wszystko na nic. W końcu zrezygnowany i przygotowany na to, że nic się nie wydarzy zdjął z wieszaka *New York Times* i wbiło go w twarde drewniane krzesło. Koperta była wewnątrz gazety. „Nie, to niemożliwe”. A jednak to było możliwe. Zaczął rozglądać się, czy przypadkiem ktoś go nie obserwuje, czy ktoś nie podchodzi do stolika, czy nie widzi przypadkiem nikogo znajomego. Nic takiego nie miało miejsca. Był tu sam z tą elegancką kremową kopertą. Nikt na niego nie spoglądał, nikt go nie obserwował. Nikt się do niego nie dośiadł. Trochę rozczarowany, że to miejsce nie rozwiła jego zagadki

otworzył kopertę, wyjął kartki i zaczął czytać:

„W 1821 roku w Trappstadt w Niemczech przychodzi na świat Marcus. Był on najstarszym dzieckiem z pięciorga dzieci żydowskiego małżeństwa Wolfa i Elli. Ojciec Marcusa jest ekonomem i handluje bydłem. W 1848 roku Marcus emigruje do Stanów Zjednoczonych. W 1850 roku żeni się z Berthą, która również wyemigrowała z Bawarii do Stanów Zjednoczonych w 1848 roku. Marcus spotyka Bertę w Pensylwanii, gdzie pracuje jako krawcowa i tak zarabia na życie. Z pomocą żony otwiera sklep odzieżowy w Filadelfii, a później za namową żony przenoszą się oraz swoją siedzibę do Nowego Jorku. W 1896 roku Marcus zakłada w Nowym Jorku na Pine Street w jednopokojowym biurze firmę, która na początku zajmuje się skupem papierów dłużnych od kupców tytoniu i diamentów na Manhattanie, które to papiery Marcus ma w zwyczaju nosić pod swoim cylindrem. Z niewielkim zyskiem odprzedaje te papiery bankom. W 1882 roku do firmy dołącza jego zięć Samuel.

Samuel jest synem dyrektora szkoły Josepha i jego żony Sophie, córki zamożnych złotników z Niemiec. Oboje są żydowskimi emigrantami. Joseph wraz ze swoim długoletnim przyjacielem Philipem Lehmanem z Lehman Brothers wypuszczają akcje nowo powstałego przedsiębiorstwa, mając tym samym możliwość zarobienia znacznych pieniędzy. Samuel poślubia Louise, najmłodszą córkę Marcusa, który jest przyjacielem taty Samuela.

Marcus nazywa się Goldman, a Samuel nazywa się Sachs. Bank, który powstaje w 1882 roku w wyniku tego połączenia otrzymuje nazwę M. Goldman & Sachs. Firma rozwija się bardzo szybko, zaczyna obracać rocznym kapitałem w papierach wartościowych w wysokości około 30 milionów dolarów.

W 1885 roku do firmy dołącza syn Marcusa - Henry oraz zięć Ludwig Dreyfuss, nazwa firmy zostaje zmieniona na Goldman Sachs & Co. Firma staje się pionierem w wykorzystywaniu papierów wartościowych dla

przedsiębiorstw. W 1896 roku dołącza do giełdy papierów wartościowych New York Stock Exchange. Przez ponad 50 lat od momentu powstania firmy wszystkimi partnerami Goldman Sachs & Co, pozostają członkowie rodziny oraz nowi członkowie rodziny, którzy pojawiają się w niej przez kolejne zawierane małżeństwa.

Na początku XX wieku Goldman Sachs był liderem w rozwoju pierwotnego rynku ofert publicznych. 4 grudnia 1928 powstaje Goldman Sachs Trading Corp. - zamknięty fundusz inwestycyjny, którego działalność opiera się na modelu piramidy finansowej. Fundusz nie odnosi sukcesu na giełdzie w 1929 roku i reputacja firmy zostaje nadwerężona na kilka następných lat.

Dzisiaj nazwę Goldman Sachs kojarzy każdy. A instytucja ta budzi skrajne - nie tylko finansowe - emocje na całym świecie...”

* * *

Pewnego czerwcowego popołudnia z budynku przy Avinguda Diagonal 607 w Barcelonie, oświetlonym ostrym śródziemnomorskim słońcem wyszedł przystojny czterdziestolatek. Skręcił w wąski Carrer de Gandesa i doszedł do malutkiego ryneczku, ukrytego przed turystami na tyłach bezdusznych biurowców dzielnicy przemysłowej. Usiadł w ogródku pustej o tej porze kawiarni, z kieszeni marynarki wyjął elegancką beżową kopertę z naklejonym już znaczkiem, ale bez adresu. Poczekał, aż kelner poda mu gorące espresso, wyjął ze środka zapisaną kartkę i szybko przebiegł ją wzrokiem. Włożył do koperty, na której eleganckim piórem skreślił adres: Lloyd C. Blankfein, Goldman Sachs & Co.85 Broad Street, New York, NY 10004. Dopił espresso, zostawił na stoliku pięć euro i szybkim krokiem oddalił się. Wrzucił list do skrzynki pocztowej na rogu ulic i uśmiechnął się do siebie. To był dobry dzień.

KONIEC